WILEŃSKI GAMBIT PIŁSUDSKIEGO
Przejęcie miasta miało być kartą przetargową w grze o federację

PIASTOWSKI DEMON ROGATKA
Ten śląski książę był najgorszą zakałą swojego wielkiego rodu

WALCZYLI DO OSTATNIEJ KROPLI KRWI
Straceńcze boje to nie tylko nasza domena – inne narody również toczyły takie walki

NR 10(152)/2025 PAŹDZIERNIK 2025

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

„Bunt" Żeligowskiego

POLSKA ODBIJA WILNO

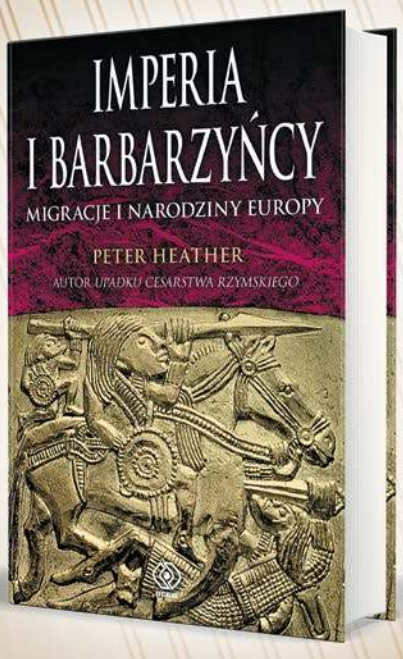

Doskonałe połączenie rzetelnej analizy historycznej z barwną, potoczystą opowieścią

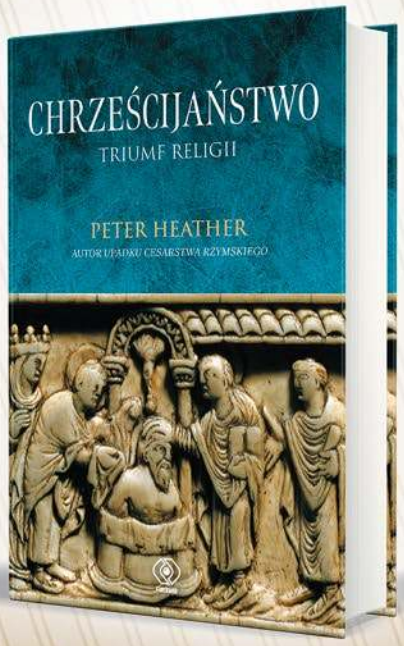

Zaskakująco świeże spojrzenie na tysiąc lat chrześcijaństwa

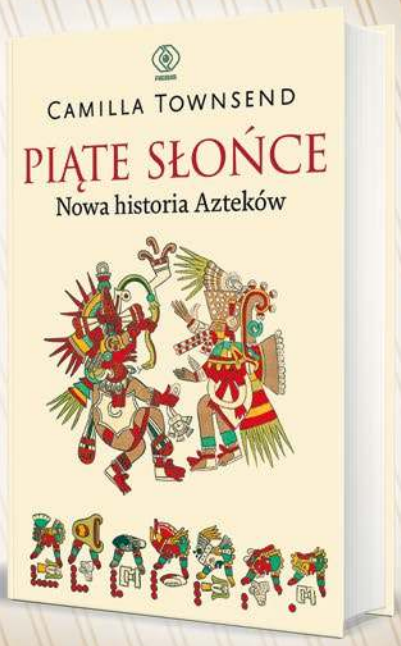

Dzieje Azteków po raz pierwszy przedstawione z ich punktu widzenia

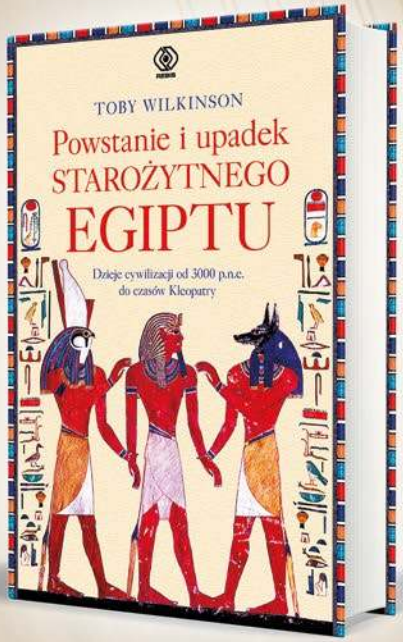

Znakomita, bogato ilustrowana historia starożytnego Egiptu napisana przez wybitnego znawcę tematu Toby'ego Wilkinsona

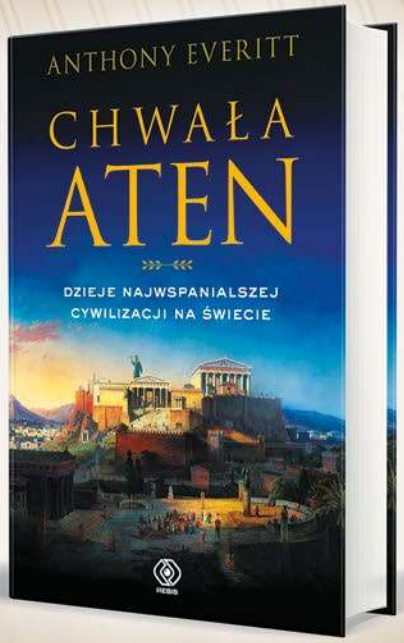

Pasjonująca opowieść o tym, jak niewielkie miasto-państwo w starożytnej Grecji przeistoczyło się w cywilizację, która zmieniła świat

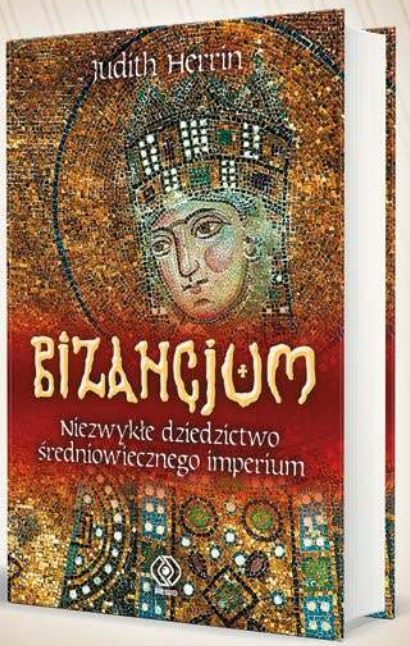

Porywająca panorama imperium bizantyjskiego – od 330 roku aż do jego upadku w 1453 roku

eprasa.pl ed8b1c50fb

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Wileńszczyzna, 1930 r.

Skóra niedźwiedzia, dar pana Sianożęckiego z Rejówki dla prezydenta Ignacego Mościckiego

FOT. NAC

Od redaktora

Piotr Włoczyk

Wielka gra o Wilno

Polska bez Wilna? Czy wyobrażamy sobie II RP bez miasta Mickiewicza i Piłsudskiego? Oczywiście to pytanie retoryczne. Wilno dla północnych kresów odgrywało podobną rolę jak Lwów dla ich południowej części. To tu ogniskowało się życie polityczno-intelektualno-kulturalne tej części II RP.

A jednak ponad 100 lat temu przynależność Wilna do Polski wcale nie była oczywistością. Litwini byli święcie przekonani, że dawna stolica Wielkiego Księstwa Litewskiego będzie miastem stołecznym ich narodowego państwa. Sami byliby zbyt słabi, by wyrwać Polakom Wilno, ale latem 1920 r. pojawiła się szansa, którą bez wahania wykorzystali. Tą szansą byli bolszewicy, którzy po trupie Polski chcieli przenieść rewolucję na Zachód. Po drodze zajęli Wilno, które następnie przekazali Litwinom. Nasi północni sąsiedzi w końcu mieli w garści swoją upragnioną stolicę! Nic to, że ponad połowę mieszkańców stanowili Polacy, a Litwinów żyła w Wilnie garstka. Najważniejsze, że to miasto symbol wreszcie było ich.

Litwini krótko cieszyli się Wilnem. Józef Piłsudski stworzył bowiem śmiały plan, który miał złamać opór Kowna w sprawie związku z Polską. Tak doszło – z inspiracji Piłsudskiego – do „buntu" gen. Lucjana Żeligowskiego. Wydarzenia, które w powszechnej świadomości Polaków kojarzy się przede wszystkim z powrotem polskiego Wilna do macierzy. Ten najważniejszy skutek „buntu" gen. Żeligowskiego siłą rzeczy jest na pierwszym planie, ale przecież wokół Wilna toczyła się wówczas skomplikowana geopolityczna gra.

Profesor Wiesław Łach, historyk, który dokładnie przebadał ten rozdział naszej historii, bardzo ciekawie opowiada w wywiadzie otwierającym najnowszy numer „HDR" o wileńskim gambicie Piłsudskiego. Zajrzyjmy więc za kulisy wydarzeń z jesieni 1920 r., które miały dalekosiężne konsekwencje nie tylko dla miasta Mickiewicza i Piłsudskiego. ©℗

eprasa.pl ed8b1c50fb

/ TEMAT NUMERU

.6 WIESŁAW ŁACH
Wileński gambit Piłsudskiego

.12 JAKUB OSTROMĘCKI
Litewski rozwód z Polską

.16 TOMASZ STAŃCZYK
Gród Giedymina

.20 SŁAWOMIR KOPER
Wileńskie rozmaitości

.24 ANNA SZCZEPAŃSKA
Miasto miłosierdzia

/ CZASY I LUDZIE

.28 LESZEK LUBICKI
Rogatka: Piastowski demon

.32 MAREK GAŁĘZOWSKI
Polscy Żydzi przeciw bolszewii

.36 MIKOŁAJ IWANOW
„Nepmani" na ratunek ZSRS

.40 KAROL OSSOWSKI
Średniowieczni żacy z nożami

.44 PIOTR SEMKA
Wojenne traumy na wystawach

.48 TOMASZ ZAPERT
Ten od „Mazurka Chopina"

.52 ADAM HLEBOWICZ
Polacy w Naddniestrzu

.56 ARKADIUSZ KARBOWIAK
W kleszczach walk AK i UPA

.60 KRZYSZTOF DROZDOWSKI
Brunatne diabły w kitlach

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Kamieńska – tak się śpieszyła

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Hańba polska

.71 PIOTR SEMKA
W kurorcie Wannsee

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Na ostatnim posterunku

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Wojna dyktatorem mody

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Trzecie życie szejka Maszala

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Kula dla kata

eprasa.pl ed8b1c50fb

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROGER MANVELL I HEINRICH FRAENKEL: „GOEBBELS. ŻYCIE I ŚMIERĆ"

Goebbels. Życie i śmierć

„Aby zrozumieć w pełni, jak naziści zdołali osiągnąć swój cel w tak krótkim czasie, nie wolno skupiać się wyłącznie na osobie Hitlera, lecz należy poświęcić równie dużo uwagi osobliwemu, odpychającemu, niebezpiecznemu, a jednocześnie fascynującemu człowiekowi, jakim był Joseph Goebbels."
/ze Wstępu/

Geniusz propagandy i mistrz środków masowego przekazu, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, zaciekły zwolennik „wojny totalnej" – Joseph Goebbels był zapewne najinteligentniejszym i wyjątkowo niebezpiecznym członkiem nazistowskiej hierarchii. To właśnie jego przebiegłe i precyzyjnie obmyślone wykorzystanie nowych wówczas mediów – radia i filmu dźwiękowego – pozwoliły opętać umysły Niemców tak, że oddali władzę w ręce Hitlera, a następnie podporządkowali państwo nazistowskiej ideologii, która doprowadziła do wybuchu najokrutniejszej wojny w historii ludzkości.
Ta klasyczna biografia jest portretem Goebbelsa – człowieka i Goebbelsa – mistrza propagandy. Ukazuje jego historię od lat szkolnych, przez etap odkrycia ruchu nazistowskiego oraz karierę w partii, po ostatnie miesiące, kiedy Goebbels jako jedyny ze starej gwardii dochował wierności Hitlerowi. Autorzy sięgnęli po liczne dokumenty i dotarli do wielu świadków, którzy pomogli im wnikliwie zbadać życiorys i karierę ministra propagandy Trzeciej Rzeszy.

169 zł
oszczędność 48 zł

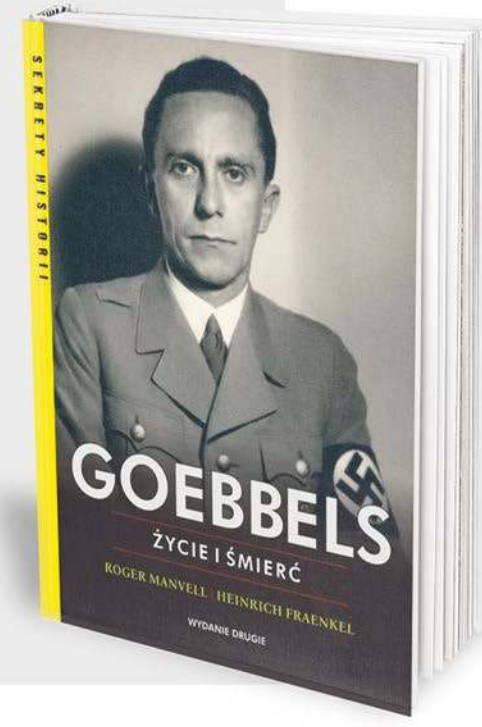

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ed8b1c50fb

Wywiad / Z prof. Wiesławem Łachem, historykiem, autorem książki „»Bunt« Żeligowskiego. Kulisy przyłączenia Wileńszczyzny do Polski 1920–1922”

rozmawia Piotr Włoczyk

Wileński gambit Piłsudskiego

Generał Lucjan Żeligowski i jego żołnierze w zdobytym Wilnie, 1920 r. FOT. NAC

– Naczelnik Państwa cały czas miał nadzieję na stworzenie federacji na ziemiach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wilno w polskich rękach miało być kartą przetargową – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Przejęcie Wileńszczyzny z rąk Litwinów w październiku 1920 r. przeszło do historii pod nazwą „bunt Żeligowskiego”. A jak patrzył na to sam zainteresowany?

PROF. WIESŁAW ŁACH: Generał Lucjan Żeligowski miał wielki żal za nazwanie akcji, którą dowodził, „buntem”. Co ciekawe, sam Józef Piłsudski, który wymyślił cały ten plan, mówił o „powstaniu”, co ma jednak zupełnie inny wydźwięk. Natomiast słowa „bunt” użył w meldunku do dowództwa gen. Władysław Sikorski, dowódca 3. Armii, ówczesny zwierzchnik gen. Żeligowskiego, pisząc: „Wobec najwyraźniejszego buntu ze strony gen. Żeligowskiego i jego oddziałów upraszam Naczelne Dowództwo o możliwie szybką decyzję, jak mam wobec całej sprawy postąpić”. Oczywiście gen. Sikorski doskonale wiedział o planie przejęcia Wilna – chodziło o zachowanie pozorów w oficjalnych meldunkach. Historycy cały czas toczą dyskusję, czy gen. Sikorski użył słowa „bunt” intencjonalnie, by zaszkodzić potem gen. Żeligowskiemu, czy jednak sięgnął po to słowo dość przypadkowo, żeby na wypadek niepowodzenia całkowicie się od tych działań odciąć.

Dziwić może jednak późniejsze, bardzo krytyczne spojrzenie gen. Żeligowskiego na określenie „bunt”, skoro sam Józef Piłsudski zupełnie wprost przedstawił mu tę kwestię: „Może przyjść chwila, że będzie Pan miał przeciwko sobie nie tylko opinię świata, lecz i Polski. Może nastąpić moment, że nawet ja będę zmuszony pójść przeciwko Panu. Trzeba wziąć wszystko na siebie. Tego ja nie mogę rozkazać. Takich rzeczy się nie rozkazuje. Lecz zwracam się do dobrej woli Pana jako wilnianina”. Generał Żeligowski przystał na plan Naczelnika Państwa zakładający pozorowaną niesubordynację, więc chyba musiał się liczyć z tym, że będzie to przedstawiane właśnie jako „bunt”...

Tu odezwał się honor oficerski gen. Żeligowskiego i poczucie wielkiej krzywdy. Bunt kojarzy się nam z aktem zdrady czy wystąpieniem przeciwko swojemu dowódcy. Tym bardziej że słowo to po raz pierwszy zostało użyte, kiedy już zostały wydane rozkazy do wymarszu na Wilno. Generał Żeligowski liczył zapewne na inne określenie, choćby „samodzielne działanie”. Zresztą nie tylko głównodowodzący operacją zajęcia Wileńszczyzny miał potem pretensje za słowo „bunt”. Również część oficerów biorących udział w tej akcji miała żal za użycie tego określenia, tym bardziej że miało ono duże konsekwencje polityczne.

eprasa.pl ed8b1c50fb

Dlaczego Józef Piłsudski wybrał do wykonania tego zadania właśnie gen. Żeligowskiego?

Generał pochodził z Wileńszczyzny. Urodził się w Oszmianie w 1865 r., był gorącym patriotą, synem rodziców, którzy za udział w powstaniu styczniowym zostali zesłani na Syberię. Jak wielu Polaków w tamtym okresie służył w armii rosyjskiej. Od 1912 r. działał w konspiracyjnym Związku Walki Czynnej. W czasie pierwszej wojny światowej dowodził jednostkami polskimi formowanymi przy armii rosyjskiej. W lipcu 1918 r. został mianowany przez gen. Józefa Hallera dowódcą Wojska Polskiego na Wschodzie i awansowany do stopnia generała. W wojnie polsko-bolszewickiej m.in. dowodził skutecznie 10. Dywizją Piechoty w krytycznym momencie Bitwy Warszawskiej – w walkach pod Radzyminem.

Generał Żeligowski cieszył się przyjaźnią i zaufaniem Józefa Piłsudskiego, ale nie był jego bliskim współpracownikiem. Jak sam potem tłumaczył Naczelnik Państwa, chodziło o oficera, który „mocą swojego charakteru potrafi utrzymać się na należytym poziomie, i że poleceniom i żądaniem rządu nie będzie, zarówno jak poleceniom moim, przeciwstawiać się w pracy wojskowej".

Ponadto decydującymi czynnikami, które zaważyły na tym wyborze, były jego wielki autorytet i zaufanie wśród żołnierzy, osobista odwaga i umiłowanie rodzinnego Wilna i ziemi wileńskiej.

Czy wiemy, kiedy Józef Piłsudski postanowił w ten właśnie sposób przejąć swoje ukochane miasto?

Pierwsze oznaki jego dążeń w tym kierunku można dostrzec już w rozkazie o przegrupowaniu sił z 18 sierpnia 1920 r. W tym rozkazie Piłsudski przywrócił Dywizji Litewsko-Białoruskiej, przemianowanej przez gen. Hallera na 19. Dywizję, dawną jej nazwę i rozkazał przesunąć ze składu 1. armii do 2.

I właśnie na bazie tej dywizji w pierwszych dniach października 1920 r., wraz z pułkami ułanów 13. i 211., których żołnierze w zdecydowanej większości

Lucjan Żeligowski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

pochodzili z Wileńszczyzny, oraz grupą ochotniczą mjr. Mariana Zyndrama-Kościałkowskiego, oficera pochodzącego z Wileńszczyzny, Piłsudski stworzył siły, które przejęły Wilno. Dowództwo całości zdecydował się powierzyć gen. Żeligowskiemu. Tak powstała Grupa Operacyjna „Bieniakonie".

2 października 1920 r. gen. Żeligowski pojechał do Lidy, gdzie odbyła się odprawa oficerów Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Najmniej wahań w kluczowym momencie podejmowania decyzji wykazywali oficerowie pochodzący z Kresów. Natomiast opór w kwestii realizacji siłowego przejęcia Wileńszczyzny pojawił się wśród oficerów starszych. Krytycy argumentowali, że potrzebują konkretnego rozkazu, gdyż rozwój sytuacji może zmusić ich do wykonania zadania oficjalnie mającego wszelkie znamiona niesubordynacji wojskowej.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, aż w nocy z 7 na 8 października 1920 r., tuż przed wymarszem na Wilno, interweniować musiał gen. Sikorski, któremu podlegała GO „Bieniakonie"...

5 października 1920 r. została utworzona 3. Armia, w której skład weszła GO „Bieniakonie". Dowództwo tej armii otrzymał gen. Władysław Sikorski. O narastających problemach z niesubordynacją Żeligowski powiadomił Kwaterę Główną Naczelnego Wodza, która koordynowała całą akcję. Do zwątpienia najbardziej przyczynił się płk Feliks Dziewicki. On właśnie okazał się czołowym antagonistą marszu na Wilno bez akceptacji przełożonych. Generał Żeligowski charakteryzował jego postępowanie w sposób następujący: „Jego pułk był niedaleko i Dziewicki obawiał się, że otrzyma rozkaz iść ze mną. Chciał wtedy zwołać wiec i zapytać żołnierzy o zdanie. Zabroniłem tego. Wolałem wyzbyć się tego pułku, niż urządzać wiece".

Odznaka Dywizji Litewsko-Białoruskiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUTOR ODZNAKI: TADEUSZ ROSTWOROWSKI

Generał Sikorski otrzymał od marszałka Piłsudskiego zadanie zażegnania kryzysu. Udał się więc do Woronowa, do sztabu gen. Żeligowskiego, i na odprawie potwierdził całą akcję, mówiąc: „Trzeba to wykonać". Ostatecznie 8 października rano nastąpiły odprężenie i przełamanie kryzysu.

Noc z 7 na 8 października wygląda pod pewnymi względami jak komedia. Najpierw gen. Sikorski przekonuje wahających się oficerów, że ta operacja nie jest samowolą gen. Żeligowskiego, a kilka godzin później pisze wspomniany już meldunek do dowództwa, w którym informuje o „buncie"...

Dowództwo zadbało o utrzymanie pozorów – w oficjalnej korespondencji Wojsko Polskie musiało się odciąć od akcji gen. Żeligowskiego.

WIESŁAW ŁACH
„»BUNT« ŻELIGOWSKIEGO. KULISY PRZYŁĄCZENIA WILEŃSZCZYZNY DO POLSKI. 1920–1922"
BELLONA

Po zażegnaniu kryzysu gen. Żeligowski przesłał depeszę do dowództwa 3. Armii, w której skład wchodziły jego oddziały, oficjalnie wypowiadając posłuszeństwo. Rozwój sytuacji przedstawił Kwaterze Głównej gen. Sikorski. Jednak – jak wcześniej wspomniałem – kończąc swój meldunek dla Belwederu, użył często później cytowanych zbyt ostrych i absolutnie nieadekwatnych słów.

Czy przyniosło to pożądany skutek? Czy opinia międzynarodowa „kupiła" wersję o buncie?

Nie, tutaj nikt nie miał wątpliwości, że gen. Żeligowski działa w porozumieniu z Belwederem. Ale jednak Naczelnik Państwa wolał utrzymywać pozory. Mimo wszystko uważał, że może przyjść chwila, gdy będzie miał przeciwko sobie nie tylko opinię krajów europejskich, lecz także Ligę Narodów.

eprasa.pl ed8b1c50fb

Polscy żołnierze na placu Ratuszowym w Wilnie, 1920 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZIELONOGÓRSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Zanim przejdziemy do omawiania realizacji tej operacji, wyjaśnijmy, dlaczego Józef Piłsudski uznał, że należy siłą przejąć Wilno. Polacy mieli wówczas przewagę na polu bitwy nad bolszewikami. Czy dyplomatyczna presja na Litwinów uznana została za stratę czasu?

Przede wszystkim musimy rozumieć, że Litwini nie wyobrażali sobie swojego państwa bez Wilna, historycznej stolicy Wielkiego Księstwa Litewskiego. I to mimo że większość jego mieszkańców stanowili Polacy, a ich samych była zdecydowana mniejszość.

Piłsudski hołdował polityce federacyjnej, która stała w opozycji do polityki inkorporacyjnej lansowanej przez endecję. Litwini jednak chcieli samodzielnie tworzyć swoje własne państwo. Oczywiście za to, że jest ich tak mało i zajmują tak niewielki obszar, winili głównie Polaków i polonizację samych Litwinów. Elity litewskie całkowicie odrzucały ideę federacyjną. Bały się, że Polska kompletnie zdominuje Litwę.

Polska uznawała de facto Republikę Litewską, jednak nazywanie tego państwa Litwą kowieńską doprowadzało do furii elity litewskie. Spór o Wileńszczyznę rozgorzał na dobre wraz z końcem pierwszej wojny światowej. Teren ten przechodził z rąk do rąk, ale poza Litwinami i Polakami pojawił się jeszcze jeden gracz – bolszewicy.

Latem 1919 r. Francuzi zaproponowali tzw. Linię Focha, która była pierwszą tymczasową granicą, odzwierciedlającą stan faktyczny. Wilno leżało wówczas po polskiej stronie tej linii. Jednak wiadomo było, że to jedynie „prowizorka". Z kolei po stronie litewskiej znajdowały się m.in. Sejny. W sierpniu 1919 r. doszło do udanego powstania sejneńskiego, o którym mało kto słyszał, i w ten sposób Polacy odzyskali ten kawałek Suwalszczyzny. Po wygaśnięciu walk wzajemna wrogość coraz bardziej się uwidoczniała.

W lipcu 1920 r. spotkały Polskę dotkliwe niepowodzenia wojenne. Jednocześnie przyszły też znamienne w skutkach porażki polityczne. W momencie, gdy losy wojny odwróciły się i Polacy odzyskali inicjatywę militarną, odżyła sprawa Wilna w wyniku przekazania tego miasta Litwinom przez bolszewicką Rosję. Doszło do tego w okresie chaotycznego odwrotu Armii Czerwonej po zwycięskiej kontrofensywie Polaków.

Mimo że Wilno zostało przekazane w ręce litewskie dopiero pod koniec sierpnia 1920 r., tj. w momencie wycofywania się bolszewików z zajętych ziem litewskich, Litwini potrafili dobrze pod względem propagandowym wykorzystać okres władania miastem, gdyż zdążyli sprowadzić do niego przedstawicieli państw zachodnich. Właśnie z uwagi na obecność przedstawicieli ententy w Wilnie Litwini czuli się bardzo pewni w sporze z Polską.

Generał Żeligowski miał do dyspozycji raptem kilkanaście tysięcy żołnierzy. Dlaczego w takim razie Litwini tak szybko utracili Wilno, na którym tak bardzo im przecież zależało?

Nie możemy zapominać o tle całej tej sytuacji, czyli o regularnych działaniach wojennych prowadzonych między armią litewską i polską na terenie Suwalszczyzny. W końcu sierpnia na Suwalszczyznę wkroczyły oddziały Wojska Polskiego. Litwini wycofali się za Linię Focha, jednak na początku września ponownie zajęli Sejny. Zakończenie walk przyniosła największa i najkrwawsza bitwa o Sejny, która rozegrała się 22 września 1920 r. Litwini ponieśli całkowitą klęskę. Litewska 2. Dywizja Piechoty straciła ponad tysiąc żołnierzy. Dodatkowo w bitwie nad Niemnem zostały pokonane wojska bolszewickie. W tej sytuacji rząd w Kownie poszukiwał rozwiązań kompromisowych.

Równolegle bowiem z polskimi przygotowaniami do akcji gen. Żeligowskiego 30 września w Suwałkach rozpoczęła się konferencja polsko-litewska między Polakami i Litwinami. 7 października podpisano umowę o zawieszeniu broni i uznaniu stanu faktycznego, czyli Wilno pozostawało w rękach litewskich. Piłsudski planował przerwać konferencję, ale sprawę skomplikowała obecność przedstawicieli Ligi Narodów. Natomiast już cztery godziny później GO „Bieniakonie" pod dowództwem gen. Żeligowskiego wyrusza na Wileńszczyznę… Polacy chętnie mówią, że akcja ta nastąpiła w momencie, gdy umowa suwalska nie weszła jeszcze w życie, więc nie doszło do pogwałcenia zobowiązań.

Armia litewska siłą rzeczy nie mogła być zbyt duża.

Siły zbrojne Litwy liczyły słabo zorganizowane cztery dywizje piechoty, przy czym były osłabione i zdezorganizowane walkami na Suwalszczyźnie. Te wojska bardziej nadawały się do ochrony granic niż do prowadzenia działań wojennych. Niewielkie oddziały litewskie na Wileńszczyźnie zostały zaskoczone przez siły gen. Żeligowskiego i po krótkich walkach się wycofały.

Patrząc na te walki, można odnieść wrażenie, że to były właściwie dżentelmeńskie boje. Żadnych mordów, żołnierze litewscy po rozbrojeniu puszczani byli do domów…

eprasa.pl ed8b1c50fb

Piłsudski bardzo naciskał, żeby tak to wyglądało. Naczelnik Państwa nie chciał dodatkowo zrażać Litwinów. W ciągu pierwszych godzin marszu gen. Żeligowski nie napotkał żadnego większego oporu wojsk litewskich. Silniejszy opór stawili jedynie nad rzeką Mereczanką. Po przegranej zarządzili ewakuację Wilna.

Ostatnią deską ratunku, której chwycili się Litwini, była próba umiędzynarodowienia tego kryzysu. Przekazali mianowicie władzę w Wilnie przedstawicielom Ligi Narodów. Tymczasowym gubernatorem został szef misji francuskiej płk Constantin Reboul, który sprzeciwiał się stanowczo akcji Polaków. Wilno miałoby pozostać wolnym miastem, ale gen. Żeligowski odrzucił tę propozycję. O zmierzchu 9 października oficjalnie wkroczył do miasta 85. Pułk Strzelców Wileńskich, który z woli Naczelnego Wodza winien tu się znaleźć jako pierwszy.

Jaka była reakcja mieszkańców?

Oczywiście entuzjazm był ogromny. Nic dziwnego – zgodnie z niemieckim spisem z 1916 r. ponad połowę mieszkańców miasta stanowili Polacy, 43,5 proc. Żydzi i zaledwie 2,5 proc. Litwini.

Do czego zmierzał wówczas Piłsudski? Czy chciał wcielić Wilno do Polski?

Wtedy jeszcze, w drugiej połowie 1920 r., miał nadzieję, że przejęcie Wilna i stworzenie Litwy Środkowej posłuży mu jako argument w rozmowach z Litwinami. Cały czas miał nadzieję na stworzenie federacji na ziemiach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wilno w Polskich rękach miało być kartą przetargową. Perspektywa wcielenia tego miasta do Polski mogła – w przekonaniu Piłsudskiego – przekonać Litwinów, że lepiej się porozumieć z Polską i stworzyć federację. I stąd ta nazwa – Litwa Środkowa. Wraz z Litwą kowieńską i Litwą białoruską miał to być jeden z członów federacji.

Jak wyglądały początki Litwy Środkowej?

12 października ogłoszone zostają granice tego quasi-państwa, a także symbolika – w herbie widnieją Pogoń i Orzeł. Generał Żeligowski obwołał się naczelnym dowódcą wojska tego marionetkowego państwa, a funkcje rządu objęła Tymczasowa Komisja Rządząca. Ten symboliczny gest nie oznaczał jednak końca działań wojennych. Wojska litewskie szybko stają na nogi i choć samo Wilno jest bezpieczne, to gdzie indziej na Wileńszczyźnie Litwini wciąż stawiają opór. Wojska polskie chciały dojść do Linii Focha, ale nie przychodzi im to łatwo. 18 października Litwini przechodzą do ofensywy, wyraźnie chcąc zająć Wilno, ale Polacy powstrzymują te działania. Jedna z dywizji litewskich została wówczas rozbita w sposób wręcz spektakularny – jej sztab trafił do niewoli. Dowodzącego nią gen. Stasysa Nastopkę znaleziono pod strzechą – zdradził go wywieszony mundur, którego nie zdążył założyć. Generał Żeligowski uznał, że to niepowodzenie skłoni Kowno do kompromisu. Tak się jednak nie stało.

Biskup Władysław Bandurski, naczelny kapelan wojsk Litwy Środkowej FOT. NAC

Wspomniałem, że mieszkańcy Wileńszczyzny przywitali Wojsko Polskie wybuchem entuzjazmu. Jednak po pewnym czasie pojawiły się też problemy, które ten entuzjazm nieco przygasiły. Chodziło m.in. o aprowizację wojsk. A co robi wojsko, gdy pojawiają się takie problemy?

Stara się poradzić na własną rękę...

Zaczęły się więc rekwizycje, co odbijało się oczywiście na cywilach. Wojsko traciło też dyscyplinę, pojawiły się dezercje w większej skali. Jeżeli chodzi o żołnierzy służby zasadniczej podległych gen. Żeligowskiemu, to ponad połowa z nich pochodziła z Wileńszczyzny, ale jednak wielu wywodziło się z innych rejonów kraju. Dezerterzy mieli już dość służby dla Litwy Środkowej, z którą nie mieli wiele wspólnego.

Na forum Ligi Narodów cały czas toczyły się rozmowy?

Tak. Pierwszym pomysłem był plebiscyt. Obie strony teoretycznie zgadzały się na takie rozwiązanie, ale każda z nich widziała to na zupełnie innych warunkach. Ta ścieżka okazała się więc ślepa.

A tymczasem po chwilowym uspokojeniu sytuacji na froncie, w listopadzie, znów wybuchają walki. Grupa ziemian i oficerów z Litwy Środkowej domaga się od gen. Żeligowskiego zrobienia „porządku" z Litwinami i tak się dzieje. Litwini nie dali się jednak zaskoczyć i odparli wojska Litwy Środkowej. Wobec impasu działania wojenne zostały wstrzymane i od 23 listopada 1920 r. zaczęło obowiązywać zawieszenie broni, które było już przestrzegane.

Orzeł i Pogoń w herbie Litwy Środkowej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WŁADIMIR ŁOBACZEW

Jak Warszawa planowała dalszą przyszłość Litwy Środkowej?

Strona polska widzi już jasno, że Litwini absolutnie nie zamierzają funkcjonować z Polską w ramach jednego organizmu. Na forum Ligi Narodów delegat belgijski Paul Hymans parł do tego, by rozwiązać sprawę w oparciu o system kantonów. Plan Hymansa wzywał do stworzenia dwukantonalnej Litwy – z Kownem i Wilnem. Obowiązywałyby tam dwa języki – litewski i polski. To państwo miało być powiązane sojuszem wojskowym i wspólną polityką zagraniczną. Pozycja Piłsudskiego jednak ulegała osłabieniu i w siłę rośli w Polsce politycy, którzy domagali się włączenia Wileńszczyzny w granice państwa polskiego.

eprasa.pl ed8b1c50fb

Marszałek Józef Piłsudski przyjmuje defiladę w Wilnie po przyłączeniu Wileńszczyzny do Polski, kwiecień 1922 r.
FOT. NAC

W końcu pojawiła się taka możliwość, bo LN wycofała się z misji mediacyjnej. Po wielu próbach rozwiązania tego problemu obie strony konfliktu w pewien sposób „wymęczyły" tę organizację. Poza tym LN miała już na głowie inne zmartwienie – konflikt grecko-turecki, który był o wiele poważniejszy.

W związku z tym, że społeczność międzynarodowa w znacznej mierze straciła zainteresowanie kwestią przynależności Wileńszczyzny, w Warszawie zapadła decyzja o przeprowadzeniu na Litwie Środkowej wyborów, zorganizowaniu wileńskiego sejmu i zainicjowaniu procedury włączenia tego quasi-państwa do Polski.

Jak się zachowywali w tej sprawie Brytyjczycy i Francuzi?

Francja sprzyjała Polsce, natomiast Brytyjczycy, chcąc osłabić Paryż i jego interesy w Europie Środkowo-Wschodniej, oczywiście zwalczali wszelkie pomysły powiększenia Polski.

Gdyby Piłsudski miał wtedy w Polsce władzę absolutną, to czy poczekałby jeszcze z włączeniem Wileńszczyzny do Polski?

Litwa Środkowa była potrzebna Piłsudskiemu do przekonania Litwinów do zawarcia ścisłego sojuszu z Polakami. W 1922 r. można było już jednak zrozumieć, że Litwini tego nie chcą. I była to ostateczna klęska śmiałych planów Józefa Piłsudskiego.

Mało kto wiąże naszą klęskę we wrześniu 1939 r. z tym, co się stało na początku lat 20. w relacjach między Polską i Litwą, ale uważam, że nieprzezwyciężenie tamtych animozji i problemów doprowadziło do naszego wspólnego upadku.

Podobnie myślał Michał Römer, wybitny intelektualista, który uważał siebie samego za jednocześnie i Litwina, i Polaka. Na początku 1922 r., gdy Römer widział, że inkorporacja Litwy Środkowej do Polski jest już nieunikniona, powiedział, że ginie tym samym tak Polska, jak Litwa.

Niestety, niewielu było takich ludzi w obu narodach.

Ja bym jednak polemizował z tezą, że sojusz z Litwą mógłby zabezpieczyć nasze kraje przed katastrofą drugiej wojny światowej. Czy Litwa nie była po prostu zbyt słaba, by zmienić diametralnie naszą sytuację wobec niemiecko-sowieckich kleszczy?

Pod koniec dwudziestolecia międzywojennego Litwa, Łotwa i Estonia miały ok. 10 dobrze wyposażonych i wyszkolonych dywizji. Gdyby kwestia Wileńszczyzny ułożyła się inaczej, to sprawy mogły przybrać lepszy dla nas obrót. Polsce udało się zmobilizować w 1939 r. 30. dywizji. Być może gdybyśmy jeszcze mieli do dyspozycji potencjał naszych północnych sojuszników, to historia potoczyłaby się inaczej...

Przypomnę, że Łotysze chcieli stworzyć taki sojusz. Jednak zaznaczali w rozmowach z Polakami, że najpierw muszą oni „uporządkować" sprawy z Litwą. Takie samo stanowisko prezentowali Estończycy. Pamiętajmy też, że malutka Finlandia potrafiła narobić ogromnych problemów Związkowi Sowieckiemu.

Czy jednak sprzeczności między Polakami i Litwinami nie sprawiały, że właściwie od samego początku nie mogło być mowy o żadnej federacji?

Z perspektywy czasu widzimy, że nacjonalizmy po obu stronach granicy były zbyt duże. Kompromisowe wyjście nikogo nie interesowało, a konflikt o przynależność Wileńszczyzny w tamtej rzeczywistości był nie do rozwiązania.

W dwudziestoleciu międzywojennym to Polacy, a nie Sowieci byli postrzegani w Kownie jako największe zagrożenie?

Tak. I to Józef Piłsudski był największym wrogiem, bo wszyscy doskonale wiedzieli, że to właśnie on był pomysłodawcą siłowego przejęcia Wilna. W tej hierarchii litewskich wrogów dopiero na drugim miejscu był gen. Żeligowski.

Oba narody, po długich negocjacjach, ostatecznie w 1994 r. zamknęły kwestie sporne związane z „buntem". Widać to w ugodowo napisanej preambule „Traktatu między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Litewską o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy".

Mam cichą nadzieję, że ta garść informacji o tzw. buncie pozwoli zrozumieć czytelnikom złożoność relacji polsko-litewskich, a także zainteresuje historią i wspólnymi problemami tak nam terytorialnie i historycznie bliskiego narodu litewskiego, zwłaszcza w obliczu wspólnego wroga.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Wiesław Łach
jest historykiem, pracownikiem naukowym Instytutu Historii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, autorem książki „»Bunt« Żeligowskiego. Kulisy przyłączenia Wileńszczyzny do polski 1920–1922".

eprasa.pl ed8b1c50fb

REPUBLIKA

Ostre rozmowy Miłosza Kłeczka ze znanymi politykami
o najważniejszych sprawach dotyczących Polski.
Wszystko W RUCHU, podczas aktywnego uprawiania sportu

MIŁOSZ KŁECZEK

W RUCHU

PREMIERA

w każdy poniedziałek
na kanale @Telewizja_Republika

i w każdą niedzielę o 17:45
w REPUBLICE

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl ed8b1c50fb

Dwudziestolecie międzywojenne / Wileńska kość niezgody

Litewski rozwód z Polską

Prezydent Antanas Smetona z żoną Sofiją Chodakauskaitė-Smetonienė (Zofią Chodakowską), 1928 r. FOT. NAC

Jakub Ostromęcki

Młode państwo litewskie robiło wszystko, aby pogrzebać pamięć o Rzeczypospolitej Obojga Narodów. W celu odzyskania świętego dla nich Wilna Litwini gotowi byli sprzymierzyć się z każdym, kto szkodził Polsce, najchętniej z Niemcami lub z Sowietami

16 lutego 1918 r., wraz z powstaniem niepodległej Republiki Litewskiej, historia zatoczyła koło. Słowo „Litwin" znaczyło teraz z grubsza to samo co w XII–XIII w. Nie był to już mieszkaniec Wielkiego Księstwa Litewskiego, najczęściej prawosławny, potem katolik, mówiący do chłopów po rusku, rzadziej po litewsku, a pozwy i wiersze piszący po polsku. Litwin w 1918 r. znowu był przede wszystkim Bałtem – choć oczywiście ten termin, ukuty przez niemieckich naukowców, w dawnych wiekach nie funkcjonował. Republika Litewska była państwem etnicznym, w którym mówiono pradawnym językiem, słyszanym przez wieki jedynie w chałupach i w puszczach, który wysiłkiem nauczycieli, pisarzy i księży podniesiony został do statusu języka literackiego. Jedyną spuścizną dawnych związków z Polską, którego nowi-starzy Litwini pozbyć się nie mogli, była religia rzymskokatolicka. Ostatecznie granice państwa, bez upragnionego Wilna, okrzepły po akcji Żeligowskiego i decyzji Rady Ambasadorów z 15 marca 1923 r. Stolicą nowego państwa zostało Kowno. Stąd czasem nazywano to państwo Litwą Kowieńską.

Od dyktatury do dyktatury

1 sierpnia 1922 r. uchwalono konstytucję Republiki Litewskiej. Formalnie było to państwo demokratyczne gwarantujące obywatelom wiele swobód z dość nietypowymi kadencjami najważniejszych organów – sejm i prezydent wybierani byli na trzy lata. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne na Litwie obowiązywał jednak stan wojenny, motywowany oczywiście polskim zagrożeniem, co w praktyce uczyniło Litwę państwem autorytarnym, gdzie obywatel, niezależnie od pochodzenia etnicznego, zdany był na łaskę i niełaskę lokalnych komendantów wojskowych interpretujących prawo po swojemu.

Z czasem to nie prawa i wolności, ale aparat wojskowo-urzędniczy stał się uosobieniem i podporą państwa. Były to realia nie tylko specyficznie litewskie, lecz także charakterystyczne dla kilku państw zachodnich i całej Europy Środkowej, z wyjątkiem Czechosło-

eprasa.pl ed8b1c50fb

Herb Litwy (1918–1940)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANTANAS ŽMUIDZINAVIČIUS

wacji. Niemal przez całą dekadę lat 20. rządy w kraju sprawowała Litewska Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna. W 1926 r. utraciła na chwilę władzę na rzecz sojuszu socjaldemokratów i ludowców i był to czas, gdy Litwa zaczęła traktować serio prawa zapisane w konstytucji. W tym samym roku wojsko przeprowadziło jednak zamach stanu i władzę przejęli nacjonaliści zwani nad Niemnem „tautininkai". Był to zarazem powrót do autorytaryzmu.

Nowa konstytucja zdegradowała rolę sejmu, a wzmocniła prezydenta, wybieranego już nie na trzy lata, ale na siedem. Wyznaczał go nie sejm, ale „specjalni przedstawiciele narodu" – w zdecydowanej większości starannie dobrani nacjonaliści. Uosobieniem nowego systemu stał się Antanas Smetona, jeden z ojców założycieli niepodległej Litwy, siedzący od tej pory na prezydenckim stolcu aż do końca niepodległości państwa.

Za jego czasów cenzura była jeszcze ostrzejsza niż za chadeków. W 1936 r. tamtejsze MSW zadekretowało, że jedyną partią polityczną mogącą jakkolwiek działać będą „tautininkai". W wyborach prezydenckich w 1936 r. Smetona zdobył 118 ze 120 głosów. Dwa pozostałe głosy były nieważne. Mimo tych posunięć uchodził za dyktatora oświeconego. Z wykształcenia był językoznawcą, dziennikarzem, poliglotą, człowiekiem bardzo kulturalnym i skromnym. Z prawej strony próbował go obchodzić szef dyplomacji i były premier Augustinas Voldemaras, przywódca organizacji Żelazne Wilki, zafascynowany włoskim faszyzmem i właśnie taki ustrój pragnący zainstalować na Litwie. W 1934 r. jego bojówkarze, głównie młodzi oficerowie, próbowali siłą wymusić na Smetonie dymisję rządu i oddanie teki premiera Voldemarasowi. Pucz skończył się klapą, a niedoszły nadbałtycki duce poszedł za kratki. Ostatecznie w czasie wojny zamordowali go Sowieci.

Od fundamentów

Naród litewski trzeba było zbudować na nowo. Dawne instytucje były dogłębnie spolonizowane. Pierwszy uniwersytet o czysto litewskim, etnicznym charakterze otwarto w 1922 r., po dwóch latach sporów o to, jak bardzo świecka będzie to uczelnia. Równolegle wielkim wysiłkiem finansowym zbudowano szkoły powszechne i średnie, co przyczyniło się walnie do ograniczenia analfabetyzmu.

Litwa była państwem biednym, głównie rolniczym, z raczkującym przemysłem, gdzie dodatkowo występował głód ziemi. Jednym z najważniejszych problemów gospodarczych była zatem reforma rolna. Była ona mniej radykalna niż na Łotwie, gdzie bez odszkodowania wywłaszczono niemieckich junkrów, ale szła w swych założeniach dalej i przeprowadzono ją szybciej niż reformę polską. Uderzyła ona w pierwszej kolejności w ziemiaństwo, a ponieważ ludzie ci byli w większości Polakami, to stało się to orężem w walce o wyrugowanie polskości. W rękach byłych właścicieli pozostawiono po 80 ha. Odszkodowań za utraconą ziemię przez kilka pierwszych lat obowiązywania reformy nie wypłacano w ogóle, co nieraz doprowadzało ziemian do bankructw, przymusowej emigracji do Polski czy nawet samobójstw.

Szczęśliwi ci, którzy mieli gospodarstwa nowoczesne i wyspecjalizowane. Parcelacja doprowadziłaby je do ruiny, a Litwini potrafili liczyć pieniądze, więc pozostawili je w rękach ziemian. Plan z punktu widzenia Kowna się powiódł. Polscy ziemianie na Litwie przestali liczyć się jako grupa społeczna mogąca spolonizować nowe państwo. Obszar ich posiadania skurczył się o ponad 80 proc. „Reforma rolna obcięła białemu orłu pazury, którymi od wewnątrz szarpał ciało Litwy" – podkreślała gazeta „Lietuva". Pewną poprawę w latach 30. przyniosły rządy narodowców, którzy stwierdzili, że ziemian polskich można zjednać, wykorzystując ich lokalny sentymentalizm. Zaprzestano więc parcelacji majątków mających poniżej 150 ha i rozpoczęto w końcu wypłatę odszkodowań.

Litwa w roku 1939 była państwem bogatszym niż 20 lat wcześniej. Wielki kryzys obszedł się z nią mniej brutalnie niż z Polską. Wzrosła produkcja, a wieś zaczęła zmieniać się na lepsze. Jak pisze historyk Alfonsas Eidintas, w 1930 r. dochód narodowy przypadający na jednego mieszkańca wynosił na Litwie 450 funtów brytyjskich (w Polsce – 550, na Łotwie – 900, w Finlandii – 950). Litwa pod względem gospodarczym górowała nad Rumunią i Bułgarią. Jednocześnie przeciętny polski chłop na Litwie, sam nieufający urzędnikom i agronomom, a i przez nich nieufnie traktowany, w latach 30. był od litewskiego biedniejszy.

Otwarcie sesji drugiego sejmu litewskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LRS.LT

eprasa.pl ed8b1c50fb

Jakże odwrotna sytuacja panowała w szkołach, o czym zaraz.

Walka z polskością

W Republice Litewskiej mieszkało ok. 150 tys. Polaków, co stanowiło kilka procent populacji. W Kownie twierdzono, że są to tak naprawdę spolonizowani Litwini. Po części była to prawda. Jak pisze Krzysztof Buchowski w monografii „Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918–1940", masowa polonizacja litewskich chłopów na Wileńszczyźnie – podkreślmy: dobrowolna – nastąpiła dopiero w drugiej połowie XIX w. Mieszczanie spolonizowali się na początku tamtego stulecia, a szlachta jeszcze w czasach Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

W stosunku do Polaków cel niepodległej Litwy był jasny: jak najszybciej przywrócić im utraconą litewskość. Mniejszość narodowa, w większości optująca za jak najściślejszym związkiem z Rzecząpospolitą, znakomicie cementowała też Litwinów wokół idei walki z niebezpiecznym i podstępnym wrogiem. Antypolskie były więc wszystkie litewskie partie od lewa do prawa. Wtórował tym koncepcjom litewski Kościół. Juozas Purickis, ksiądz, poseł i minister spraw zagranicznych, uważał polonizację za grzech. Dokonał nawet jego specyficznej klasyfikacji. Polonizacja Litwina w Polsce była zatem według niego wytłumaczalna, będąc grzechem „contra naturam i contra pietatem". Na Litwie jednak, wśród swoich, taka przemiana w Polaka była grzechem „contra iustitiam", anomalią, schorzeniem, które trzeba leczyć. Podejrzane było też „kryptopolactwo", czyli znajomość języka litewskiego i okazywanie lojalności wobec państwa przy równoczesnym trwaniu przy polskiej kulturze. Organizowano publiczne sądy nad Władysławem Jagiełłą. Wyrok był jeden – arcyzdrajca, polski sługus.

Asymilacji służył szeroki wachlarz całkiem naturalnych zarządzeń, a także ordynarnych szykan i represji.

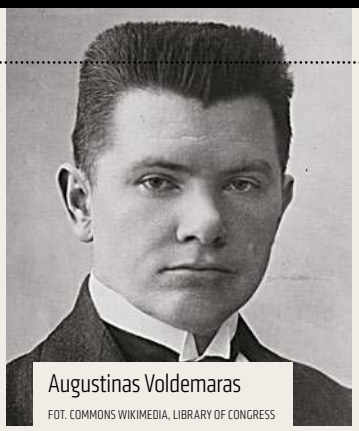

Augustinas Voldemaras

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

O ile bowiem powszechny obowiązek potwierdzonej egzaminem znajomości języka litewskiego można zrozumieć, o tyle pomysł zakazu wieszania polskich szyldów na prywatnych sklepach czy stowarzyszeniach niczym nie różnił się już od brutalnych metod stosowanych w czasach Murawjowa po powstaniu styczniowym. Polak miał marne szanse zostać oficerem, ale tak długo, jak działał litewski sejm, tak długo funkcjonowało tam złożone z kilku posłów koło polskie.

Rząd Litwy starał się zniszczyć polskie szkolnictwo, uderzając najpierw w podstawówki. Polska szkoła bowiem, korzystając ze wsparcia z Rzeczypospolitej i hojnie dotowana przez ziemian, miała często lepsze wyposażenie niż litewska. Organizowała też darmowe posiłki. A to z kolei powodowało, że do polskich szkół szły również dzieci z małżeństw mieszanych lub w ogóle z całkowicie litewskich. Władze zastosowały więc kilka chwytów. Zamykano szkoły z powodu braku ukończenia litewskich studiów przez polskich nauczycieli lub też przenoszono uczniów w przypadkach, gdy przynajmniej jeden z rodziców miał wpisaną w paszporcie narodowość litewską. Dzieci urzędników miały w ogóle zakaz chodzenia do szkół polskich.

W placówkach mniejszości polskiej część przedmiotów i tak musiała być nauczana po litewsku. Podręczniki polskie do podstawówki trzeba było przemycać, ale jednocześnie litewskie instytucje naukowe masowo i zarazem cichaczem zamawiały literaturę polską (z braku własnej). Zdesperowanym rodzicom pozostawało nauczanie domowe – to jednak też było nielegalne. Kary za łamanie litewskiego prawa szkolnego obejmowały m.in. przymusowe osiedlenie w innej części kraju, jak najdalej od skupisk polskiej mniejszości, grzywny, rzadziej więzienie. Przez 20 lat Litwinom udało się zredukować liczbę polskich podstawówek sześciokrotnie. Szykany nie kończyły się jednak na tym poziomie edukacji. „Matura polskiego gimnazjum była na Litwie raczej wilczym biletem" – wspominał dziennikarz Edmund Jakubowski. Trudno było też dostać się na studia, mając w dokumentach wpisaną polską narodowość. Nic dziwnego, że Polacy na uniwersytecie kowieńskim byli niedoreprezentowani. Kto mógł – wyjeżdżał do Wilna.

Szykany nie objęły tylko szkolnictwa. Ogłaszano konkursy na nowe powiedzonka i sentencje ludowe, w których Polak występował zawsze jako kłamca, arogant i obłudnik. Dogłębnie lituanizowano Kościół katolicki. Do litewskich seminariów Polaków nie wpuszczano i na początku lat 30. XX w. trudno było na Litwie trafić na Mszę po polsku.

Co kilka lat wybuchały antypolskie zamieszki, które na szczęście nie przerodziły się w masowe pogromy. W maju 1924 r. bito wiernych idących na nabożeństwa po polsku. Rok potem „nieznani sprawcy" zamazali w Kownie polskie szyldy sklepowe. Właściciele musieli w dzień chronić je łańcuchami i kłódkami, a na noc ukrywać za drzwiami. Niejeden polski poseł na sejm został obrzucony jajami. „Stopniowo zaczął przeważać typ cichego Polaka zachowującego swą narodowość w czterech ścianach pry-

Zdemolowany przez Litwinów gmach polskiego gimnazjum im. Mickiewicza w Kownie, 1930 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl ed8b1c50fb

watnego mieszkania" – pisał Edmund Jakubowski. W Radzie Miasta Kowna odsetek Polaków spadł z 42 proc. w 1918 r. do 22,3 proc. w 1924 r.

„Wasz Żeligowski lepszy?", „U was też biją" – odpowiadali dziennikarzom i posłom litewscy urzędnicy indagowani po antypolskich ekscesach. Przyznać trzeba, że litewscy Polacy nieraz dali popis arogancji typowy dla narodów dominujących kulturowo i politycznie, które nagle odkryły, że są mniejszością w nowym państwie, i utraciły swoją pozycję. U zarania litewskiej niepodległości 6 tys. Polaków podpisało się pod petycjami, w których żądano przyłączenia Kowna do Polski i głoszono, że Litwa do samodzielnego bytu się nie nadaje. Pewnego razu polscy studenci pobili redaktora litewskiej gazety za wydrukowanie karykatury Piłsudskiego. Takie postawy wzmagały jeszcze antypolską histerię na Litwie. Nie mówiąc już o tym, że II RP nie pozostawała dłużna i represjonowała u siebie mniejszość litewską.

Marszałek Józef Piłsudski w antylitewskiej karykaturze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STANISŁAW RYDYGIER

Słaba Polska – silna Litwa

W bajkach Ezopa i La Fontaine'a występują często trzy zwierzęta. Najsilniejsze z nich zachęca jakiegoś chciwego naiwniaka do zjedzenia ofiary znajdującej się w tarapatach. Chciwiec niedługo cieszy się jednak kąskiem, bo szybko zostaje pożarty przez najsilniejszego z całej trójki. Takim naiwniakiem była Litwa. Idée fixe jej polityki zagranicznej było odzyskanie Wilna, podstępnie spolonizowanego i zagarniętego przez fałszywych Polaków. Dla Republiki Litewskiej utrata tego miasta była tym samym, czym dla Serbów było oderwanie Kosowa – sprofanowaniem najświętszego narodowego sanktuarium, kolebki państwowości. Odwet wymagał pracy całego narodu. W celu odzyskania tej świętości Litwini gotowi byli sprzymierzyć się z każdym, kto szkodził Polsce, najchętniej z Niemcami lub z Sowietami. Nic więc dziwnego, że oficerów litewskich można była spotkać na wojskowych uczelniach sowieckich, choć u siebie Litwini bolszewików tępili. Litewskie wojsko było gotowe ruszyć na Wileńszczyznę, jeśli tylko Polska zostałaby zaatakowana i zaczęła wojnę przegrywać. ZSRS, sfrustrowany porażką w wojnie 1920 r., gorąco wspierał litewską rewindykację Wilna. O tym, co zamierza zrobić dalej, oczywiście nie mówił.

Od czasu zdobycia Wilna przez Żeligowskiego Litwa odmawiała nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską. Rolę posłów polskich pełnili więc dyplomaci oficjalnie akredytowani jako dziennikarze, a wymiana informacji odbywała się za pośrednictwem Łotwy. Przejść granicznych oczywiście nie było; prowadzące do nich drogi były zaorane. W Kownie granica polsko-litewska nazywana była linią demarkacyjną, potem od 1928 r. „linią administracyjną".

Wilno dzieli od Kowna 100 km. Aby pokonać tę trasę przed wojną, trzeba było przebyć drogę pięciokrotnie dłuższą, naokoło, przez niemieckie Prusy lub Łotwę. Tak też podróżowały do obu krajów nieliczne towary i przesyłki, bacznie nadzorowane przez policję i cenzurę.

W 1927 r., na spotkaniu Ligi Narodów, Józef Piłsudski, nie owijając w bawełnę, zadał słynne pytanie litewskiemu szefowi MSZ Augustinasowi Voldemarasowi: „Pokój czy wojna?". Voldemaras ugiął się i powiedział, że woli pokój. Liga Narodów wydała w związku z tym gładko brzmiącą rezolucję o przywróceniu stosunków dyplomatycznych między Warszawą i Kownem, ale po obu stronach granicy wrogość szalała w najlepsze.

Problemem numer dwa dla Litwy była Kłajpeda, zwana w czasach krzyżackich i pruskich Memlem. W tym portowym mieście Litwini stanowili jedynie jedną czwartą mieszkańców. Reszta uważała się za Niemców tudzież za „Kłajpedzian", czyli Litwinów w domu mówiących po litewsku, a w pracy i w urzędach po niemiecku. W 1923 r. Kłajpeda została siłą zajęta przez Litwę. O dziwo, zgodzili się na to sami Niemcy, którzy kilka lat po przegranej Wielkiej Wojnie nie mogli utrzymać miasta, a bali się, że stanie się ono przyczółkiem francuskim lub – co gorsza – polskim, wiszącym nad Prusami niczym miecz Damoklesa. Pod litewskimi rządami okręg Kłajpedy miał bardzo szeroką autonomię.

W połowie lat 30. Adolf Hitler zaczął się jednak domagać oddania miasta. Z poczucia względnej stabilizacji wyrwał też Litwinów niemiecko-polski układ o nieagresji z 1934 r. Niewiele pomogło tu zbliżenie z Łotwą i Estonią. Kraje te, choć bliskie kulturowo, nie zamierzały mieszać się w wileńską awanturę i występować przeciw Polsce. Litwa, chcąc nie chcąc, musiała się jakoś ułożyć z Warszawą. Negocjacje były trudne i raz po raz zrywane. Przełom nadszedł w marcu 1938 r. Żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza w pościgu za dwoma osobnikami próbującymi przedostać się przez „zieloną granicę" zapędził się na terytorium Litwy, gdzie podczas nocnej strzelaniny śmiertelnie ranił go litewski policjant. Choć takich incydentów z winy obu stron było wcześniej sporo, to marszałek Edward Śmigły-Rydz wykorzystał akurat to zdarzenie i zaczął Litwinom grozić wojną, chyba że w ciągu 48 godzin nawiążą stosunki dyplomatyczne z Polską. Litwini, za radą swoich łotewskich krewniaków, się ugięli. W drugiej połowie roku przez granicę ruszyły pociągi towarowe i pasażerskie.

W 1939 r. w Wilnie rozpoczął urzędowanie litewski konsul, co między wierszami można było odczytywać jako pierwszy krok do uznania polskości miasta. Polski konsul w styczniu 1939 r. przybył natomiast do Kłajpedy, co było chwilowym sukcesem dyplomatycznym Litwy – oznajmiono bowiem światu, że jej prawa do tego miasta uznaje też Warszawa. Chwilowym, bo w marcu 1939 r. Hitler, terroryzując Litwę, siłą zagarnął to portowe miasto. Sytuacja ta powinna zbliżyć Warszawę i Kowno. Do tego jednak nie doszło. 26 października 1939 r., po klęsce Polski, Sowieci przekazali Wileńszczyznę Litwinom. Ci niedługo cieszyli się zdobyczą, bo już w kolejnym roku wraz z Polakami wieziono ich do łagrów.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Wieki XIV–XXI / Miasto nad Wilią i Wilenką

Gród Giedymina

Jan Matejko, „Chrzest Litwy” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Tomasz Stańczyk

Wilno należy także do polskiej historii i jej dziedzictwa kulturowego, mówi o wspólnej przeszłości Litwinów i Polaków. O polskości Wilna świadczą nie tylko zabytki. 15 proc. jego ludności wciąż stanowią Polacy

Kraków ma legendę o Kraku, Warszawa – o Warsie i Sawie. Swoją legendę ma też Wilno. Wielki książę Giedymin po zabiciu tura w Dolinie Szwentoroga nad Wilejką udał się na spoczynek. Śnił mu się żelazny wilk czy też wilk odziany w zbroję. Pogański arcykapłan Lizdjeko objaśnił księciu, że sen oznaczał, iż na tym miejscu powstaną zamek i stolica jego państwa. To właśnie Giedymin jest uważany za założyciela miasta. Przedtem istniała tam osada nad Wilią i Wilenką, na szlaku handlowym, z dogodnym przejściem przez rzekę.

Pierwszy dokument dotyczący Wilna pochodzi z 1323 r. Mowa o liście Giedymina do papieża, w którym litewski władca zobowiązywał się przyjąć chrzest w zamian za doprowadzenie do powstrzymania krzyżackich napadów na Litwę. Jakkolwiek Giedymin się nie ochrzcił, to za jego panowania w Wilnie pojawili się franciszkanie i dominikanie. Nie znalazło potwierdzenia męczeństwo kilkunastu franciszkanów wileńskich, lecz skutkiem tej opowieści było wystawienie trzech krzyży drewnianych na wzgórzu, które przyjęło od nich nazwę. Trwały tak, aż rozsypały się ze starości po upadku powstania styczniowego. Rosjanie nie pozwolili postawić nowych. Dopiero w 1916 r. znów pojawiły się trzy krzyże, tym razem betonowe (pomnik zaprojektował wybitny architekt Antoni Wiwulski). W 1950 r. władze sowieckie wysadziły krzyże w powietrze, ale zostały one odbudowane po odzyskaniu niepodległości przez Litwę.

Złoty wiek miasta

Jednymi z najważniejszych dat w historii miasta są pierwsza unia polsko-litewska zawarta w Krewie w 1385 r., która poprzedzała o dwa lata chrzest Litwy, a także przyznanie w tym czasie praw miejskich przez Władysława Jagiełłę, wybranego na króla Polski, oraz założenie biskupstwa wileńskiego. Wilno stało się, obok Krakowa, drugą stolicą państwa. „Przekształcenie Wilna na modłę europejską – pisał prof. Juliusz Kłos – rozpoczęte przez Jagiełłę, trwało dłuższy czas, wzorowano się głównie na Krakowie. Zarówno Jagiełło, jak i jego następcy sprowadzali z Krakowa nie tylko księży i urzędników, wojskowych i dworzan, lecz także artystów, rzemieślników i kupców, ustanawiali jarmarki, przyswajając Litwie kulturę życiową, umysłową i moralną Polski”.

Aleksander Jagiellończyk, wielki książę litewski i polski król, obrał Wilno na swoją stałą siedzibę. Za jego czasów gród zaczęto otaczać murami. Do miasta prowadziło 10 bram. Mury i bramy zo-

eprasa.pl ed8b1c50fb

Aleksander Lesser, „Sen Giedymina o żelaznym wilku”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

stały zburzone w pierwszych latach zaboru rosyjskiego, ocalała tylko Ostra Brama, gdyż znajdował się w niej cudowny, łaskami słynący obraz Matki Boskiej, namalowany prawdopodobnie w XVII w. Wilno miało także inne święte miejsce – Kalwarię Wileńską, poświęconą w 1669 r. Za sowieckich czasów wyburzono kaplice kalwaryjskie (odbudowano je w 2003 r.).

Złotym wiekiem Wilna nazywają historycy czasy panowania królów Zygmunta Augusta oraz Stefana Batorego. Ten pierwszy znacznie rozbudował, w stylu renesansowym, Zamek Dolny. „Według zamysłu budowniczych – pisał Tomas Venclova – pałac musiał dorównać rezydencji królewskiej w Krakowie, ponieważ wtedy Litwa, podobnie jak w czasach Witolda, ścigała się z Polską o palmę pierwszeństwa”. To właśnie w Wilnie Zygmunt August poznał Barbarę Radziwiłłównę i wziął z nią sekretny ślub.

Zamek Dolny spłonął podczas wielkiego pożaru Wilna w 1610 r., ledwie uszła wówczas z życiem królowa Konstancja, żona Zygmunta III, wraz z dzieckiem – Janem Kazimierzem, przyszłym królem. Zamek odbudowano, lecz został zdewastowany podczas wojen z Moskwą w latach 1655–1661. Ruiny rozebrano po III rozbiorze z rozkazu władz rosyjskich. W 2009 r. zamek został odbudowany, choć wobec skąpego materiału ikonograficznego jest to raczej dość swobodna rekonstrukcja.

Zajęty wojnami o Inflanty Stefan Batory znalazł czas, by powołać do życia w 1579 r. w Wilnie wyższą uczelnię. Nosiła ona nazwę Academia et Universitas Vilnensis Societatis Jesu i była prowadzona przez zakon jezuitów. Batory ustanowił także Trybunał Litewski z siedzibą w Wilnie – najwyższy sąd apelacyjny dla Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Pierwszym rektorem wileńskiej uczelni wyższej został ks. Piotr Skarga, wybitny kaznodzieja, drugim ks. Jakub Wujek, autor pierwszego przekładu Biblii na język polski, a wśród profesorów znalazł się inny jezuita, Maciej Kazimierz Sarbiewski, poeta o europejskiej sławie, zwany nawet „Horacym chrześcijaństwa”.

Zachwycające kościoły

Z Zamkiem Dolnym sąsiadowała katedra, a obie budowle połączyła kryta galeria. Gotycką katedrę kazał wybudować Jagiełło, pochowano w niej jego brata stryjecznego, wielkiego księcia Witolda, choć jego grobu do dziś nie odnaleziono. Świątynia stała się także miejscem pochówku króla Aleksandra Jagiellończyka, królowej Elżbiety Habsburżanki i królowej Barbary Radziwiłłówny – żon Zygmunta Augusta. Sensacją stało się odnalezienie ich grobów po wielkiej powodzi w 1931 r., w której wyniku trzeba było przeprowadzić w katedrze prace ratunkowe.

Najwspanialszą częścią katedry jest kaplica św. Kazimierza (Jagiellończyka), która powstała za czasów Zygmunta III, z relikwiami królewicza, patrona Litwy i Polski. Od jego imienia wzięła się nazwa „Kaziuk” – to słynny wileński jarmark odpustowy, odbywający się do dziś, rozpoczynający się 4 marca, w dniu św. Kazimierza. Klasycystyczny wygląd katedra ma od końca XVIII w., a portyk świątyni jest bodaj największy w architekturze polskiej.

Pochowany w katerze Aleksander Jagiellończyk był najprawdopodobniej fundatorem niezwykłego kościoła św. Anny, powstałego na przełomie wieków XV i XVI. Podobno Napoleon zachwycił się tak bardzo tą gotycką, ceglaną świątynią, że miał powiedzieć, iż chętnie przeniósłby ją do Paryża. O fasadzie kościoła historyk sztuki Jerzy Remer pisał, że ma ona w sobie coś z monstrancji podniesionej ponad głowami wiernych. A Tomas Venclova zachwycał się, że świątynia jest „robotą jubilerską”, a jej fronton kojarzył mu się z językami płomienia lub ostrzami mieczy wbitych w niebo.

Wilno to jednak przede wszystko miasto barokowych świątyń. Pierwszą z nich jest kościół św. Kazimierza, zwieńczony wielkoksiążęcą mitrą litewską. „Ten barok faluje fasadami, rozpływa się w powietrzu, w postaci romantycznych wieżyczek wznosi się do nieba, budynki nawzajem, jak w zwierciadłach,

Panorama Wilna. Grafika Tomasza Makowskiego z 1600 r. FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl ed8b1c50fb

przyglądają się swoim obliczom, a kościoły płyną w dolinie niczym flotylle żaglowców" – pisał poetycko Tomas Venclova.

Zapierające dech w piersiach jest wnętrze kościoła św. Piotra i Pawła na Antokolu, fundacji Michała Kazimierza Paca. Ściany świątyni pokryte są sztukateriami, na które składa się ok. 2 tys. rzeźb stiukowych przedstawiających postaci z Biblii, świętych, stwory mitologiczne i zwierzęta. Na fasadzie widnieje napis: „Regina pacis funda nos in pace", czyli „Królowo Pokoju, umacniaj nas w pokoju", co można odczytać także jako „Królowo Paców…". Fundator kazał się pochować pod progiem kościoła, a na tablicy na posadzce umieścić napis po łacinie: „Tu leży grzesznik".

Epokę rozwoju Wilna zakończyły lata potopu. To jednak nie Szwedzi, lecz Rosjanie zniszczyli w 1655 r. Wilno, dewastując i grabiąc miasto, a także wyrzynając część jego mieszkańców.

Wilno było miastem wielu wyznań i wielu narodów; mieszkali w nim Litwini (jednak język litewski przestał być słyszany, jak pisał Venclova, w XVII w.), Polacy, Żydzi, Niemcy i Karaimi. Izraelici nazywali Wilno Jerozolimą Północy. Miasto, w którym stanowili w XVIII stuleciu ok. 20 proc. mieszkańców, było ważnym żydowskim ośrodkiem religijnym. Słynny był żyjący w tamtym stuleciu Elijahu ben Szlomo Zalman, zwany Wielkim Gaonem – uczony, rabin, talmudysta, przeciwnik ruchu chasydzkiego.

Akordem zamykającym przedrozbiorowe dzieje Wilna była insurekcja wileńska. W kwietniu 1794 r. spiskowcy, z gen. Jakubem Jasińskim na czele, uderzyli na rosyjski garnizon i wyparli carskich sołdatów z Wilna. Jednak po trzech miesiącach Rosjanie przypuścili szturm na miasto, zdobywając je.

Zemsta zaborcy

Początek XIX w. zapisał się utworzeniem jednej z najstarszych i najpiękniejszych nekropolii polskich, czyli cmentarza Na Rossie. Stanisław Cat-Mackiewicz pisał: „Od nazwy »miasto pięknych kościołów« bardziej słuszna byłaby dla Wilna nazwa »miasto przepięknych cmentarzy«. W tym dziwnym mieście ogrodów najbardziej czarownymi są cmentarze". I choć przyznawał, że Rossa położona na pagórkach i w parowach jest malownicza, to jeszcze piękniejszy jest cmentarz Bernardyński, położony na zboczu wzgórza.

Po rozpoczęciu w 1812 r. wojny z Rosją Napoleon pojawił się w Wilnie i zarządził powołanie do życia Komisji Rządu Tymczasowego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Otuchę w serca Polaków wlała nadzieja, że oswobodzona od rosyjskiego zaborcy Litwa połączy się z proklamowanym Królestwem Polskim i odrodzi się dawna Rzeczpospolita. Jednakże w tym samym roku rozpoczął się odwrót Wielkiej Armii z Rosji, a Wilno stało się wielką umieralnią dla żołnierzy Napoleona. Podobno w mieście zmarło – z chorób, wycieńczenia i głodu – aż 40 tys. spośród nich.

Za czasów Aleksandra I reaktywowano wileńską wyższą uczelnię jako Cesarski Uniwersytet Wileński o dużej autonomii. Wykładowcami byli m.in. Euzebiusz Słowacki, ojciec Juliusza Słowackiego, kierownik katedry wymowy i poezji; Jan Śniadecki, matematyk i astronom; Jędrzej Śniadecki, chemik i biolog, oraz historyk Joachim Lelewel. Grono studentów i absolwentów uniwersytetu założyło tajne samokształceniowe i patriotyczne Towarzystwo Filomatyczne. I być może dziś mało kto by o nim pamiętał, gdyby nie to, że jednym z jego członków był Adam Mickiewicz. Ale przecież nie brakowało wśród filomatów ludzi, którzy okazali się wybitni – m.in. Ignacy Domeyko, geolog i inżynier górnictwa, Józef Kowalewski, orientalista, czy Jan Czeczot, uznawany za jednego z ojców literatury białoruskiej. Działalność towarzystwa zakończyło śledztwo prowadzone przez senatora Nowosilcowa. Dla jego członków oznaczało to deportację z Wilna i zesłanie. Wileńska anegdota mówi, że gdy spytano 100-letnią staruszkę o to, czy znała Mickiewicza, ta przytaknęła skwapliwie, lecz powiedziała, że odkąd wyjechał z Wilna, słuch po nim zaginął. Na kanwie wileńskich przeżyć i uwięzienia filomatów w klasztorze Bazylianów przy Ostrej Bramie Mickiewicz napisał trzecią część „Dziadów".

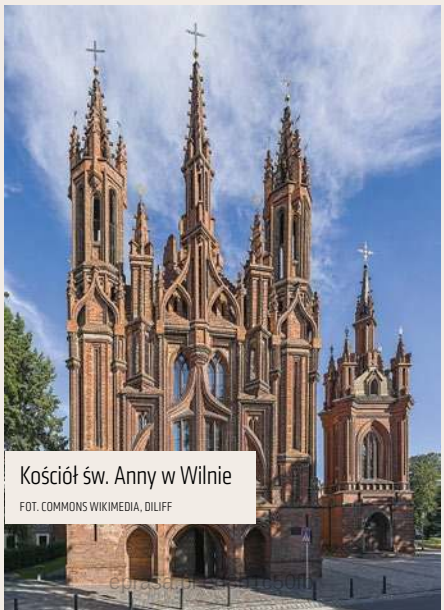

Kościół św. Anny w Wilnie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DILIFF

Z Wilnem przez 18 lat, od 1836 r., związany był Stanisław Moniuszko. Pracował jako organista w kościele św. Jana, a także dyrygent w Teatrze Wileńskim. „Halka", najsłynniejsza opera Moniuszki, miała swą premierę w Wilnie w 1854 r.

Tragiczne czasy przyszły dla Wilna podczas powstania styczniowego. Tłumiący je brutalnie na Litwie wileński generał-gubernator Michaił Murawjow nie bez powodu zyskał miano Wieszatiela, doprowadzając do licznych egzekucji na placu Łukiskim w Wilnie; stracono tam m.in. Zygmunta Sierakowskiego i Konstantego Kalinowskiego. W latach 2017–2019 na zboczach Góry Giedymina (Zamkowej) ich szczątki odnaleziono pośród 20 szkieletów powstańców, na których wykonano wyroki śmierci. Wszyscy zostali uroczyście pochowani w kaplicy na cmentarzu Na Rossie.

Panowanie rosyjskie odcisnęło się na krajobrazie miasta: powstały liczne cerkwie, a kat Murawjow doczekał się swojego pomnika, podobnie jak caryca Katarzyna II. Po powstaniu styczniowym Wilno – jak stwierdzał Tomas Venclova – się zmieniło: „Nie było już miastem pałaców i klasztorów, lecz miastem więzień i koszar".

W 1875 r. Józef Wincenty Piłsudski, jego żona Maria i dzieci, wśród których był chłopiec nazywany w rodzinie Ziukiem, po katastrofalnym pożarze majątku Zułowo przenieśli się do Wilna. Józef Piłsudski ciężko przeżył rusyfikację w gimnazjum wileńskim. A mimo to z sentymentem wspominał Wilno, gdyż – jak później opowiadał – tam wszystko było pierwsze. Wówczas stał się i pozostał do końca życia czcicielem Matki Boskiej z Ostrej Bramy.

Marszałek Edward Śmigły-Rydz przed mauzoleum „Matka i serce syna", 1937 r. FOT. NAC

Zamieszany w spisek na życie cara Piłsudski został zesłany na kilka lat na Syberię. Po powrocie stamtąd związał się z socjalistami i w 1892 r. wziął udział w spotkaniu w lesie ponarskim, nazwanym później pierwszym zjazdem PPS. Do Wilna przyjechał w 1908 r., planując akcję na pociąg pocztowy, wiozący pieniądze z podatków zebranych w Królestwie Polskim. Została ona przeprowadzona przez bojowców PPS we wrześniu tamtego roku w podwileńskich Bezdanach.

W II RP

Gdy kończyła się pierwsza wojna światowa, wśród mieszkańców miasta było 50 proc. Polaków, 44 proc. Żydów i 2,6 proc. Litwinów. W tym czasie Wilno stało się kością niezgody pomiędzy Litwinami i Polakami. Litwini nie wyobrażali sobie niepodległego państwa bez historycznej stolicy. Proklamowali nawet w lutym 1918 r. niepodległość, ale była to iluzja wobec obecności wojsk niemieckich. Polacy nie dopuszczali myśli, że Wilno, w którym Litwini stanowili ledwie parę procent mieszkańców, może nie znaleźć się w Rzeczypospolitej. 1 stycznia 1919 r. polska Samoobrona Wileńska opanowała miasto, przejmując je z rąk zdemoralizowanych oddziałów niemieckich, jednak nie obyło się bez walk z bolszewikami, którzy zagnieździli się w Wilnie. Niestety, już po kilku dniach musiała ulec oddziałom Armii Czerwonej.

W kwietniu 1919 r. Józef Piłsudski dowodził wyprawą wileńską i wyparł bolszewików z miasta. Jednak w kolejnym roku Armia Czerwona znów opanowała Wilno, przekazując je Litwie. Mocarstwa ententy przyznały miasto Litwinom. W tej sytuacji Piłsudski, nie mogąc narażać się ententcie, zaaranżował w październiku 1920 r. „bunt" gen. Lucjana Żeligowskiego. Powstała wówczas Litwa Środkowa. Była to ze strony Piłsudskiego ostatnia próba stworzenia jakiejś formy unii polsko-litewskiej. Znamienne było to, że herbem Litwy Środkowej był polski orzeł i litewska pogoń. Skoro jednak Litwini nie godzili się na żaden związek z Polską, a żądali Wilna, to odbył się plebiscyt, w którego wyniku Wilno i Wileńszczyzna połączyły się w 1922 r. z Rzecząpospolitą.

Zanim to nastąpiło, w 1919 r. został reaktywowany dekretem Józefa Piłsudskiego uniwersytet, który otrzymał imię Stefana Batorego. Prowincjonalne w gruncie rzeczy Wilno mogło się szczycić opiniotwórczym dziennikiem „Słowo" pod redakcją wybitnego publicysty Stanisława Cata-Mackiewicza. Podobnie słynna była w całej Polsce „Reduta", eksperymentalny teatr Juliusza Osterwy, działający w latach 1924–1929 w Wilnie. Miasto było też siedzibą firmy Elektrit, w latach 30. największego w Polsce producenta odbiorników radiowych.

W 1927 r. koronowano Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, a w uroczystości wziął udział premier Józef Piłsudski. Siedem lat później malarz Eugeniusz Kazimirowski namalował obraz Jezusa Miłosiernego według wskazówek s. Faustyny Kowalskiej, przyszłej świętej.

Ostatnią podróż do Wilna Józef Piłsudski odbył w 1935 r., na pogrzeb siostry Zofii. W testamencie prosił, by jego serce pochować z trumną matki na cmentarzu Na Rossie, wśród żołnierzy, którymi dowodził w walce o Wilno w 1919 r.

W czasach II RP w Wilnie urodziło się niemało ludzi, który stali się znani po drugiej wojnie światowej. Byli to m.in. aktorzy Czesław Wołłejko i Emil Karewicz, reżyser Jerzy Passendorfer, fotografik Zbyszko Siemaszko, grafik i malarz Andrzej Strumiłło, śpiewak operowy Bernard Ładysz, autor komiksów Janusz Christa, piosenkarz Andrzej Dąbrowski.

Po ataku Rosji sowieckiej na Polskę, we wrześniu 1939 r., słaby garnizon wileński mógł stawić tylko symboliczny opór Armii Czerwonej. Legenda wileńska mówi, że sołdaci zastrzelili harcerzy stojących na warcie przy mauzoleum „Matka i Serce Syna". Tak nie było, ale jednak podczas walk na cmentarzu Na Rossie zginęło kilku polskich żołnierzy. W październiku 1939 r. Rosja sowiecka drugi raz przekazała Wilno Litwinom. Rozpoczęła się, trwająca do czerwca 1940 r., litewska okupacja, podczas której zlikwidowano Uniwersytet Stefana Batorego i wszelkie polskie napisy, bito Polaków modlących się w kościołach i rozpoczęto intensywną lituanizację mieszkańców miasta.

Od czerwca 1940 r. do czerwca 1941 r. trwała ponowna okupacja, która ponuro zapisała się deportacjami mieszkańców Wilna w głąb Związku Sowieckiego. A po niej nastąpiła okupacja niemiecka, podczas której nastąpiły masowe egzekucje, głównie Żydów, a także Polaków, w lesie ponarskim, dokonywane przez Niemców i kolaboracyjną policyjną jednostkę litewską, której funkcjonariuszy ironicznie i ze zgrozą nazwano „strzelcami ponarskimi". W Ponarach zamordowano ok. 80–100 tys. ludzi, wśród nich m.in. Bronisława Komorowskiego, młodego żołnierza AK, bliskiego krewnego prezydenta Bronisława Komorowskiego. Po tragedii przyszedł dramat: operacja „Ostra Brama", która była częścią planu „Burza". AK miała zdobyć Wilno, by wystąpić wobec nadciągającej Armii Czerwonej w roli gospodarza. Próba wyparcia z Wilna oddziałów niemieckich przez AK w lipcu 1944 r. okazała się fiaskiem. Ostatecznie żołnierze AK pomagali czerwonoarmistom w walkach na ulicach miasta, po czym zostali na kilka lat internowani w obozach. A ci, którzy polegli, zostali pochowani Na Rossie, obok żołnierzy polskich z lat 1919–1920.

Powojenna „repatriacja" spowodowała wielki odpływ Polaków z grodu nad Wilią, jednak Wilno jest nie tylko symbolem polskiej przeszłości, miastem Mickiewicza i Piłsudskiego. Wciąż żyje tam 85 tys. Polaków, stanowiących 15 proc. ludności litewskiej stolicy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Dziewczynka sprzedająca na Kaziuku tradycyjnie pierniki w kształcie serca

FOT. NAC, E. I B. ZDANOWSCY

Restauracje, len i Kaziuki / Specjalności grodu nad Wilią

Wileńskie rozmaitości

Sławomir Koper

Ukochane miasto Marszałka słynęło w całej Polsce ze swojego kolorytu

Wilno zawsze chlubiło się ogromną liczbą lokali i miejsc z wyszynkiem. Już w czasach Mickiewicza na ok. 50 tys. mieszkańców przypadało ponad 800 punktów, gdzie podawano alkohol. Było to: 29 zajazdów, 45 jadłodajni, 19 restauracji, 61 kawiarni, 35 piwiarni i 614 szynków. W czasach II Rzeczypospolitej sytuacja była podobna – obok lokali, gdzie regularnie pojawiali się przedstawiciele wileńskiej elity, nie brakowało różnego rodzaju mordowni okupowanych przez ludzi z półświatka.

W okresie międzywojennym każdy wilniuk doskonale znał nazwisko Sztrall. Bracia Kazimierz i Bolesław posiadali trzy cukiernie nazywane Białym, Czerwonym i Zielonym Sztrallem (o nazwie decydował kolor wystroju wnętrz). Za najbardziej elegancką uchodził Czerwony Sztrall na rogu ulic Świętojerskiej i Tatarskiej.

„Był to obszerny lokal pięknie umeblowany, z wielką ladą chłodniczą i olbrzymim wyrobem rozmaitych tortów, ciast, ciasteczek i lodów – wspominał wilnianin Henryk Siwicki. – Każde ciasto było umieszczone na plisowanych tacuszkach papierowych, oczywiście z wydrukowaną nazwą firmy. Wszystkie wyroby pięknie ugarnirowane, wybór przeróżnych lodów podawanych w srebrnych pucharkach, stoliki z marmurowymi blatami, szybka, uprzejma obsługa. Wszystko to stwarzało miły, korzystny nastrój. Ponadto nieprzebrana ilość rozmaitych naczyń: talerzy, talerzyków, spodków, spodeczków, szklanek, szklaneczek, filiżanek do kawy i herbaty, kieliszków, pucharków, dzbanków, dzbanuszków do mleka i śmietany, cukiernic, uchwytów do serwetek i szczypiec do ciast".

To miejsce odwiedzała elita miasta, „piękne damy, arystokratki szukające miłosnych przygód, oficerowie" oraz wszyscy, „którzy w Wilnie uważali się za kogoś z pozycją". A dodatkową atrakcję stanowił czarnoskóry szatniarz, co było w tych czasach dużą osobliwością.

Latem funkcjonował ogródek ze stolikami i fotelami z wikliny. Przygrywała orkiestra, wieczorami dyskretne światło sączyło się z kolorowych latarni. Faktycznie było to miejsce, którego szanujący się obywatel grodu nad Wilią nie mógł pominąć.

Znakomitą renomą cieszył się również Biały Sztrall przy ul. Zamkowej. Często bywali tam wykładowcy uniwersyteccy, chętnie odwiedzały ten lokal również osoby duchowne (cukiernię nazywano nawet Sztrallem Księżym). Lokal zawdzięczał swoją nazwę białemu wystrojowi ścian, meble również były w tym samym kolorze. Na doskonałą jakość wyrobów wpływ miał fakt, że jego właściciel posiadał fabrykę czekolady. A to sprawiało, że lokal preferowali ziemianie

eprasa.pl ed8b1c50fb

odwiedzający Wilno. Goście nie mogli się nachwalić smaku podawanych ciastek czy napojów. Białego Sztralla wybierały również zakochane pary, z kolei córy Koryntu zdecydowanie go omijały.

Natomiast trzeci lokal braci, czyli należący do Bolesława Zielony Sztrall przy ul. Mickiewicza, przyciągał głównie handlowców i oficerów. Dlatego omijały go damy z towarzystwa, uznając, że męskie grono stałych bywalców potrzebowało raczej innego rodzaju pań do towarzystwa. Faktycznie coś w tym było, gdyż nawet zespół muzyczny przygrywający w lokalu składał się z młodych dziewcząt. Nic zatem dziwnego, że częściej można było tam spotkać przedstawicielki półświatka niż kobiety innych profesji.

Wnętrze cukierni Sztralla

FOT. DOMENA PUBLICZNA

U Rudnickiego

Swoich wielbicieli miała również kawiarnia Rudnickiego na rogu ulic Mickiewicza i Arsenalskiej. Regularnie bywali tam obaj Mackiewiczowie: Stanisław („Cat") – redaktor naczelny wileńskiego „Słowa" i jego brat Józef – wówczas reportażysta i początkujący pisarz. „Cat" wchodził zawsze, gdy był wolny stolik, układał z namaszczeniem przed sobą wielki aparat fotograficzny, z którym się nie rozstawał (nikt jednak nie widział, by kiedykolwiek fotografował), po czym zamawiał ciastka i kawę. Gdy natomiast nie było wolnego stolika, „obrzucał salę złym spojrzeniem i kiwając się, wychodził na ulicę".

„Zimą wejście do kawiarni było tylko od strony ulicy – wspominał dziennikarz Rapolas Mackonis – latem można było wejść również przez rogowe drzwi. Wchodząc od strony ulicy, napotykało się kontuar, za którym od rana do wieczora stał nieco otyły, nierozmowny właściciel Rudnicki. Nikt nie wyobrażał go [sobie] inaczej jak ze szczypczykami w prawej dłoni. Po lewej stały talerzyki, na które [...] z pewnym rytuałem kładł jedno lub kilka ciastek. Rzecz charakterystyczna, że właściciel nic nie notował, nie miał kasjerki do wydawania żetonów [...]. Po wejściu przez skromne i mocno już sfatygowane drzwi idziemy w prawo. Stając na chwilę, rozglądamy się za wolnym stolikiem lub chociażby krzesłem. Szczęście uśmiechało się nie zawsze. W sali o kształcie litery »U« szumiało niczym w ulu, a pod sufitem tyle dymu, niczym pary w rosyjskiej łaźni. Dookoła tylko słychać: »Panie Emilu, pół czarnej«, »Panie Karolu, małą czarną«. Obaj kelnerzy po prostu nurkowali między ciasno ustawionymi stolikami".

Właściciel kawiarni posiadał jeszcze drugi lokal mieszczący się w pobliżu Zielonego Sztralla. Kawiarnia była ewidentnie deficytowa, ale Rudnicki utrzymywał ją wyłącznie po to, by odciągnąć klientelę od konkurencji. Nie do końca zresztą wiadomo, dlaczego lokal nie stał się popularny, gdyż „wnętrze było urządzone ze smakiem, a bufet mógł zadowolić każdego gościa". Do tego jeszcze lokalizacja: centrum miasta, gdzie „skupiał się duży i drobny handel, obok był magistrat i w pobliżu duży hotel »Europa«". Być może jednak wielbiciele Zielonego Sztralla okazali się wierni...

CUKIERNIA
BOLESŁAWA SZTRALLA
nagrodzona złotym medalem na wystawie Przemysłowo-Handlowej w Paryżu.
WILNO, UL. AD. MICKIEWICZA róg Tatarskiej
TEL. Nr. 451.
POLECA WŁASNE WYROBY CUKIERNICZE PIERWSZORZĘDNEJ JAKOŚCI.
KONCERTY OD GODZ. 5½ WIECZ.
LETNIA WERANDA W OGRODZIE.

Muzyka i śpiew
w cukierni Rudnickiego
Cukiernia Rudnickiego przy placu Katedralnym wprowadziła miłą inowację. Popularny ten lokal zaangażował orkiestrę, składającą się z trzech sił kobiecych i skrzypka.
Panie grają i śpiewają. Produkcje ich cieszą się powodzeniem u publiczności, która tłumnie zapełnia cukiernię.
I goście zadowoleni — i właściciel również.

Elektrit równa się sukces

Chociaż ze względu na dużą odległość od centrum kraju Wileńszczyzna uchodziła za rejon bardzo kiepski do robienia interesów (koszty transportu znacznie podnosiły ceny), to jednak była firma, która święciła triumfy.

Towarzystwo Radiotechniczne Elektrit powstało w 1925 r., a jego założycielami byli bracia Samuel i Hirsz Chwolesowie oraz Nachman Lewin. Przedsiębiorcy uznali, że jedną z najbardziej obiecujących gałęzi gospodarki jest radiofonia, która niebawem może się stać źródłem znacznych dochodów. Do słuchania radia potrzebne były bowiem odbiorniki, a ówczesne urządzenia były skomplikowane w obsłudze i często ulegały awariom. W tej sytuacji Chwolesowie i Lewin założyli przy ul. Wileńskiej 24 firmę zajmującą się strojeniem i naprawą odbiorników. Prowadzili również sprzedaż sprzętu z importu, oferując jednocześnie jego instalację. Niebawem też pojawiły się pierwsze konstrukcje produkowane od podstaw w Wilnie.

eprasa.pl ed8b1c50fb

Chwolesowie i Lewin trafili ze swoją firmą w dziesiątkę. Gdy w połowie stycznia 1928 r. rozpoczęła emisję rozgłośnia wileńska, popyt na radioodbiorniki w mieście był tak duży, że zabrakło towaru. Braki te szybko nadrobiono, a w ówczesnej ofercie Elektritu przeważały odbiorniki na baterie (było to istotne ze względu na bardzo słabą elektryfikację Wileńszczyzny).

Szefowie firmy zdawali sobie sprawę z tego, że radia są jednak stosunkowo drogie, co sprawiało, iż ich dostępność była dość ograniczona. Dlatego zaczęły powstawać odbiorniki stosunkowo tanie, w sezonie 1934/1935 pojawił się model Europa w cenie 176 zł (dziś to równowartość ok. 420 euro), firma jednak wciąż produkowała także radia nieco droższe dla lepiej zarabiających oraz luksusowe modele dla zamożnych i wymagających, takie jak Excelsior Z za 960 zł (ok. 2,3 tys. euro).

Zarząd firmy nie ustawał zresztą w ekspansji – w drugiej połowie lat 30. wyroby wileńskiego zakładu eksportowano do wielu krajów europejskich, a także do brytyjskich posiadłości w Indiach i w Afryce Południowej, na Bliski Wschód oraz do Brazylii. Nic zatem dziwnego, że na podwórku krajowym firma nie miała godnych przeciwników, wobec czego poznański Radjofon reklamował się jako „największa w Polsce chrześcijańska fabryka odbiorników bateryjnych", czyniąc widoczną aluzję do żydowskich korzeni właścicieli Elektritu.

Załoga Elektritu. Poniżej: reklama radioodbiornków wileńskiej wytwórni FOT. ZILIONIS.LT

Sowieci po wkroczeniu do Wilna natychmiast przystąpili do demontażu fabryki i wywieźli ją do Mińska. Jeszcze po wojnie wytwarzane tam modele do złudzenia przypominały dawne wyrobu Elektritu, chociaż na ich obudowach widniała nazwa Mińsk.

„Biały węgiel" Wileńszczyzny

Z pracy na roli utrzymywały się na Wileńszczyźnie trzy czwarte ludności, gleby nie były jednak urodzajne, a do tego dochodziła jeszcze niska kultura rolna, co powodowało słabe plony. Region wyróżniał się w rolnictwie jedynie pierwszym miejscem w uprawie grochu i lnu.

Wielkim entuzjastą lnu był gen. Lucjan Żeligowski. Po odejściu z wojska w 1927 r. osiadł w swym majątku w Andrzejewie (w powiecie oszmiańskim) i skupił się na propagowaniu jego uprawy. Generał głosił hasło: „Ziemia nasza powinna wyżywić i odziać" i mawiał: „Dwory siać, wioski – tkać!". Sam chodził oczywiście w lnianych ubraniach, co wzbudzało zróżnicowane reakcje otoczenia. Niektórzy byli zachwyceni, inni widzieli w tym nieszkodliwe dziwactwo.

Żeligowski snuł wspaniałą wizję przyszłości, w której wieś, poza ubieraniem się w len, produkowałaby ten surowiec dla fabryk. Dzięki temu zniknąć miały „bezrobocie, odłogi i nędza", a w zamian „powstałaby wielka fabryka ręczna, powstałby drugi Menczester, który całej Polsce dałby bieliznę i ubranie". Generał przekonywał, że to nie fabryki, drogie maszyny i obcy kapitał, ale ręczna praca kobiet powinna stać się podstawą polskiego lniarstwa. Nie negując wartości artystycznych tkanin z lnu, proponował jednak, by skupić się „więcej [na] prymitywnych wyrobach", na które jest większy popyt: workach, onucach dla wojska, drelichach i ręcznikach.

Do propagowania lnu przyczynił się także Aleksander Prystor, premier w latach 1931–1933, doskonale rozumiejący wagę zagadnienia, gdyż pochodził z Wilna. Za jego premierostwa Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów podjął uchwałę, by wszystkie instytucje państwowe wykorzystywały wyroby z lnu, natomiast w 1940 r., miała się odbyć w Wilnie wielka wystawa promująca ten surowiec.

Kaziuki

Tradycja jarmarku odpustowego w dniu św. Kazimierza (4 marca) związana jest z kanonizacją patrona Litwy. Kazimierz Jagiellończyk, syn i imiennik króla Polski i wielkiego księcia Litwy, zmarł na gruźlicę 4 marca 1484 r. w Grodnie. W 1602 r. został kanonizowany, a w 1636 r. odbyło się przeniesienie jego relikwii do kaplicy jego imienia w katedrze wileńskiej. Z tej okazji odbył się jednodniowy jarmark, który uważa się za początek Kaziuków.

Chociaż władze kościelne i państwowe używały określenia „jarmark św. Kazimierza", to określenie „Kaziuki" powszechnie się przyjęło. Przez blisko dwa stulecia był to jednak jarmark jedno-

eprasa.pl ed8b1c50fb

Sortowanie lnu przed roszeniem FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

dniowy, dopiero w 1827 r. kupcy wileńscy wystąpili o rozszerzenie przywileju na kilka dni. Zupełnie odmieniło to jego charakter, zaczęli pojawiać się producenci, handlarze i rolnicy z terenu całej Wileńszczyzny, oferujący towary wcześniej nieznane w mieście. Jarmark rozrósł się do tego stopnia, że objął ulice sąsiadujące z placem Katedralnym. Gdy jednak władze rosyjskie ustawiły tam pomnik Katarzyny II, jarmark został przeniesiony na największy plac Wilna – Łukiski (1904). Od tej pory miało to być na wiele lat centrum Kaziuków.

Pierwsza wojna światowa i późniejsze burzliwe lata przyniosły załamanie handlu, ale w latach 30. Kaziuki się odrodziły. Były to najważniejsze dni handlowe Wileńszczyzny, a przy okazji miasto odwiedzało także wielu przyjezdnych.

„Pójdź kochany turysto – zapraszano na łamach »Wilnianina« przed rozpoczęciem jarmarku – w te kiermaszowe uliczki, których ściany tworzą góry obwarzanków, zwanych u nas powszechnie smorgońskimi, serc barwnych i gorących, stosów beczek i cebrów, garnków, kilimów i płócien".

Faktycznie, miejscowym i przyjezdnym oferowano różnego rodzaju asortyment, ale bez pewnych towarów Kaziuki nie mogły się odbyć. Na czele tej listy były obwarzanki smorgońskie, które po raz pierwszy pojawiły się pod koniec XIX w. i szybko stały się ikoną jarmarku. Wierzono, że jeżeli nie zakupi się obwarzanków podczas Kaziuków, to następnego roku może zabraknąć chleba w domu. Nie wyobrażano sobie również jarmarku bez różnego rodzaju piernikowych serc.

„Na placu Łukiskim – wspominała Jędrychowska – piętrzyły się stosy beczek, balii, rozlegały się przeraźliwe gwizdy piszczałek. Wszyscy wilnianie chodzili w wieńcach z nanizanych na sznurki obwarzanków smorgońskich. Chłopcy rozdawali dziewczętom serca z pierników, ozdobione przeraźliwie różowymi różami i niebieskimi niezapominajkami. Wdzięczyły się na nich wypisane koślawymi literami wyznania: »Jam cień kochałem, tyś mnie zdradziła«".

Ogromną popularnością cieszyły się także wyroby z drzewa i wikliny, nie mogło też oczywiście zabraknąć palm wielkanocnych. Znacznie mniej efektowne niż inne wytwarzane na ziemiach polskich powstawały z papieru, trawy i gałązek wierzby, z czasem jednak nabrały barw i rozmachu. Wprawdzie wciąż są najmniejszymi z palm spotykanych na terenie naszego kraju, ale do ich wykonania zaczęto używać kilkudziesięciu gatunków suszonych kwiatów i ponad 10 gatunków traw. Obok gałązek wierzby wykorzystuje się także kłosy zbóż oraz ozdoby z papieru i bibuły.

Powodem popularności palm według wzorca wileńskiego były ich „ekonomiczne" rozmiary, a także łatwość wytwarzania na dużą skalę. Zapewne mało kto zdaje sobie z tego faktu sprawę, ale przytłaczająca większość palm święconych w dużych miastach tydzień przed Wielkanocą to palmy typu „wileńskiego". Tak wrosły one w nasze otoczenie, że wszyscy myślą, iż zawsze tak wyglądały…

Na jarmarku nie brakowało także ceramiki oraz produktów żywnościowych. Ale w odróżnieniu od dzisiejszych Kaziuków w czasach II RP żywność przywożono z myślą o konsumpcji na miejscu. Stałym widokiem byli zmarznięci uczestnicy pokrzepiający się przy straganach i wozach gorącą herbatą (nie tylko) i zajadający cepeliny, kołduny czy inne specjały na ciepło.

Oczywiście nie mogło zabraknąć takich atrakcji jak karuzele czy strzelnice. Wiele różnych organizacji młodzieżowych i społecznych ustawiało swoje stragany, na których handlowano zakupionymi wcześniej „w terenie" towarami, by w ten sposób poprawić swoją sytuację finansową.

Właściwe Kaziuki rozpoczynały się 3 marca nieszporami w katedrze, po czym następowała procesja do kościoła św. Kazimierza. Dzień później w obu kościołach odbywały się uroczyste msze, a ich koniec oznaczał początek handlu.

Jednak władze II Rzeczypospolitej nie zgodziły się, by 4 marca ogłosić dniem wolnym od pracy na Wileńszczyźnie. Ostatecznie stwierdzono, że zwolnieni mogą być tylko urzędnicy państwowi i samorządowi, ale decyzję mieli podejmować ich przełożeni.

Koniec tradycji

Inna sprawa, że w drugiej połowie lat 30. jarmark zaczął podupadać. Złożyły się na to dwa powody: władze miejskie znacznie podniosły opłaty targowe, a plac Łukiski przemianowano na plac Piłsudskiego i uznano, że handel nie powinien się odbywać w tak reprezentacyjnym miejscu. Stragany i wozy przesunięto na rynek Łukiski i sąsiednie ulice, co spowodowało znaczne ograniczenie handlu. Szczególnie dotyczyło to przyjezdnych, którzy nie za bardzo chcieli rozstawiać się w miejscu, gdzie docierało znacznie mniej kupujących. Jednak aż do wybuchu wojny Kaziuki były ewenementem na skalę europejską – nigdzie na kontynencie nie było tej wielkości miasta, gdzie odbywałby się wiejski jarmark.

Złym czasem dla Kaziuków był okres rządów sowieckich. Nie odbywały się one na placu Łukiskim, „ozdobionym" pomnikiem Lenina, lecz na placu Dzierżyńskiego (Kalwaryjskim), i to w bardzo ograniczonym zakresie. Do tradycji powrócono po odzyskaniu przez Litwę niepodległości, chociaż trudno nie oprzeć się wrażeniu, że teraz Kaziuki przypominają ogromny festyn, który niewiele ma wspólnego z dawną tradycją. Warto spróbować na miejscu specjałów kuchni Wileńszczyzny, jednak na tutejszą specjalność, czyli świńskie uszy z grochem, trudno się zdecydować…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Jackiewicz M., ***„Kawiarnie, restauracje i inne lokale w Wilnie"***; *Jędrychowska A.*, ***„Zygzakiem i po prostu"***; *Lepecki M.*, ***„Byłem adiutantem Marszałka Piłsudskiego"***; *Wołkanowski W.*, ***„Kulisy Kaziukowego jarmarku w Wilnie"***; *http://**www.wilnoteka.lt/artykul/kulisy-kaziukowego-jarmarku-w-wilnie-1**; http://**kurierwilenski.lt/2013/01/18/kawiarnie-restauracje-i-inne-lokale-w--wilnie-1/**.*

eprasa.pl ed8b1c50fb

Ostra Brama w Wilnie – kaplica z obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej FOT. TOMASZ STAŃCZYK

Matka i Syn / Najsłynniejsze wileńskie obrazy

Miasto miłosierdzia

Anna Szczepańska

Cudowne wizerunki Jezusa i Matki Bożej przyciągają do Wilna tysiące wiernych. Dzieje powstania obu świętych dla Polaków obrazów pełne są zaskakujących wątków

Dziś ujrzałam chwałę Bożą, która płynie z obrazu tego. Wiele dusz doznaje łask, choć o nich głośno nie mówią. Choć różne są koleje jego, Bóg otrzymuje chwałę przezeń, i wysiłki szatana, i złych ludzi rozbijają się i obracają w nicość. Mimo złości szatana miłosierdzie Boże zatriumfuje nad całym światem i czczone będzie przez wszystkie dusze" („Dzienniczek", 1789) – pisała z radością w „Dzienniczku" s. Faustyna, widząc ludzi pokrzepionych modlitwą przez obrazem Jezusa Miłosiernego.

Początkowo jednak przyszła święta nie była zadowolona z efektów pracy malarza. „Kiedy byłam u tego malarza, który maluje ten obraz, i zobaczyłam, że nie jest tak piękny, jakim jest Jezus – zasmuciłam się tym bardzo, jednak ukryłam to w sercu głęboko – pisała s. Faustyna. – Kiedyśmy wyszły od tego malarza [...], zaraz udałam się do kaplicy i napłakałam się bardzo. Rzekłam do Pana: Kto Cię wymaluje tak pięknym, jakim jesteś? – Wtem usłyszałam takie słowa: Nie w piękności farby ani pędzla jest wielkość tego obrazu, ale w łasce mojej" („Dzienniczek", 313). W tym momencie Faustyna zaakceptowała obraz, rozumiejąc, że żaden człowiek i tak nie odda wystarczająco dobrze piękna Boga, a Jezus wyraźnie żąda, aby wykonać Jego podobiznę i aby poprzez adorację tego obrazu prosić o Boże miłosierdzie.

Rozeznanie Bożej woli

Helenie Kowalskiej, która w zakonie przyjęła imiona Maria Faustyna, Pan Jezus objawił się 280 razy. Wiele widzeń związanych było z powstaniem wizerunku Chrystusa. Pierwsze z nich miało miejsce 22 lutego 1931 r., kiedy siostra mieszkała w Płocku. „Wieczorem, kiedy byłam w celi, ujrzałam Pana Jezusa ubranego w szacie białej. Jedna ręka wzniesiona do błogosławieństwa, a druga dotykała szaty na piersiach. Z uchy-

eprasa.pl ed8b1c50fb

lenia szaty na piersiach wychodziły dwa wielkie promienie, jeden czerwony, a drugi blady. W milczeniu wpatrywałam się w Pana. Dusza moja była przejęta bojaźnią, ale i radością wielką. Po chwili powiedział mi Jezus: Wymaluj obraz według rysunku, który widzisz z podpisem: »Jezu, ufam Tobie«. Pragnę, aby ten Obraz czczono najpierw w kaplicy waszej i na całym świecie" („Dzienniczek", 47).

Faustyna nie była w stanie spełnić woli Jezusa. Choć zwierzyła się z widzenia siostrze przełożonej, a ta chciała dać Faustynie farby i płótno, to zadanie przerastało umiejętności przyszłej świętej. Obraz powstał jednak trzy lata później. Faustyna mieszkała wtedy w domu swego zgromadzenia w Wilnie. Tam spotkała spowiednika i przewodnika duchowego, ks. Michała Sopoćkę. To on skontaktował Faustynę ze swym znajomym malarzem, Eugeniuszem Kazimirowskim. „Wiedziony raczej ciekawością, jaki to będzie obraz, niż wiarą w prawdziwość widzeń Siostry Faustyny, postanowiłem przystąpić do namalowania tego obrazu. Porozumiałem się z mieszkającym w jednym ze mną domu artystą malarzem Eugeniuszem Kazimirowskim" – wspominał w swoim „Dzienniku" Sopoćko.

Jak widać, nie tylko bł. Michał Sopoćko nie rozeznał od razu prawdziwości widzeń Faustyny. Nie było w tym jednak nic oburzającego – czy to wtedy, czy dzisiaj. Nietrudno bowiem pomylić szczególną łaskę Bożą i widzenia mistyczne z zaburzeniami psychicznymi.

Faustyna nie wykazywała jednak żadnych objawów choroby. Była pracowita, skupiona i twardo stąpała po ziemi. Ksiądz Sopoćko coraz częściej prosił, aby Faustyna dowiedziała się więcej od Pana Jezusa: Co oznaczają promienie, które wychodzą z Jego boku? Gdzie na obrazie powinien zostać umieszczony podpis „Jezu, ufam Tobie"? Faustyna pytała i otrzymywała odpowiedzi. Jak przekazał jej Chrystus: „Te dwa promienie oznaczają Krew i Wodę. Blady promień oznacza wodę, która usprawiedliwia duszę, czerwony promień oznacza Krew, która jest życiem dusz. Te dwa promienie wyszły z wnętrzności miłosierdzia mojego wówczas, kiedy konające serce moje zostało włócznią otwarte na krzyżu. Te promienie osłaniają dusze przed zagniewaniem Ojca mojego" („Dzienniczek", 299).

Święta Faustyna Kowalska. Obraz Stanisława Sztamy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARIAN.ORG

Błogosławiony ks. Michał Sopoćko

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JEZUUFAMTOBIE.PL

Jezus przekazał Faustynie, że chce, aby jego wizerunek został ukazany wiernym. I o tym życzeniu Faustyna opowiedziała ks. Sopoćce. Po raz pierwszy obraz został pokazany publicznie w Wilnie w Ostrej Bramie w 1935 r., w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, czyli w dniu, który wedle życzenia Jezusa miał zostać ogłoszony świętem Miłosierdzia Bożego. Działo się to podczas uroczystości zakończenia Jubileuszu Odkupienia Świata, które miały miejsce od 25 do 27 kwietnia 1935 r. Kiedy obraz został wystawiony, ks. Sopoćko wygłosił kazanie na temat Miłosierdzia Bożego. „Kazanie to było […] pierwsze, czego żądał tak dawno Pan Jezus. Kiedy zaczął mówić o tym wielkim Miłosierdziu Pańskim, obraz ten przybrał żywą postać i promienie te przenikały do serc ludzi zgromadzonych" („Dzienniczek", 417) – pisała s. Faustyna.

Dzięki staraniom ks. Sopoćki w kolejnym roku, w pierwszą niedzielę po Wielkiej Nocy, obraz pędzla Kazimirowskiego został umieszczony na stałe w kościele św. Michała Archanioła (spowiednik s. Faustyny był jego rektorem). Ze względu na brak zgody abp. wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego na ekspozycję w świątyni obraz wisiał przez jakiś czas w zakrystii. Dzięki dalszym staraniom ks. Sopoćki powieszono go jednak w kościele, po prawej stronie prezbiterium, obok wielkiego ołtarza. 4 kwietnia 1937 r. obraz konsekrowano. Tak spełniło się życzenie Jezusa, który przykazał s. Faustynie: „Chcę, aby ten obraz […] był uroczyście poświęcony w pierwszą niedzielę po Wielkanocy, ta niedziela ma być Świętem Miłosierdzia" („Dzienniczek", 88).

Cudem uratowany

W trakcie drugiej wojny światowej obraz przeleżał na strychu jednego z domów, wykupiony przez parafianki od kościelnego stróża. W czasach sowieckich także groziły mu zniszczenie lub konfiskata. Obraz uratowała s. Cecylia Obuchowska (zmarła rok temu w wieku 104 lat), która wywiozła go do Nowej Rudy (dziś Białoruś). W tamtejszej parafii obraz znajdował się do 1986 r. Wydaje się, że i tam tylko cudem ocalał; w 1970 r. komunistyczne władze zdecydowały o przerobieniu kościoła na magazyn i przeniesieniu całego wyposażenia do świątyni w Porzeczu. Obraz Jezusa wisiał jednak tak wysoko, że nikt nie był w stanie go stamtąd zdjąć. Siostra Cecylia wciąż była niespokojna o los obrazu. W końcu, z inną zakonnicą, s. Teresą, oraz z zaprzyjaźnionym człowiekiem, który miał tego dnia pełnić rolę kierowcy, postanowiły przeprowadzić „podmianę". Plan obmyśliła s. Teresa. „Przez chóry wlazłyśmy na strych i demontowałyśmy część drewnianej ściany. Potem wciągnęłyśmy oryginał i powiesiłyśmy zamiast niego przygotowaną wcześniej kopię. Na szczęście obraz nie był ciężki. Wyjęłyśmy go z ramy i zwinęłyśmy" – wspominała później s. Cecylia.

Towarzyszący im pan Wacław zawiózł je samochodem do Grodna, gdzie zakonnice wsiadły do pociągu do Wilna. Po

eprasa.pl ed8b1c50fb

kilku nerwowych godzinach dotarły do kościoła św. Ducha, gdzie przygotowano już miejsce na cudowny obraz.

W 2005 r., pomimo protestów mieszkających na Litwie Polaków, obraz Jezusa Miłosiernego został przeniesiony do nowo powstałego sanktuarium Bożego Miłosierdzia, czyli kościoła pw. Świętej Trójcy. Po przenosinach zdecydowano o zakryciu polskiego napisu „Jezu, ufam Tobie".

Obraz pędzla Kazimirowskiego jest pierwszym wizerunkiem Jezusa Miłosiernego namalowanym wedle wskazówek s. Faustyny. Nie jest to jednak obraz jedyny. Najbardziej znany pozostaje bowiem obraz Adolfa Hyły, który powstał w 1944 r. i znajduje się w krakowskim sanktuarium w Łagiewnikach. Po tych obrazach namalowano także wiele innych wizerunków miłosiernego Jezusa. Czy któryś z nich spodobałby się s. Faustynie? Pewnie nie, lecz – jak przekazał polskiej świętej Chrystus – „nie w piękności farby ani pędzla jest wielkość tego obrazu".

Co w Ostrej świecisz Bramie

Do rozprzestrzenienia kultu obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej bezsprzecznie przyczynił się Adam Mickiewicz, który odwoływał się do tego wizerunku w „Inwokacji" „Pana Tadeusza". Wielkim czcicielem Maryi z Ostrej Bramy był również Józef Piłsudski. „Nie mogę Jej nie być wdzięcznym za to, że w długim okresie poniewierki i poniżenia wszystkiego, co polskie, Ona była obronicielką naszej dumy narodowej" – mówił Marszałek w 1927 r., po koronacji wizerunku Ostrobramskiej Madonny, której dokonał kard. Aleksander Kakowski. W uroczystości brali udział najważniejsi politycy, na czele z prezydentem Ignacym Mościckim. Piłsudskiemu przypisuje się ponadto darowanie Matce Bożej z Ostrej Bramy wotum wdzięczności z napisem: „Dzięki ci, Matko, za Wilno". Miało być to podobno podziękowanie za zdobycie Wilna w 1919 r.

Nie wiemy, kto jest autorem obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej, zwanej też Matką Bożą Miłosierdzia i Królową Korony Polskiej. W literaturze podaje się, że twórcą mógł być mistrz Łukasz z Krakowa. Dzieło mogło też powstać na podstawie miedziorytów niderlandzkiego artysty przedstawiających wizerunek Maryi. Wiadomo, że namalowano go ok. lat 1620–1630 na ośmiu dębowych deskach. Jego wymiary to 200 x 162 cm.

Obraz został zawieszony przez karmelitów w jednej z bram prowadzących do Wilna: Miednickiej, zwanej też Ostrą. Był to zwyczaj znany w dawnej Rzeczypospolitej (i nie tylko) – w bramach miast często umieszczano wizerunki świętych. Obraz Matki Bożej Ostrobramskiej zawisł początkowo w niszy po wewnętrznej stronie bramy. Od zewnątrz znajdował się natomiast obraz Zbawiciela Świata (to dzieło można oglądać obecnie w Muzeum Dziedzictwa Sakralnego w Wilnie).

Przez cały XVII w. karmelici, których kościół pw. św. Teresy z Ávili znajdował się tuż obok Ostrej Bramy, szerzyli kult tego maryjnego obrazu. Wizerunek nie od razu stał się jednak słynny. Wierni długo przyzwyczajeni byli bardziej do obrazu Matki Bożej z kościoła w Trokach, który zresztą został koronowany jako drugi obraz na ziemiach Rzeczypospolitej, po obrazie Jasnogórskiej Madonny.

W 1671 r. obraz Maryi z Ostrej Bramy, dzięki staraniom o. Karola od Ducha Świętego (ks. Franciszka Kielczewskiego), umieszczono w specjalnie wybudowanej kaplicy. Jeszcze w tym samym roku w Wilnie miał miejsce cud, który przypisywano właśnie Matce Bożej z Ostrej Bramy: dziecku, które wypadło z okna na drugim piętrze, Maryja przywróciła życie i zdrowie. „Trafiło się R.P. 1671 r., którego był Obraz do pierwszej wprowadzony Kaplicy, że mało lat dwie mające dziecie, z drugiego piątra niejakim przypadkiem, na samego dołu kamienny pawiment tak wielkim upadło szwankiem, że je nieżywe z ziemi podjęto" – pisano w kronice klasztoru Karmelitów.

Od tamtego czasu wierni coraz częściej uciekali się do Maryi z Ostrej Bramy, prosząc o pomoc w codziennych problemach, a także o obronę w czasie wojen czy pożarów, które często nawiedzały miasto. W czasie jednego z nich całkowicie spłonęła kaplica w Ostrej Bramie, ale w niewyjaśniony sposób ocalał natomiast sam obraz. Po tej katastrofie wybudowano dla cudownego wizerunku Maryi kaplicę murowaną (1713).

Kult obrazu się rozszerzał. Rzym nie mógł pozostać wobec niego obojętny. W 1773 r. papież Klemens XIV nadał kaplicy status publiczny. Coraz częściej przed wizerunkiem Maryi odprawiano nabożeństwa i Msze Święte. Od listopada 1735 r. (w tym roku, na mocy decyzji Kongregacji Obrzędów, wprowadzono na terenie Polski święto Opieki Matki Bożej) regularnie, co roku, odprawia się w tym miejscu uroczystości nazywane „Opiekami", które trwają osiem dni. Pisał o nich poeta i znawca staropolskiej literatury Władysław Syrokomla: „Przez osiem dni

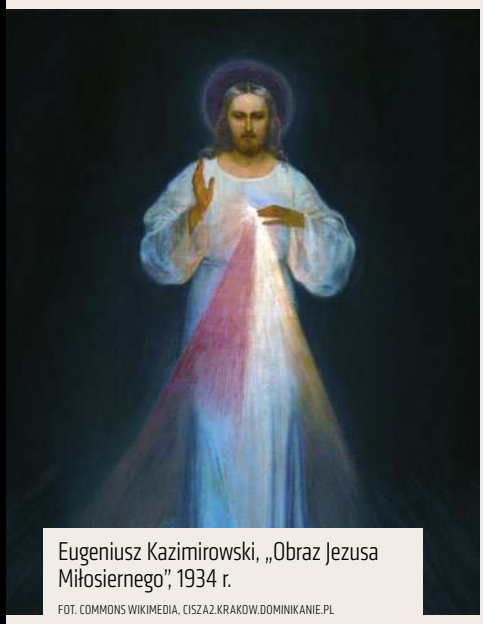

Eugeniusz Kazimirowski, „Obraz Jezusa Miłosiernego", 1934 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CISZA2.KRAKOW.DOMINIKANIE.PL

Adolf Hyła, „Obraz Jezusa Miłosiernego", 1944 r.

FOT. MAZUR/EPISKOPAT.PL/FLICKR. COM

eprasa.pl ed8b1c50fb

kościół i ulica przepełnione są ludem, wieczorna litania bez względu na przykrą pogodę roku liczy co dzień po kilka tysięcy modlących się […]. Nieszpory odbywają się w kościele. Po ich zakończeniu kapłan celebrujący, zwykle biskup wileński, pontyfikalnie ubrany, wchodzi do Ostrobramskiej kaplicy. Artyści co przedniejsi, jakich Wilno posiada, wykonują litanię przy towarzyszeniu orkiestry miejscowej". To na okoliczność tych uroczystości Stanisław Moniuszko skomponował w latach 1843–1855 „Litanie Ostrobramskie".

Szczególną cześć Matce Bożej Ostrobramskiej oddawano w czasach zaborów. Wtedy też „Opieki" zyskały wyjątkową, patriotyczną wymowę. Przed cudownym wizerunkiem Maryi Polacy bardzo licznie manifestowali swoją wiarę oraz przywiązanie do polskości. To tu modlili się Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki czy Józef Ignacy Kraszewski, a w późniejszych latach m.in. August Hlond, Stefan Wyszyński i Jan Paweł II.

Kult wizerunku Królowej Korony Polskiej wzrósł jeszcze bardziej po upadku powstania listopadowego, kiedy nasiliły się represje Rosjan wobec katolików. Wtedy też karmelici zostali zmuszeni do opuszczenia swojego kościoła (wrócili dopiero po odrodzeniu państwa polskiego – w 1931 r.).

Po powstaniu styczniowym, kiedy znowu nasiliły się represje wobec Polaków i katolików, gubernator wileński Michaił Murawjow kazał zmienić napis z frontonu kaplicy: „Matko Miłosierdzia pod Twoją obronę uciekamy się" na słowa w języku łacińskim: „Mater Misericordiae, Sub Tuum Praesidium Confugimus". Polski napis przywrócono na krótko w latach 30. XX w. (po wojnie powrócono do łaciny).

Kolejne represje spotkały karmelitów w czasie niemieckiej okupacji. Po 1945 r. Sowieci zmusili ich do wyjazdu do Polski. Pomimo wojennej zawieruchy i zmieniających się okupantów obraz Matki Bożej Ostrobramskiej przetrwał na swoim miejscu.

Kaplica w Ostrej Bramie, grafika z XIX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, „TYGODNIK ILUSTROWANY" 1864 R.

Fałszywa legenda

Co jakiś czas spotkać można się z tezą, że wizerunek Maryi z Ostrej Bramy przypomina rysy Barbary Radziwiłłówny. Jest to jednak niemożliwe, gdyż królowa „cieszyła się" na tyle złą opinią, że nie ośmielono by się wzorować jej urodą, malując święte oblicze Madonny.

Matka Boża została namalowana ubrana w czerwoną szatę, okryta białą chustą oraz niebiesko-zielonym płaszczem. Artysta ukazał Ją w chwili Zwiastowania. Maryja ma ręce skrzyżowane na piersi, a wzrok skromnie opuszczony. Inna interpretacja mówi o tym, że Matka Boża została przedstawiona jako brzemienna, o czym mają świadczyć obfite szaty. Zdaniem niektórych historyków wskazują na to także dwie korony, które ma nad głową: jedna przeznaczona dla Niej, druga dla jeszcze nienarodzonego Jezusa. Może to jednak świadczyć również o czymś innym: według tej interpretacji w ten sposób pokazano symbolicznie Koronę Polską i Wielkie Księstwo Litewskie, których Maryja jest patronką i opiekunką. Mówi się też, że dwie korony podkreślają fakt, że Maryja jest Królową Nieba i Ziemi.

Barokową koronę nad głową Maryi umieszczono pod koniec XVII w., a rokokową – w połowie wieku XVIII. Inne korony, poświęcone przez papieża Piusa XI, zostały użyte podczas koronacji obrazu w 1927 r., lecz zaginęły na początku drugiej wojny światowej i do tej pory ich nie odnaleziono.

Około 1671 r. obraz został zasłonięty srebrną, złoconą suknią zdobioną motywami kwiatowymi, spod której widać jedynie twarz i ręce Maryi. Na dole obrazu znajduje się wotum z 1849 r. Jest to nieprzymocowany do obrazu, choć wizualnie stanowiący jedność posrebrzany półksiężyc z napisem: „Dzięki Tobie składam Matko Boska za wysłuchanie próśb moich, a proszę Cię Matko Miłosierdzia zachowaj mnie nadal w łasce i opiece Swojej Przenajświętszej W.I.J. 1849 roku".

Przydomek Matka Miłosierdzia nieodparcie przywodzi na myśl drugi, najsłynniejszy wileński obraz – Jezusa Miłosiernego, który pierwszy raz publicznie został ukazany wiernym tuż przy Madonnie, w jej kaplicy w Ostrej Bramie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Czaczkowska E., ***„Siostra Faustyna Biografia Świętej"***; *Czaczkowska E.*, ***„Siostra Faustyna była ulubioną świętą Jana Pawła II"***; *Tarka B.* ***„75 lat koronacji Obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej"***; *www.niedziela.pl*, ***„Historia obrazu Matki Bożej Ostrobramskiej"***; *www.wb24.pl*, ***„Odeszła do wieczności siostra Cecylia Obuchowska – cicha bohaterka z Grodzieńszczyzny".***

eprasa.pl ed8b1c50fb

Leszek Lubicki

XIII w. / Bolesław II Rogatka

Piastowski demon

Jego dziad, Henryk I Brodaty, był jednym z najwybitniejszych piastowskich władców swoich czasów, ojciec, Henryk II Pobożny, oddał życie za obronę polskiej ziemi. On natomiast okazał się jednym z największych łotrów i szubrawców dynastii piastowskiej

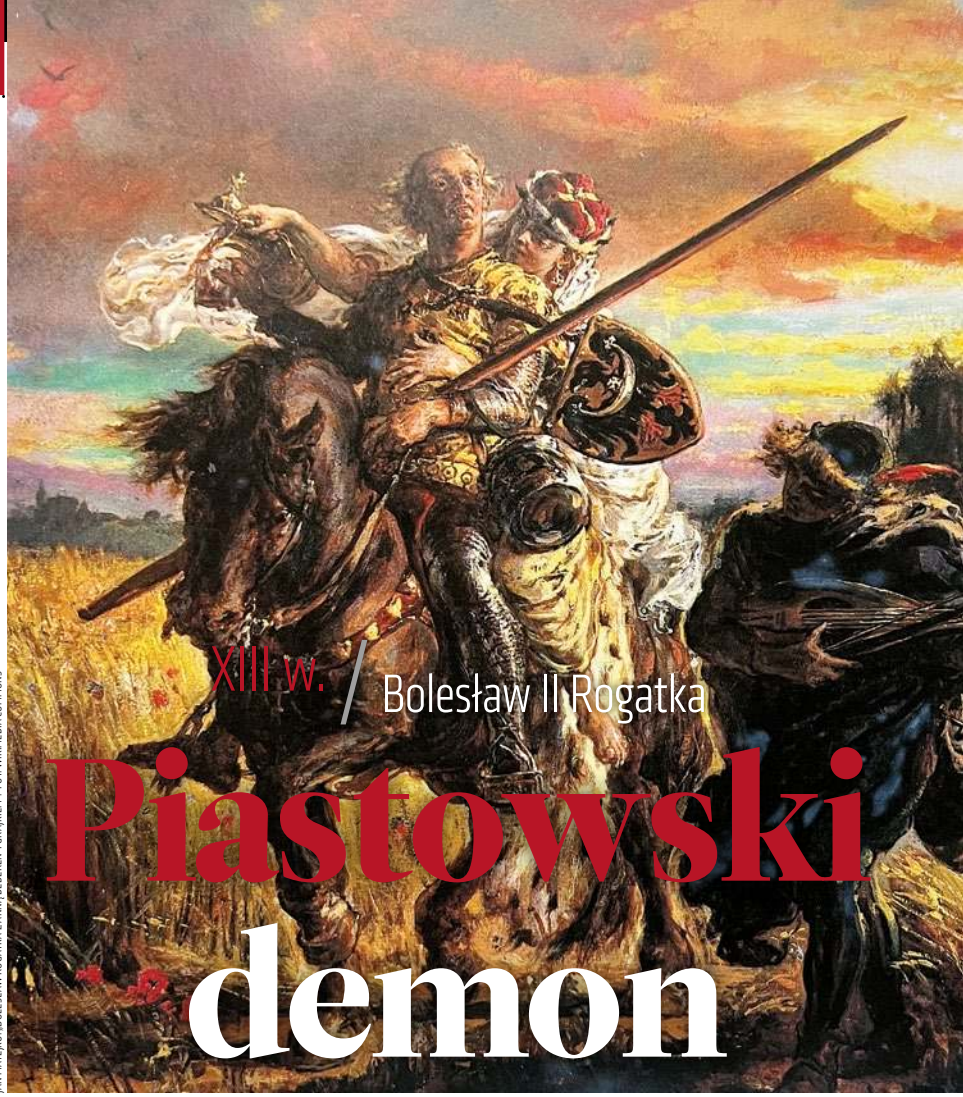

JAN MATEJKO, „BOLESŁAW ROGATKA ZAWIĄ DEDEREN I GRAJKIEM". FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Mimo że Polska po agresji mongolskiej była okrutnie okaleczona, to jednak zachowała niepodległość. Pierworodny syn Henryka Pobożnego miał szansę, idąc śladem dziada i ojca, dążyć do zjednoczenia poszczególnych polskich prowincji w jeden kraj pod jednym berłem.

Przypomnijmy, że przed najazdem Mongołów Henryk Pobożny władał na ojcowiźnie, czyli na Śląsku, w zachodniej części Wielkopolski, oraz dzierżył tron senioralny w Krakowie. Wyrodny jego syn nie zrobił nawet jednego kroku, aby podtrzymać władzę w tych dzielnicach. Wręcz odwrotnie – trwonił cały dorobek i doprowadził do ruiny „Monarchię Henryków śląskich". Choć – jak uważa biograf Rogatki – „pierwsze symptomy kryzysu monarchii Henryków śląskich rozpoczęły się już za rządów Henryka Pobożnego, a w pełnej okazałości wystąpiły dopiero po objęciu władzy przez Bolesława Rogatkę" (Osiński, 2012). Księciem senioralnym został po śmierci ojca w 1241 r., jednak szybko stracił władzę nad Małopolską i Wielkopolską. Jego rządy ograniczyły się jedynie do niewielkiej części Śląska.

Przeczucie świętej

Jego babka, Jadwiga Śląska, niemiecka żona Henryka Brodatego, późniejsza święta Kościoła katolickiego, ale uznawana za taką już za życia, od dzieciństwa Bolesława przeczuwała, że wnuczek wyrośnie na złego człowieka. A miał przecież w przyszłości jako najstarszy syn Henryka Pobożnego przejąć władzę nad prowincją śląską, a nawet nad całą Polską. Do tego dążył jego ojciec – do odrodzenia Królestwa Polskiego po latach rozbicia dzielnicowego. A była taka możliwość, ponieważ Rogatka w roku 1241 krótko dzierżył po ojcu tron krakowski, a więc ten najważniejszy, choć tak naprawdę nigdy w Krakowie nie przebywał. Po klęsce legnickiej, gdzie na polu bitwy zginął jego ojciec, niejako z automatu Bolesław stał się władcą ziemi krakowskiej, bo żaden inny Piast po tej tatarskiej zawierusze nie upomniał się o nią. Dopiero po pewnym czasie „ocknął się" Konrad Mazowiecki (sam nie stanął do walki z nawałnicą tatarską) i zdobył dzielnicę senioralną. I tyle było nominalnej władzy Rogatki w Krakowie...

Choć możni małopolscy nienawidzili Konrada, to bohater tego szkicu nie poczynił najmniejszych nawet działań, aby ten stan rzeczy obrócić na własną korzyść. Niemniej w pisanych współcześnie „Pocztach królów i książąt polskich" zaistniał jako Bolesław Łysy, zwany częściej Rogatką, ale bodaj tylko z uwagi na to tytularne panowanie w stołecznym mieście. Ten drugi przydomek nie jest oczywiście pochlebny, ponieważ – jak pisał Jan Długosz – „w polskiej mowie oznacza człeka zuchwałego i jakby bodącego rogami". Mówiąc wprost, „lubieżny, okrutny i głupi", czyli – rogata dusza.

Syn Pobożnego miał jeszcze inne przydomki – Cudaczny, Srogi i Okrutny. Ten ostatni pasuje jak ulał, bo to jeden z najczarniejszych charakterów pośród masy piastowskich książąt. „Był to łotr bez czci, wiary i sumienia – pisał Paweł Jasienica – a jego najważniejsze posunięcie dyplomatyczne przyniosło Polsce niepowetowane straty". Historyk miał tu

eprasa.pl ed8b1c50fb

Ślub Henryka Brodatego z Jadwigą z Andechs
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

na myśli oddanie przez Piasta ziemi lubuskiej biskupowi magdeburskiemu za pieniądze, które później przeznaczał na wojska zaciężne konieczne mu do prowadzenia bratobójczych walk. Tereny te, jak nazwał je dużo wcześniej Gall Anonim, były „strażnicą i kluczem królestwa". Dla Marchii Brandenburskiej pchającej się nieustannie na wschód był to sukces, a dla Polski katastrofa.

„Żądne łupu obce zaciągi Rogatki zniszczyły znaczną połać księstwa wrocławskiego. W Środzie Śląskiej ludność schroniła się do kościoła i tam rozbestwieni żołdacy sascy, prawdopodobnie za wiedzą Rogatki, dokonali potwornej zbrodni, paląc żywcem około 500 mieszkańców" (Boras, 1974). Sprowadzeni przez Bolesława najemni niemieccy żołnierze, zwyczajni rabusie i bandyci, tak się wówczas rozpanoszyli, że książę miał na nich niewielki wpływ.

A w konsekwencji nieodpowiedzialności piastowskiego dziedzica dokonywały się dalsze podziały dzielnicy śląskiej. Rogatki nie da się obarczać odpowiedzialnością za całe ówczesne zło, bo rozprężenie po nawale mongolskiej ogarnęło południową część Polski, jednak metod uprawiania polityki przez księcia nic nie jest w stanie usprawiedliwić. Rogatka imał się tu – jak zauważa Marek Urbański – „wszelkich sposobów – nie tylko powszechnej w takich wypadkach zdrady, ale porwań, wymuszeń i innych aktów najpospolitszego bandytyzmu".

Konflikty z braćmi

Rogaty książę kawał swojego życia poświęcił na walkę z czterema rodzonymi – młodszymi – braćmi. Mieszko legnicki zmarł już rok po śmierci ojca. Z trzema pozostałymi – z Henrykiem III Białym, a później Władysławem i Konradem, którzy byli przeznaczeni do stanu duchownego (Konrad zmienił jednak zdanie) – musiał dzielić się, wzorem całej Polski, „przyrodzonym" dziedzictwem. Jednak wszyscy bracia zeszli z tego świata przed nim. Choć nie ma tu bezpośrednich dowodów, to w każdym z tych przypadków rzucano oskarżenia, że zostali otruci z podpuszczenia Rogatki. Konrada nienawidził, więc jest to jak najbardziej możliwe. W przypadku Henryka III także „powszechnie mówiono o truciźnie podanej mu przez możnych księstwa wrocławskiego. Inni zwalają winę na Rogatkę". A jeżeli chodzi o śmierć Władysława, to „trzeba zachować pełną ostrożność, wszystkie te relacje pochodzą z kręgów kościelnych, które nigdy nie darzyły Bolesława sympatią" (Boras, 1974).

Oprócz posiadania tytułu księcia Wrocławia był także Władysław arcybiskupem salzburskim. Nadarzyła się więc okazja, aby po śmierci braci skupić w swoim ręku całą władzę na Śląsku. Rogatka miał jednak pecha, ponieważ Henryk III Biały pozostawił po sobie syna – Henryka IV Probusa (Prawego). Stryj dopuścił się nawet porwania i uwięzienia bratanka, chcąc w ten sposób wymusić dla siebie korzystne decyzje. Nawiasem mówiąc, porwania i uwięzienie w tym czasie to niemal ulubione zajęcie książąt śląskich. Rogatka zaplanował razu pewnego napaść na brata Konrada, ale ten przewidział taką możliwość i sam pierwszy porwał i uwięził Bolesława... Po pewnym czasie uwolnił go, jednak nie wiemy za jaką cenę.

Innym przykładem okrucieństwa wnuka św. Jadwigi Śląskiej jest czyn niewyobrażalny w tamtych czasach. Potrzebując pieniędzy, napadł i ograbił biskupa wrocławskiego i przez dłuższy czas więził go w okropnych warunkach dopóty, dopóki duchowny nie dokonał na jego rzecz ustępstw. Wywołało to wielkie oburzenie; planowano nawet zorganizować przeciw Rogatce wyprawę krzyżową. Krnąbrny książę musiał się później zwyczajem średniowiecznym ukorzyć, co uczynił, odbywając w pokutnych szatach pielgrzymkę do wrocławskiej katedry.

Bolesław Rogatka
FOT. DOMENA PUBLICZNA

W życiu rodzinnym również nie szukał szczęścia. Choć pozostawił po sobie trzech synów (jeden zmarł w dzieciństwie) i tyleż córek, to ich matka, jego pierwsza żona Jadwiga – jak powiadają – umarła ze zgryzoty. Z kolei druga żona, córka księcia pomorskiego Sambora, po pewnym okresie wspólnego pożycia ponoć „pieszo uszła z powrotem na Pomorze". Rogatka nic sobie z tego nie robił i dalej żył ze swoją kochanicą, wymalowaną na obrazie przez Matejkę, Anną Dederen. Prawdopodobnie przed swoją śmiercią poślubił ją i miał z nią syna. Tak jak wielu innych bogatych grzeszników z tamtej epoki, czując nadchodzący kres, próbował jakoś zrekompensować Bogu i ludziom swoje grzechy i ufundował klasztor w Legnicy.

Nogi zakonnic

Rogatka zapisał się w naszej historii jeszcze jednym czynem z kategorii jego ulubionych, czyli rozrywki. Piastowski książę zorganizował pierwszy w Polsce turniej rycerski. Zasługa to jednak wątpliwa, ponieważ miał on miejsce jeszcze w czasie trwania żałoby po Henryku Pobożnym. Rycerstwo nie bardzo chciało uczestniczyć w tym smutnym czasie w zawodach. Bolesław udobruchał ich, robiąc nadanie na rzecz klasztoru w Henrykowie, który bardzo podczas napaści Mongołów ucierpiał i... turniej się odbył.

Nie sposób wymienić tu wszystkich przewinień, których dopuścił się w stosunku do ludzi i państwa ten okrutny Piastowicz, dlatego wspomnieliśmy jedynie te najgorsze. Jak pisze Tomasz Jurek, „miał [Rogatka] osobowość nieprzystającą zupełnie do panujących wyobrażeń o obowiązkach władcy" (Leksykon,

eprasa.pl ed8b1c50fb

1999). Czyżby wpływ na takie „niedostosowanie społeczne" mogły mieć traumatyczne przeżycia z dzieciństwa, gdy pozostawał pod opieką babki Jadwigi i matki Anny, czeskiej królewny, których zachowanie często trąciło dewocją? Z przekazów wiemy, że Jadwiga obmywała młodego Bolesława wodą, w której wcześniej moczyły nogi zakonnice. Jeżeli tak było, to trudno się dziwić, że w wieku dorosłym nie był zbyt chętny do praktyk religijnych. Dość powiedzieć, że Rogatka nie przybył na pogrzeb babki ani nawet matki.

Polska jednak miała wówczas nieco szczęścia. W Wielkopolsce po podłym ojcu, Władysławie Odonicu, władzę przejęli jego synowie, którzy właściwie rozumieli powinność piastowskiego rodu – Przemysł I i Bolesław Pobożny. Ten pierwszy miał jednego syna, Przemysła II, który później został koronowany na króla Polski. Bolesław natomiast wyda córkę za Władysława Łokietka, a zatem będzie ona matką Kazimierza Wielkiego. Tym samym w Wielkopolsce doszło do sytuacji odwrotnej niż na Śląsku. Tu dobry dziad i ojciec, a zły syn, tam zły ojciec – dobre dzieci.

W dzielnicy senioralnej natomiast władzę objął w tym czasie syn Leszka Białego, Bolesław Wstydliwy i pomału wszystko zaczęło wracać z grubsza do stanu, jaki miał miejsce przed tatarską nawałą. Nie licząc oczywiście walki z nieustępliwym w dążeniu do krakowskiego tronu Konradem Mazowieckim, który musiał uznać wyższość księcia krakowskiego, ostatniego z małopolskiej linii Piastów.

Śląsk natomiast coraz bardziej rozdrabnia się na małe księstwa. Co prawda, dalej pozostaje w rękach Piastów, ale jednak zaczyna oddalać się duchowo i językowo od Polski. Choć sam Rogatka, jak pisał kronikarz, „według relacji ludzi wiarygodnych nazywany był Cudacznym\Dziwacznym, był bowiem cudacznym\dziwacznym w sposobie mówienia, z tego powodu, że mówiąc po niemiecku, tak słowa zniekształcał, iż wśród licznych słuchających śmiech wywoływał" (Osiński, 2012).

Pewna część saskich najemników, nałupiwszy się co niemiara, a także szczodrze wynagradzana przez Rogatkę, pozostała na Śląsku na stałe. Jak celnie

Kościół św. Andrzeja w Środzie Śląskiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA

zauważył Michał Bobrzyński, „nigdy rozdrobnienie dzielnic i zatargi pomiędzy książętami nie zaszły tak daleko, jak w drugiej połowie XIII stulecia. Podziały Śląska idące równym krokiem z rozrodzeniem się tamtejszych Piastów tylko na tablicy ich genealogicznej studiować można". Oczywiście trzeba jasno powiedzieć, że tak wielkie rozdrobnienie Śląska i zerwanie więzów z Polską nie było jedynie winą polityki Bolesława Rogatki. Ale swoje „pięć groszy", a nawet więcej, do takiego stanu rzeczy dołożył niewątpliwe ten władca.

Książę i mistrz

Jan Matejko, tworząc swój słynny „Poczet królów i książąt polskich", nie ujął w nim tego Piasta. Jak powiedział w jednym z wywiadów udzielonemu Polskiemu Radiu wybitny mediewista prof. Tomasz Jurek, „z Bolesławem Rogatką jest kłopot, on w ogóle nie istnieje w naszej świadomości narodowej. To był Piast Śląski, a w XIX w., kiedy tworzył Matejko, książąt śląskich traktowano nieufnie i traktowano ich bardziej jako Niemców niż Polaków". Po części to prawda. Ale innego Piasta śląskiego Matejko jednak nie pominął. Mowa o Henryku Brodatym, który przez pewien czas również był księciem krakowskim.

Jednak mistrz z Krakowa poświęcił Bolesławowi Rogatce inne swoje dzieło malarskie. Na pierwszy rzut oka wygląda ono całkiem sielankowo. Mimo że mistrz Jan nie lubił malować małych obrazów, to jeżeli potrzebował pieniędzy i znalazł się chętny na taki obraz, to nie odmawiał przyjęcia zlecenia. Malowidło, którym tę opowieść ilustrujemy, według sekretarza Matejki zostało sprzedane za tysiąc złotych reńskich „jakiemuś Grossmanowi z Warszawy […], który jest podobno muzykiem, dlatego w obrazie namalował mu pewnie i tego grajka…". Nie do końca jednak Matejko sam z siebie tego „grajka" namalował. Jak czytamy w katalogu obrazów Matejki, „gdy [Rogatka] stał się dojrzałym mężem, porzucał nieraz sprawy państwowe […], wałęsając się z jakimś ulubionym flecistą i kobietą, której śpiew lubił namiętnie […]. Książę bez nakrycia głowy, w stroju rycerskim i z tarczą herbową, lewą ręką podtrzymuje konia i umieszczoną w poprzek długą pikę; w prawej dłoni trzyma szklanicę, do której jego towarzyszka nalewa z dzbanka trunek". Znamy nawet nazwisko tego grajka – to Surian, śpiewak wagant. Długosz pisał natomiast: „Gwałtownik względem własnych i obcych ludzi, był uwikłany aż do śmierci w ohydną miłostkę z nałożnicą". Kobieta siedząca razem z nim na wałachu to wspomniana już Anna Dederen, która porzuciła męża, zostając jego kochanką.

Przypomnijmy, że artysta stworzył ok. 30 obrazów o starannie przemyślanych scenach, niejako teatralnych, o treści sensacyjnej bądź anegdotycznej. Na pomysł kompozycji „Bolesław Rogatka z Anną Dederen i grajkiem" wpadł w swoim majątku w Krzesławicach, przechadzając się po polach. Jak wyjaśniał mistrz Jan w rozmowie ze swoim sekretarzem: „Patrząc na zboża, nasunął mi się obraz Bolesława Rogatki, więc na tym obrazie jest wiejska przestrzeń, łany, zieleń i zboża, tak jak widziałem u siebie na wsi". Owszem, widzimy kawałki pejzażu, ale przyjrzawszy się bliżej, zauważymy „łuny pożarów, zarys miasta i krążące czarne ptaki", które są zwiastunem nieszczęścia. I tak właśnie było: Rogatka zostawiał za sobą przede wszystkim spaloną ziemię…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Bobrzyński M., ***„Dzieje Polski w zarysie"***; *Boras Z.*, ***„Książęta piastowscy Śląska"***; *Gorzkowski M.*, ***„Jan Matejko. Epoka lat dalszych do końca życia artysty"***; *Jasienica P.*, ***„Polska Piastów"***; *Osiński J.*, ***„Bolesław Rogatka"***; *pr. zb.*, ***„Piastowie. Leksykon biograficzny"***; *Sroczyńska K. (red.)*, ***„Matejko. Obrazy olejne. Katalog"***; *Urbański M.*, ***„Poczet królów i książąt polskich"***.

eprasa.pl ed8b1c50fb

67 lat
historii filmu

Największa baza dorobku polskiej kultury filmowej

Filmopedia FILM
od 1946 roku

ODWIEDŹ STRONĘ **filmopedia.org**
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl ed8b1c50fb

1920 r. / Oficerowie i ochotnicy

Polscy Żydzi przeciw bolszewii

Marek Gałęzowski

Wśród zmobilizowanych do Wojska Polskiego podczas wojny z bolszewicką Rosją byli także Żydzi. Bronili Rzeczypospolitej również jako ochotnicy

Żydzi! Polska w niebezpieczeństwie. Z północy, wschodu i południa idzie straszliwy wróg. Z dnia na dzień rośnie niebezpieczeństwo, grożące wolności i niepodległości państwa, które zmartwychwstało po 150 latach niewoli i strasznego ucisku [...]. Żydzi! Spełnijcie swój obowiązek obywatelski! Niechże każdy przyniesie niezbędne ofiary zarówno z krwi i życia, jak i z mienia. Niechże nikogo nie zabraknie przy obronie wolności i niepodległości państwa polskiego". Tak wzywały w połowie lipca 1920 r. żydowskie organizacje społeczne – rzemieślnicze, kupieckie, samorządowe, a także syjonistyczne. A wiceprezydent Lwowa Filip Schleicher w chwili, kiedy Armia Czerwona zbliżała się do miasta, deklarował: „Mogę natomiast zaświadczyć, że nastrój powszechny moich współwyznawców streszcza się w haśle: z Polską i dla Polski [...]. Ludność żydowska Lwowa nie chce w tej chwili znaleźć się poza nawiasem powszechnego polskiego wysiłku obrony". Prawdy tego przekonania polscy Żydzi dowiedli w szeregach polskiego wojska.

Walczył do ostatniej chwili...

Służący w artylerii broniącej Zamościa młody kanonier, a w przyszłości zna-

eprasa.pl ed8b1c50fb

Apel poległych zorganizowany przez Związek Żydów Bojowników o Niepodległość, Warszawa, 1933 r. FOT. NAC

komity pisarz Stanisław Rembek zapisywał w swoim dzienniku ostatniego dnia sierpnia 1920 r.: „Po południu wpadła na rampę pancerka [właściwie – pociąg pancerny – przyp. M.G.] Zagończyk, którą wysłano w stronę Lwowa dla nawiązania jakiejś łączności. Bolszewicy ścigali ją gwałtownym ogniem artylerii. Ciężki granat trafił w wieżyczkę, gdzie zniszczył jedno działo, dwa kulomioty, zabił czterech i poranił sześciu ludzi". Wśród tych rannych, jak się okazało śmiertelnie, był por. Walter Munk, dowódca artylerii „Zagończyka".

Wywodzący się z rodziny żydowskich przedsiębiorców z Żywca, o którym niegdyś pisaliśmy na łamach naszego czasopisma, za swoje męstwo odznaczony pośmiertnie Virtuti Militari, był jednym z wielu żydowskich żołnierzy WP poległych w zmaganiach o byt państwa polskiego z zagrażającym mu bolszewizmem. Niedługo później w bitwie pod Koniuszkami w powiecie rohatyńskim, na południowy wschód od Lwowa, stoczonej z tym samym nieprzyjacielem – Armią Konną Budionnego – 24-letni porucznik Moritz Hirschhorn z 18. pp „jako dowódca kompanii walczył do ostatniej chwili, gdy już nieprzyjaciel przemocą wszystko zdobył" i po wystrzelaniu ostatnich pocisków został „szablami rozsiekany".

Pochodził z Rzeszowa, tam uczęszczał do gimnazjum. W czasie pierwszej wojny światowej, jak liczni Polacy i Żydzi z zaboru austriackiego, służył w armii cesarza Franciszka Józefa, biorąc udział w walkach na froncie rosyjskim, a później włoskim. Natychmiast po rozpadzie Austro-Węgier, zapewne już 14 listopada 1918 r., podobnie jak wielu oficerów cesarsko-królewskiego 40. pp wstąpił do powstającego Pułku Piechoty Ziemi Rzeszowskiej. Już niespełna trzy tygodnie później jako podporucznik i dowódca plutonu walczył z Ukraińcami, za co później został odznaczony odznaką „Orlęta". 28 czerwca 1919 r. wykazał się męstwem w boju pod Żurowem: „Podczas drugiej fazy działań zaczepnych w Małopolsce Wsch[odniej] dn. 28 VI 1919 r. I/18 baon otrzymał zadanie sforsowania jedynego przejścia przez rz[ekę] Świrż pomiędzy Żurowem a Teodorówką. Forsowanie niebezpiecznego defile [pol. wąwóz] powierzono 4 komp[anii], a w tej plutonowi por. Hirschorna. O [godzinie] 4 ruszył por. Hirschorn z plutonem do ataku. Nieprzyjaciel podpuszcza go aż do przeszkód drucianych i tu dopiero odkrywa ogień KM na most i groble, które to obiekty osiągnął już pluton por. Hirschorna. Nagły ogień miesza pluton, tym bardziej że pada kilku zabitych i rannych. Nie bacząc na to, por. Hirschorn własnym przykładem porywa ludzi i pomimo dalszych dużych strat most forsuje i resztki plutonu rozwija na przeciwnym brzegu, ułatwiając tem przejście pozostałym plutonom 4 komp[anii] i reszcie baonu. Tu zostaje por. Hirschorn ciężko ranny".

Po wyleczeniu wrócił do pułku, by wiosną następnego roku wyruszyć na front bolszewicki już jako dowódca kompanii. W licznych opiniach podkreślano jego odwagę w walce, którą niezmiennie okazywał aż do chwili śmierci pod Koniuszkami. Był jednym z 10 oficerów pułku, którzy zginęli w wojnie z bolszewikami, ten – jak pisano w opinii służbowej – „dobry dowódca plutonu, sumienny i pracowity, w służbie i poza nią [dający] dobry przykład swoim kolegom i podwładnym. W polu jest osobiście bardzo dzielny i odważny. Wesołego i żywego temperamentu. Posiada wysoko rozwinięte poczucie honoru oficerskiego".

Największa ma zasługa

W czasie najazdu bolszewickiego do WP powszechnie wstępowali ochotniczo studenci, maturzyści i uczniowie ostatnich klas gimnazjalnych, wśród nich także Żydzi. Urodzony w Warszawie, ale uczący się w jednej ze szkół łódzkich 18-letni Ludwik Szerman zgłosił się 6 lipca 1920 r. i po kilkutygodniowym przeszkoleniu w baterii zapasowej 18. pułku artylerii polowej uczestniczył w walkach toczonych z Armią Czerwoną na Wołyniu i Podolu. Jego rówieśnik, Maurycy Bernard Sztarkkopf, absolwent prestiżowego VIII Gimnazjum Filologicznego Męskiego Michała Kreczmara, którego uczniami byli później m.in. Kazimierz Moczarski, Richard Pipes i Leopold Tyrmand, jako żołnierz 1. pp Legionów i 26. pp wziął udział w zwycięskiej ofensywie przeciw bolszewikom. Dziewiętnastoletni Józef Mintz, student Uniwersytetu Warszawskiego, mimo młodego wieku mający już za sobą działalność niepodległościową w POW i udział w rozbrojeniu Niemców w Warszawie, jako sierżant ochotniczego 201. pp bił się we wszystkich bojach pułku z Armią Czerwoną. Starszy od nich o dwa lata student Politechniki Warszawskiej Władysław Hildebrand służył w baonie mostowym saperów, a student medycyny Chaim Inwentarz, weteran obrony Lwowa w listopadzie 1918 r., żołnierz 12. pułku ułanów, został mianowany oficerem i decyzją dowódcy 6. Brygady Jazdy płk. Konstantego Plisowskiego otrzymał prawo noszenia odznaki honorowej za czas pobytu na froncie od 1 stycznia 1920 r. do 10 października 1920 r.

W bitwie pod Borodzianką, w czasie zmagań z bolszewikami na dalekich

eprasa.pl ed8b1c50fb

Pociąg pancerny „Zagończyk". Jego artylerią dowodził por. Walter Munk

FOT. FORUM.ODKRYWCA.PL

ziemiach ukraińskich w czerwcu 1920 r., wybitnym męstwem odznaczył się Józef Heller z 5. pp (w którym służył jeszcze w Legionach). Samotnie wynosił rannych kolegów z pola walki pod bardzo silnym ogniem bolszewików. „Śmiałością swą porwał za sobą swych sanitariuszy, z których kilku zostało rannych w tej bitwie" – pisano we wniosku o odznaczenie Hellera Krzyżem Walecznych. W opinii przełożonych, w tym dowódcy pułku płk. Jana Kruszewskiego, był „jako lekarz nadzwyczaj sumienny i obowiązkowy, oddany służbie całą duszą. Jeden z najbardziej ideowych lekarzy i żołnierzy".

Pod koniec lipca 1919 r., po wkroczeniu oddziałów polskich do Stanisławowa, w szeregach WP znalazł się także Mojżesz Zirler. Mimo że nie ukończył jeszcze studiów medycznych, na front bolszewicki wyruszył jako lekarz batalionowy 80. Nowogródzkiego Pułku Strzelców. Bardzo aktywnie działał w pułkowej służbie zdrowia – sformował ambulatorium baonu, organizował patrole sanitarne w kompaniach, doszkalał personel sanitarny. Było to powodem jego osobistej dumy – jak pisał w swojej relacji z 18 maja 1937 r. dla Wojskowego Biura Historycznego: „Świadomość i przeświadczenie u oficerów i żołnierzy, że w razie zranienia lub zachorowania znajdą zawsze właściwą pieczę i pomoc, nie mogła nie pozostać bez wpływu na zresztą i tak dobry nastrój i ducha bojowego baonu, co właśnie poczytuję sobie za największą mą zasługę".

Przez cały czas walk z Armią Czerwoną Zirler, mianowany w czasie walk podporucznikiem, pozostawał przy swoim batalionie. „Zawsze w pierwszej linii. [...] pełen poczucia obowiązku, pełen odwagi i dbałości o rannych. Energiczny, sumienny, punktualny [...]. Ambulans prowadzi wzorowo. W czasie boju stale przy oddziale czynny. Bardzo energiczny, odważny, pełen poświęcenia" – pisali o nim przełożeni z Nowogródzkiego Pułku Strzelców, jako przykład podając wyniesienie w czasie boju pod Nowosiółkami, pod ostrzałem nieprzyjacielskim, ppor. Tadeusza Kulika. Żołnierze darzyli go zaufaniem i życzliwością, koledzy oficerowie przyjaźnią, przełożeni uznaniem, a sam Zirler wspominał, że jego ambulans „funkcjonował zawsze sprawnie i nigdy nie zostawiłem rannego lub chorego na pastwę nieprzyjaciela. Użyczałem też pomocy lekarskiej rannemu nieprzyjacielowi".

Polscy Żydzi licznie wzięli udział w wojnie z bolszewikami w latach 1919 i 1920, jako zmobilizowani do Wojska Polskiego oraz ochotnicy, a ich postawa stanowi najlepszy argument nieprawdziwości opinii o rzekomym wspieraniu bolszewizmu w tych miesiącach, kiedy ważył się los odzyskanej państwowości Polski. Dowodzi ona także głębokiej niesprawiedliwości pochopnie podjętej decyzji o internowaniu niektórych spośród żołnierzy pochodzenia żydowskiego w utworzonym na początku sierpnia 1920 r. obozie w Jabłonnie, którzy krzywdę swoją ujęli w gorzkich słowach piosenki, śpiewanej na nutę I Brygady: „My, obóz Jabłonna, nadzieja strasznie płonna. Na dwór! Rzucono nas. Jak śmieci wór. Na dwór! Na dwór!".

Tablica upamiętniająca Waltera Munka

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EDUARDSCHNACK

Dalsze losy weteranów

Jakie były dalsze losy tych żydowskich żołnierzy WP? Szerman wrócił do szkoły, zdał egzamin maturalny, a później ukończył medycynę na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Był lekarzem w Wilnie, a później do wybuchu wojny w Suwałkach. W 1933 r. został mianowany podporucznikiem i jako oficer rezerwy odbywał ćwiczenia w 41. pp (suwalskim). Był uważany za bardzo dobrego lekarza, zdyscyplinowanego, sumiennego, gorliwego w wykonywaniu powierzonych mu obowiązków, chociaż mało wyrobionego wojskowo. We wrześniu 1939 r. służył w 29. pułku artylerii lekkiej. „Bardzo dobry kolega, sumienny lekarz, b. zdolny okulista, energiczny ordynator" – tak oceniano go w jednej z opinii. Poległ w walce z Niemcami 8 września 1939 r. w pobliżu Drzewicy (powiat opoczyński) i został pochowany w kwaterze wojennej na miejscowym cmentarzu. Jego rówieśnik, Maurycy Bernard Sztarkkopf, urzędnik, oficer 30. Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich, poległ na Woli, ostatniego dnia obrony Warszawy.

Chaim Inwentarz, już pod imieniem Henryk, wskutek bardzo ciężkich warunków życiowych ukończył studia medyczne na UW dopiero w 1935 r. i rozpoczął praktykę lekarza internisty w Warszawie. W następnym roku jako oficer rezerwy odbył ćwiczenia w 82. pp – jak pisał dowódca pułku ppłk dypl. Stanisław Wiloch, był „b.[ardzo] chętny i staranny w pracy. Nadaje się na lekarza wojskowego"; inni przełożeni dodawali, że „jako lekarz wojskowy teoretycznie [jest] dobrze wyszkolony" i „dbały o pacjentów". Wzięty do niewoli we wrześniu 1939 r. przez Armię Czerwoną został zamordowany przez

eprasa.pl ed8b1c50fb

NKWD wiosną następnego roku w Katyniu. W tym samym czasie z rąk sowieckich zginął w Bykowni również Władysław Hildebrand, absolwent Politechniki Warszawskiej i oficer artylerii WP. Józef Mintz, jak Sztarkkopf, oficer rezerwy 30. Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich cieszący się znakomitą opinią dowódców, został aresztowany przez Niemców i uwięziony na Pawiaku, a następnie 21 września 1940 r. wywieziony do obozu koncentracyjnego Auschwitz; był to ten sam transport, w którym znajdował się Witold Pilecki. Podporucznik Mintz otrzymał numer obozowy 4211, nieco niższy niż znajdujący się także wśród tych więźniów Władysław Bartoszewski – 4427. O dalszych losach Mintza wiadomo jedynie, że po kilku miesiącach zginął w obozie.

Ostatni ze wspomnianych w tej opowieści żołnierzy z czasów wojny bolszewickiej, Mojżesz Zirler, ukończył medycynę na Uniwersytecie Jana Kazimierza, a praktykę prowadził w rodzinnym Stanisławowie. Jako oficer rezerwy był przydzielony do VI baonu sanitarnego we Lwowie, a po ćwiczeniach w 11. Pułku Artylerii Polowej uzyskał ocenę dobrą: „B. solidny, zrównoważony charakter. Wobec przełożonych posłuszny i lojalny, dba o żołnierza, towarzysko obyty i ugrzeczniony. Inteligentny i oczytany oficer […]. Jako lekarz uczynny i humanitarny […]. Fachowo dobrze przygotowany, doświadczony". W czasie wojny nadal mieszkał w Stanisławowie. Kiedy 12 września 1942 r., w święto Rosz Haszana Niemcy rozpoczęli deportację stanisławowskich Żydów do obozu zagłady w Bełżcu, popełnił samobójstwo. Tak zginął porucznik WP Mojżesz Zirler, o którym w czasie wojny z bolszewikami jego przełożeni pisali: „Bardzo dobry jako oficer sanitarny, jako oficer – pełen odwagi".

Spośród bohaterów tej opowieści wojnę przeżył tylko Józef Heller, który po ukończeniu studiów medycznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza jeszcze przed wojną zaczął pracować naukowo w dziedzinie biochemii, specjalizując się w chemii fizjologicznej oraz fizjologii i biochemii owadów. Jako oficer rezerwy WP, przydzielony do Kadry Zapasowej 10. Szpitala Okręgowego w Przemyślu, miał znakomite opinie: „[…] Wybitnie koleżeński i uczynny. W stosunku do przełożonych szczery, oddany i bez zastrzeżeń lojalny. Służbę wojskową traktuje b[ardzo] ideowo. Fizycznie dość sprawny i ruchliwy. Uzdolnienia wojskowe na ogół dobre. Nadaje się na stanowisko naczelnego lekarza pułku". Wiadomo, że został zmobilizowany we wrześniu 1939 r., a w czasie okupacji niemieckiej ukrywał się w Warszawie, gdzie uczestniczył w tajnym nauczaniu, m.in. wraz z prof. Ludwikiem Hirszfeldem wykładał biochemię i chemię fizjologiczną na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, dodatkowo na Wydziale Lekarskim tejże wówczas podziemnej uczelni – fizjologię, a na Wydziale Farmacji – przedmioty chemiczne. Po wojnie był wybitnym przedstawicielem polskiej biochemii. Opublikował liczne prace naukowe, kierował Zakładem Chemii Fizjologicznej Akademii Medycznej w Warszawie, a później został dyrektorem powstałego w 1957 r. Instytutu Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk, którego był współtwórcą.

Mojżesz Zirler FOT. DOMENA PUBLICZNA

Chaim Inwentarz FOT. OGRODYWSPOMNIEŃ.PL

Józef Heller FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

*

Liczni spośród żydowskich żołnierzy Wojska Polskiego jako oficerowie rezerwy uczestniczyli w obronie ojczyzny przed agresją niemiecką we wrześniu 1939 r., wspartej najazdem sowieckim w 17. dniu wojny. Niemal wszyscy spośród nich zginęli wraz ze swoimi rodzinami w dokonanej przez Niemców zagładzie Żydów. Niektórzy padli ofiarą totalitaryzmu sowieckiego – w Katyniu, Charkowie i w Bykowni.

Wszyscy ci polscy oficerowie pochodzenia żydowskiego współtworzyli elitę inteligencką niepodległej Rzeczypospolitej. Dlatego ich utrata jest tym samym częścią całości strat, które ta elita poniosła wskutek planowej polityki dwóch totalitaryzmów. Wspólne ich biografiom było jeszcze i to, że wszyscy jako młodzi ludzie nie wahali się bronić niepodległości odrodzonej Polski przed agresją bolszewizmu, kiedy – jak pisano w innej odezwie społeczności żydowskiej z tego czasu – groza zawisła nad ziemią, „której nikt z nas kochać nie przestanie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl ed8b1c50fb

Włodzimierz Lenin na muralu Diego Rivery

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, JAONTIVEROS

Lata 20. XX w. / NEP – bolszewicki „kapitalizm”

„Nepmani” na ratunek ZSRS

Mikołaj Iwanow

Niedługo po rewolucji bolszewicy postanowili tymczasowo przeprosić się z kapitalizmem, by ratować rozpadające się państwo. Pół wieku później Chińczycy przestawili swoją gospodarkę na nowe tory, wzorując się właśnie na NEP

Komuniści wierzyli, że wystarczy zniszczyć podstawy funkcjonowania państwa burżuazyjnego i od razu zapanuje powszechna sprawiedliwość i dobrobyt. Dziś trudno w to uwierzyć, ale w pierwszych miesiącach sprawowania władzy bolszewicy zakazali posługiwania się pieniądzem („głównym narzędziem eksploatacji pracujących”), zlikwidowali banki, wprowadzili powszechny obowiązek pracy, zmuszając najzamożniejsze rodziny, tzw. burżujów, do pracy fizycznej na rzecz społeczeństwa. W Moskwie, Piotrogrodzie i innych miastach imperium codziennym widokiem były tłumy arystokratów i innych ludzi, zajmujących w poprzednim ustroju wyższe szczeble na drabinie społecznej, sprzątających ulice i wykonujących inne prace społeczne.

Przywódcy bolszewików początkowo traktowali podstawowe założenia marksizmu jako swoistą „biblię komunizmu”. Marks stał na stanowisku, że zwycięstwo rewolucji komunistycznej początkowo możliwe będzie jedynie w krajach z rozwiniętą gospodarką i z liczną klasą robotniczą. Rosja natomiast była krajem stosunkowo zacofanym, w przeważającej części rolniczym, gdzie robotnicy przemysłowi stanowili jedynie mały odsetek społeczeństwa (maksymalnie 10 proc.). Dlatego od rewolucji październikowej 1917 r. Lenin i jego poplecznicy czekali na podobne przewroty w państwach zachodnich. Uważano, że pożoga pierwszej wojny światowej doprowadzi do wybuchu

eprasa.pl ed8b1c50fb

rewolucji w Niemczech, we Francji, w Wielkiej Brytanii, a być może nawet w Stanach Zjednoczonych.

Rzeczywiście, punktowo doszło do takich wybuchów: proklamowano Węgierską Republikę Rad, kilka powstań komunistycznych zanotowano w Niemczech, pod wpływem propagandy komunistycznej zbuntowała się część armii francuskiej, ale te wszystkie próby wywołania rewolucji światowej były jednak nadzwyczaj skromne w porównaniu z oczekiwaniami Kremla. Co gorsza, na niczym spełzły próby założenia Polskiej Republiki Rad. Proklamowana w Białymstoku latem 1920 r. przez polskich komunistów, na czele z Dzierżyńskim, Czerwona Polska padła po niecałych dwóch tygodniach. Naród polski nie przyjął ideologii komunistycznej. Dodajmy, że na początku sierpnia 1920 r., gdy wydawało się, że zahartowane w ogniu wojny domowej armie Tuchaczewskiego zmiażdżą wojsko dopiero co odrodzonej Rzeczypospolitej, bolszewiccy ideolodzy rozpoczęli snucie swojej wielkiej opowieści. Według niej Armia Czerwona u bram Warszawy wcale nie walczy z narodem polskim, lecz wykonuje swą dziejową misję – niesie rewolucję komunistyczną do Berlina, Wiednia i Paryża.

Oddziały rabunkowe

Próba przejścia na Zachód przez Polskę okazała się poważnym błędem bolszewików, który na pewno nie pomógł w okrzepnięciu nowego systemu. Jednak jeszcze większą pomyłką ze strony Lenina, która o mało nie zgubiła bolszewickiej władzy, było wprowadzenie polityki „komunizmu wojennego". Naiwnie wierzono, że rewolucja wyzwoli wśród mas „eksploatowanego i pogardzanego chłopstwa i klasy robotniczej" poczucie solidarności klasowej i w związku z tym ludzie ci chętnie będą uczestniczyć w komunistycznych eksperymentach. Dlatego zamiast bazować na zasadach rynkowych, wprowadzono bezpośrednią przymusową wymianę towarową między miastem i wsią. Robiono to w sposób brutalny za pomocą tzw. oddziałów aprowizacyjnych, składających się z marynarzy z Kronsztadu, czerwonoarmistów i tzw. świadomych robotników. W rzeczywistości oddziały te, składające się w większości ze zwykłych kryminalistów i różnego rodzaju awanturników, zajmowały się zwykłym rabowaniem chłopów. Skonfiskowane produkty nie trafiały do miast, lecz były zwyczajnie rozkradane. Na wsi zapanował „czerwony terror", który wywołał niemal powszechną chłopską rewoltę. Tuż po zakończeniu wojny z Polską kraj był dosłownie rozrywany przez antykomunistyczne powstania. Najbardziej bolesna dla bolszewików była rebelia marynarzy Floty Bałtyckiej w Kronsztadzie. Znaczne obszary kraju ogarnął głód. Ta tragedia najmocniej uderzyła w jeden z najbardziej zasobnych rolniczo regionów – Powołże.

Przyczyną tej dramatycznej sytuacji były wspomniane ekonomiczne eksperymenty bolszewików, a także „czerwony terror", który wymykał się bolszewikom spod kontroli. Hucznie ogłoszona likwidacja burżuazji jako klasy społecznej doprowadziła do całkowitego załamania gospodarczego. Produkcja przemysłowa w Rosji w 1920 r. zmniejszyła się siedmiokrotnie, a powierzchnia zasiewów była o 33 proc. mniejsza niż przed wojną. Polityka „komunizmu wojennego" całkowicie zatrzymała obieg towarów i pieniędzy w kraju, a także zniszczyła prywatną przedsiębiorczość. Pozwoliła bolszewikom utrzymać władzę, ale doprowadziła gospodarkę do bezprecedensowo głębokiego kryzysu. Sytuacja była na tyle dramatyczna, że Lenin zdecydował o zahamowaniu eksperymentów komunistycznych i o zmianie w kierunku bardziej liberalnej polityki państwowej. Przeszła ona do historii pod nazwą Nowa Ekonomiczna Polityka – NEP.

W marcu 1921 r. partia komunistyczna na swym X Zjeździe w Moskwie podjęła decyzję o rezygnacji z „komunizmu wojennego". NEP w bardzo krótkim czasie sprawiła, że w wielu sektorach gospodarki nastąpiło faktyczne ożywienie produkcji i handlu. W ten sposób rozpoczął się proces szybkiego odradzania się klasy przedsiębiorców. Zgodnie z przyjętą wówczas terminologią ten rodzaj burżuazji zaczęto nazywać „nepmanami". W prasie ludzi tych nazywano niekiedy jeszcze innym terminem: „sowburczykami", czyli sowiecką burżuazją.

„Grabarz" kapitalizmu

Najważniejszymi częściami składowymi tej polityki były odejście od całkowitej nacjonalizacji przemysłu i pozwolenie na działalność prywatnych przedsiębiorców. Zaprzestano również kolektywizacji rolnictwa i konfiskat produktów rolnych u chłopów. Odtąd mogli oni sprzedawać swój towar na wolnym rynku, płacąc jedynie podatek rolny. Kreml w ramach tej polityki poluzował nieco również swoją politykę ideologiczną – pozwolono na drukowanie książek i innych materiałów publicystycznych, które nie w pełni odzwierciedlały linię partii komunistycznej.

eprasa.pl ed8b1c50fb

Rubel i połtinnik z 1924 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Lenin nazwał NEP „odwrotem od planów natychmiastowej budowy gospodarki na zasadach socjalistycznych". Wprowadzenie tej polityki oznaczało de facto przyznanie się komunistów, że nie radzą sobie bez burżuazji i nie są w stanie odbudować przemysłu i rolnictwa własnymi siłami.

Fenomen nowej polityki gospodarczej polegał również na tym, że wrogi socjalizmowi prywatny system oparty na kapitalistycznych zasadach miał pomóc w stworzeniu nowej formacji społeczno-ekonomicznej i odgrywać przy tym rolę „grabarza" kapitalizmu. Paradoksalnie więc im większe sukcesy odnosili prywatni przedsiębiorcy w kwestii odbudowy gospodarki, tym szybciej przybliżali swój koniec. Plan bolszewików można nazwać podstępnym, ale przecież nie robili z niego tajemnicy. Lenin powiedział wprost, że ten odwrót jest tymczasowy. Następnie Kreml miał odciąć cały „tłuszcz", który zgromadzili kapitaliści, i „nakarmić" nim sektor socjalistyczny, by rozpocząć nowy – antykapitalistyczny – etap rozwoju gospodarczego.

W związku z przejściem do NEP nastąpiły poważne zmiany w statusie prawnym prywatnych przedsiębiorców, którzy wcześniej nie mieli żadnych praw. Już w lipcu 1921 r. wprowadzono procedurę zezwoleń na otwieranie prywatnych placówek handlowych. Przeprowadzono denacjonalizację małych przedsiębiorstw i zakładów rzemieślniczych. Stopniowo znoszono państwowe monopole na różnego rodzaju produkty i towary. Wprowadzono uproszczoną procedurę rejestracji małych przedsiębiorstw przemysłowych, a także zrewidowano dopuszczalną liczbę pracowników najemnych: pozwolono, by w jednym przedsiębiorstwie zatrudnionych było do 20 pracowników.

Wraz z uruchomieniem NEP wprowadzono pewne gwarancje prawne dla własności prywatnej. 22 maja 1922 r. Wszechrosyjski Centralny Komitet Wykonawczy (WCKW) wydał dekret „O podstawowych prawach własności prywatnej, uznanych przez państwo, chronionych przez jej ustawy i chronionych przez sądy". Następnie dekretem WCKW od 1 stycznia 1923 r. wprowadzono w życie nowy Kodeks cywilny, który w szczególności gwarantował, że każdy obywatel państwa ma prawo do zakładania przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych.

„Burżuazja wiejska"

Proces odradzania się tzw. burżuazji wiejskiej został ułatwiony dzięki przywróceniu wolnego handlu zbożem. Gwałtowny wzrost liczby „kułaków" bardzo niepokoił przywódców bolszewickich, zwłaszcza Stalina, który po śmierci Lenina (21 stycznia 1924 r.) powoli koncentrował w swych rękach coraz większą władzę w partii. Dlatego pozwalając (bardzo niechętnie) na odrodzenie się stosunków towarowo-pieniężnych na wsi, władze stale starały się ograniczać prawa odradzającej się burżuazji. Przykładowo: wykorzystywanie pracy najemnej przez „kułaków" było dozwolone jedynie pod warunkiem, że wszyscy zdrowi członkowie gospodarstwa uczestniczą w jego pracy na równi z pracownikami najemnymi.

Gwoli ścisłości odnotujmy, że te nowe normy prawne na wsi prawdopodobnie łatwo było obejść. I dlatego państwo opodatkowało zamożnych chłopów wyższymi stawkami. Co więcej, był to podatek progresywny, czyli więcej produkujesz, więcej płacisz. Z czasem podatek tak wzrósł, że „kułakom" nie opłacało się już zwiększać produkcji. W ten sposób

Bazar w Moskwie

FOT. ARKADY SHAYKHET/MAMM/MDF/RUSSIAINPHOTO.RU

eprasa.pl ed8b1c50fb

Nikołaj Bucharin, ideolog NEP
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, RODINA-HISTORY.RU

władze zapobiegały umacnianiu się „burżuazji wiejskiej", ale jednocześnie hamowały wzrost produkcji rolnej.

Walka między nową burżuazją a partią komunistyczną była nierówna. Oczywisty był szybki koniec „nepmanów". W tej trudnej dla nich sytuacji nowi przedsiębiorcy robili jednak, co mogli, aby chronić swe prawa. „Nepmani" zaczęli tworzyć własne organizacje. Były to m.in.: Komitety Rynkowe, Towarzystwa Wzajemnych Kredytów, oddziały Przemysłu Prywatnego i Handlu przy giełdach towarowych oraz inne stowarzyszenia korporacyjne. Organizacje samopomocowe nowej burżuazji doprowadziły do wprowadzenia swoich przedstawicieli do oddziałów giełd towarowych, komisji podatkowych, przeróżnych komisji rad miejskich, a także podniosły kwestię reprezentowania przedsiębiorców na posiedzeniach lokalnych organów Ludowego Komisariatu Handlu Wewnętrznego.

Pomimo oczywistych ograniczeń „nepmani" w połowie lat 20. starali się wysuwać popieranych przez siebie kandydatów w wyborach do rad lokalnych, ponieważ sami byli pozbawieni praw wyborczych. W razie wyboru tacy kandydaci starali się chronić interesy kapitału prywatnego.

Ten korporacyjny duch jest stale widoczny w działalności gospodarczej ówczesnych przedsiębiorców; starali się oni w ten sposób przetrwać w warunkach bezprawia i wrogiego nastawienia ze strony organów państwowych i partyjnych. „Nepmani" pomagali sobie nawzajem w trudnych sytuacjach, np. udzielali bezprocentowych pożyczek, a w relacjach z instytucjami państwowymi niemal zawsze działali jako jednolity front. Znane są liczne przypadki, gdy organy państwowe były zmuszane do ustępstw, np. obniżania czynszu za wynajmowanie lokali.

Były to jednak sukcesy sporadyczne. Z oczywistych względów prawa „nepmanów" były bowiem bardzo ograniczone. Zgodnie z obowiązującymi w poszczególnych republikach ZSRS przepisami, zostali oni pozbawieni praw wyborczych, nie mieli możliwości legalnego wydawania gazet ani rozpowszechniania swoich poglądów w żaden inny sposób. Oczywiście nie mogli być członkami związków zawodowych ani zajmować stanowisk w aparacie państwowym.

Inspiracja Denga

Wprowadzenie NEP było koniecznością. Kraj potrzebował pieniędzy na utrzymanie armii, na odbudowę przemysłu. Ponadto bolszewicy przeznaczali znaczne środki na wspieranie światowego ruchu rewolucyjnego. W kraju, w którym 80 proc. ludności stanowili chłopi, główny ciężar obciążeń podatkowych spoczywał właśnie na ich barkach. Chłopstwo nie było jednak wystarczająco majętne, aby zapewnić odpowiednio wysokie wpływy z podatków. Nie pomogło również zwiększenie danin nakładanych na szczególnie zamożnych chłopów, dlatego od połowy lat 20. zaczęto stosować inne, pozapodatkowe metody uzupełniania skarbu państwa, takie jak pożyczki przymusowe i zaniżanie cen zboża oraz zawyżanie cen towarów przemysłowych.

W odpowiedzi chłopi przestali sprzedawać zboże w ilościach przekraczających ich należności podatkowe. Skutek był oczywisty. Kraj ogarnął w połowie lat 20. kryzys zaopatrzenia w żywność, co też niewątpliwie wpłynęło na odejście od NEP. Dalszy postęp w kierunku rynkowym był jednak hamowany głównie przez czynniki polityczne i ideologiczne – w 1926 r. rozpoczął się powolny odwrót państwa proletariackiego od tej względnie liberalnej polityki. Naczelny ideolog NEP Nikołaj Bucharin, który w 1922 r. przykazywał chłopom: „Bogaćcie się, gromadźcie, rozwijajcie gospodarkę!", został zmuszony do kajania się i wycofania się ze swoich słów.

Kobiety tańczące tango w czasach NEP FOT. DOMENA PUBLICZNA

Do likwidacji klasy „nepmanów" wykorzystano środki prawne. Prywatni przedsiębiorcy byli wręcz duszeni zaporowymi podatkami i zmuszani do zaprzestania działalności. W grudniu 1927 r., po raz pierwszy od zakończenia „komunizmu wojennego", zastosowano wobec chłopów przymusową konfiskatę zapasów zboża. W październiku następnego roku rozpoczęto z kolei realizację pierwszego pięcioletniego planu rozwoju gospodarki narodowej, a władze centralne obrały kurs na przyspieszoną industrializację i kolektywizację. Oficjalnie NEP został zakończony dopiero 11 października 1931 r., gdy wydano dekret o całkowitym zakazie handlu prywatnego. Koniec NEP wyznacza początek ery stalinowskiej, która była też czasem chronicznych niedoborów. I właściwie był to już stały element życia w Związku Sowieckim aż do jego rozpadu w 1991 r.

Historia NEP nie napawa optymizmem. Polityka ta okazała się jednym wielkim oszustwem partii komunistycznej względem własnego narodu. W całej tej sprawie jest jednak pewien bardzo ciekawy szczegół. W styczniu 1926 r. do ZSRS przyjechał na rok Deng Xiaoping, który zapoznał się z pracami Bucharina i na własne oczy przekonał się o sukcesach gospodarki mieszanej. Przyszły chiński przywódca ponad pół wieku później został gorącym zwolennikiem chińskiej odmiany NEP. W latach 80. XX w. pod wpływem prac Bucharina Deng postanowił wprowadzić Chiny na ścieżkę reform gospodarczych, łączących indywidualną przedsiębiorczość z regulacjami państwowymi, co doprowadziło do chińskiego cudu gospodarczego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Jan Matejko, „Wpływ uniwersytetu na kraj"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI

Wywiad / Z Karolem Ossowskim, historykiem i pisarzem, autorem książki „Jak przetrwać na Uniwersytecie Krakowskim"

rozmawia Łukasz Czarnecki

Średniowieczni żacy z nożami

– Zakaz noszenia w mieście broni był standardem; studenci obchodzili go na różne, mniej lub bardziej kreatywne sposoby. Anegdota o „nożach do ostrzenia piór" jest piękna i... bardzo studencka – mówi historyk

eprasa.pl ed8b1c50fb

ŁUKASZ CZARNECKI: Jak doszło do tego, że w średniowiecznych miastach pojawił się zupełnie nowy rodzaj terminatora, czyli… student?

KAROL OSSOWSKI: Zaczęło się od renesansu… ale tego XII-wiecznego. Do Europy wracają Euklides i Arystoteles (często w arabskich przekładach), a równolegle na Zachodzie rozkwitają szkoły katedralne i klasztorne. Gdy na horyzoncie pojawiają się miasta – z ich głodem urzędników, prawników i lekarzy – powstaje coś nowego: korporacja uczonych i uczących się. W dokumentach nazwie się to „studium generale", w języku potocznym: miejsce, gdzie zjeżdżają się młodzi z całej Europy, żeby „pójść w światło wiedzy".

Fundament organizacyjny? Zaskakująco „cechowy". Profesor to magister-majster, student to terminator, a bakałarz to odpowiednik czeladnika. Droga jest jasna: lectio (czytanie autorytetów i glosy), disputatio (spór publiczny), repetitiones (powtórka na koniec), aż wreszcie inceptio – pierwszy uroczysty wykład już jako mistrz. A całość spina europejski paszport wykształcenia: „ius ubique docendi" – tytuł nadany w jednym studium miał być uznawany „wszędzie".

I tak rozrzucone szkoły zaczynają tworzyć sieć: Bolonia z prawem, Paryż z teologią i filozofią, Salerno z medycyną – a w ich cieniu wędrowni nauczyciele, którzy wcale nie zawsze wywodzili się z klasztorów. Abelard pisał bez cienia romantyzmu: „Zamiast z pracy rąk żyłem z pracy słowa". Właśnie z tej „pracy słowa" wyrosły wszechnice.

Z biegiem czasu wykształciły się trzy osobne modele organizacji uniwersytetów – boloński, neapolitański i paryski. Czym się charakteryzowały i który z nich stanowi podstawę funkcjonowania współczesnych szkół wyższych?

Bolonia to uniwersytet „od dołu": studenci łączą się w potężną korporację, płacą profesorom, a nawet ustalają wakacje. Ich rektor (też student) ma władzę realną: pilnuje honorariów i planów zajęć, może zwijać niewydolne kursy, a do miasta chodzi uzbrojony w towarzystwie pedlów.

Paryż jest bardziej „od góry": rządzą mistrzowie i dziekani, a rektora wybierają reprezentanci nacji – ziomkostw (Anglicy, Gallowie, Teutoni itd.). Nacje dbają o swoich, ale też się podszczypują; średniowieczny kronikarz notuje

Jan Matejko, „Założenie Szkoły Głównej przeniesieniem do Krakowa ugruntowane. R.P. 1361–1399–1400"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZUEM NARODOWE W KRAKOWIE

złośliwości: „Anglików zwano pijakami, Francuzów pyszałkami, Niemców wściekłymi…" – i nietrudno zgadnąć, że słowne potyczki czasem przechodziły w ręczne.

Neapol to projekt państwowy Fryderyka II: akademia dla urzędników, surowa dyscyplina, mało swobody. Ten model nie zrobił kariery, choć idea „uczelni publicznej" wyprzedzała epokę.

Dzisiejsze uniwersytety najwięcej dziedziczą po Paryżu: czterowydziałowa struktura, decydująca rola profesury, w tle patronat Kościoła. Ale echo Bolonii wciąż słychać w samorządności i wrażliwości na „głos studentów", a Neapol wraca, gdy mówimy o finansowaniu publicznym.

W roku 1364 król Kazimierz Wielki funduje Akademię Krakowską, czyli dzisiejszy Uniwersytety Jagielloński. Co było najważniejszym powodem tej decyzji?

Powody były i praktyczne i prestiżowe. Król potrzebował prawników (teoria Korony Królestwa nie wdrażała się sama), lekarzy i nauczycieli dla rosnącej sieci szkół, a przy okazji chciał pokazać Europie, że Kraków to nie tylko zamek i sól, lecz także „nauk przemożnych perła".

Wykład filozofii. Grafika francuska z XIV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CASTRES, BIBLIOTHÈQUE MUNICIPALE

Papież Urban V (1363/1364) udziela zgody na „studium generale" – ale bez teologii; i to ważne, bo w pierwszym wcieleniu Kraków bliższy jest wzorom włoskich szkół prawa niż paryskiej teologii. Kazimierz zabezpiecza dochody uczelni na żupach w Wieliczce i Bochni, a Rada Miejska wydaje własny, unikatowy w skali Europy przywilej: studenci mają miejski parasol prawny, mogą swobodnie zwozić żywność i opał, korzystają z sądownictwa rektorskiego.

Ale… to był delikatny organizm. Zajęcia odbywały się m.in. na Wawelu i w rozproszonych budynkach; planowane zabudowania na Kazimierzu topiły się w mule Wisły. Po śmierci króla (1370) – bez głównego donatora – uczelnia gaśnie. Zostają ślady: kilka imion bakałarzy i nawet edykt królewski o nocnych włóczęgach, których „po przenocowaniu należy odstawić przed sąd rektora". Czyli: żacy byli, i to wystarczająco, żywiołowi, żeby powstawały przepisy.

W roku 1400 uczelnia została odnowiona dzięki zapisowi z testamentu królowej Jadwigi. Jakie zaszły na niej zmiany?

Zmieniło się prawie wszystko: fundament, adres i program. Dzięki Jadwidze i Piotrowi Wyszowi powstaje wydział teologii (bulla z 1397 r.), a sercem staje się Wielka Kamienica u zbiegu dzisiejszych ulic św. Anny i Jagiellońskiej – przyszłe Collegium Maius. 22 lipca 1400 r. król przekazuje budynek profesorom, a 26 lipca mamy pierwszy wykład z prawa kanonicznego.

Odnowiony uniwersytet to już model parysko-praski: jeden rektor dla wszystkich, cztery wydziały, konwokacje (gdzie głos mają nie tylko profesorowie, lecz także bakałarze), dziekani z asystentami i twarda buchalteria (trzech kluczniczych do jednej szkatuły!). W ciągu 15 miesięcy zapisuje się ponad 200 żaków – wielu z nich zamieszka w bursach wokół Maius, między ulicami Żydowską/św. Anny, Gołębią, Jagiellońską i Wiślną. Ten kwartał, z drewnianą zabudową i żydowskimi instytucjami, zaczyna się przeobrażać w dzielnicę uniwersytecką.

Przejdźmy do głównego tematu naszej rozmowy, czyli do życia studenckiego w wiekach średnich. Jak wyglądał system nauczania na średniowiecznym uniwersytecie?

eprasa.pl ed8b1c50fb

Zaczynało się od sztuk wyzwolonych. Trivium – gramatyka, retoryka, dialektyka – uczyło, jak mówić i myśleć, quadrivium – arytmetyka, geometria, muzyka, astronomia – jak mierzyć i porządkować świat. Po artium otwierały się drzwi na prawo, medycynę, teologię.

Stopnie? Bakałarz po kilku latach (czasem po zrobieniu bennium, czyli dwuletniego obowiązkowego nauczania niższych kursów), magister/doktor po inceptio, czyli własnym wykładzie inauguracyjnym.

Najważniejsze narzędzie? Łacina – i to nie tylko „na egzaminie". W Krakowie obowiązywał „reżim łaciński": 12 godzin na dobę mówienia po łacinie (latem w godz. 10–22, zimą 12–24). Za przyłapanie na innym języku groził denar (ubogich to bolało), a najmłodsi mogli zamienić karę pieniężną na… rózgę. Dyscyplina miała też wymiar stroju: mycka na głowie, tunika (najlepiej czarna), pas; w rzeczywistości wielu nosiło tańsze mieszczańskie odzienie, a koledzy potrafili chodzić „na zmiany" w jednej tunice.

W Krakowie dochodzi do tego koloryt lokalny: lektoria w Maius i Iuridicum, wspólne posiłki w Stuba Communis (w wykuszu od ul. Jagiellońskiej siedzi lektor i czyta przy obiedzie), a w tle pedle sprawdzający frekwencję i „czy okna całe".

KAROL OSSOWSKI „JAK PRZETRWAĆ NA UNIWERSYTECIE KRAKOWSKIM"
WYDAWNICTWO ASTRA

Oczywiście nie samą nauką człowiek żyje. Jak to wyglądało w wiekach średnich? Czy ówcześni studenci również lubili hucznie się zabawić?

Tak. Regulaminy bywały surowe, ale karczma była równie ważną areną retoryki jak aula. Ulubiona karczma żaków przy ul. Wiślnej (naprzeciw Bursy Ubogich) należała do Jana Medyka. W aktach rektorskich pojawia się on regularnie, zwykle jako poszkodowany i wierzyciel. Beany (otrzęsiny) potrafiły zjadać miesięczny budżet nowicjusza, więc w 1511 r. rektor zakazał organizowania ich w szynkach: „Lepiej niech te koszta na książki obrócą".

A jak wyglądał „klasyk" nocy studenckiej? W zeznaniu Krzysztofa Gierata (XVII w.) czytamy: „Podpiłem sobie… cisnąłem cegłą we drzwi i do okna, ale mię niewiasta fetorami podlała…". Brzmi znajomo? Różnica jest taka, że w średniowieczu za taki „performance" można było dostać nie tylko mandat, lecz także ekskomunikę.

Nie dramatyzujmy jednak: większość zabaw kończyła się śpiewem, nie nożem. A gdy „działy się rzeczy", istniały bezpieczniki: jurysdykcja rektorska, pedle porządkowi, a nawet teatralne pokuty – od stania pod aulą do finansowania świec „dla lepszego światła nauk".

Wydaje się, że studenckie harce niekiedy wyrywały się spod kontroli. W 1209 r. w Oksfordzie mieszczanie zlinczowali dwóch żaków oskarżonych o morderstwo, 20 lat później w Paryżu dochodzi do ulicznych walk między studentami a służbami porządkowymi, a o wychowankach Akademii Krakowskiej z czasów nieco późniejszych wieku pewien historyk pisał, że miast uczyć, oddawali się „rabusiostwu, bójkom krwawym, napadom rozbójniczym po okolicy, dzikości i barbarzyństwu". Czy tego typu ekscesy w średniowiecznym mieście uniwersyteckim stanowiły normę?

Normą były bliskość, tarcie i młodzieńcza buta. Zdarzało się, że rozbawiona grupa „pohukiwała" pod oknami. W Norymberdze żacy zatarasowali głazem drzwi kościelnego, w Krakowie najczęściej kończyło się na śnieżkach, kamieniach i „słowach nieprzystojnych".

W kwartale między ulicami św. Anny i Gołębią mieszkali obok siebie młodzi przyjezdni i miejscowi rzemieślnicy. Aby uniknąć eskalacji, w całej Europie ukonstytuowała się „quasi-klerykalna" pozycja studenta (łagodniejszy wymiar kary), a w Krakowie – sprawny sąd rektorski. Pedle (służba porządkowa) rankiem meldowali rektorowi, w soboty raportowali dziekanom; sąd rektorski nakładał kary – od groszy, przez publiczne przeprosiny, aż do czasowego wykluczenia. Bywały też sprawy ciężkie (kradzieże, rany kłute), ale pamiętajmy – takie występki były rzadkością.

Do końca XVI stulecia krakowskim studentom nie wolno było posiadać broni, który to zakaz obchodzili, nosząc u pasa wyjątkowo długie noże, służące, wedle ich deklaracji, do ostrzenia piór. Jakie były najgłośniejsze awantury wywołane przez żaków w stolicy Jagiellonów? Czy często owe „narzędzia pisarskie" szły w ruch?

Zakaz noszenia w mieście broni był standardem; studenci obchodzili go na różne, mniej lub bardziej kreatywne sposoby. Anegdota o „nożach do ostrzenia piór" jest piękna i… bardzo studencka. W krakowskich księgach częściej niż stal pojawiają się mandaty i zeznania pedli. Mamy sprawy o kradzież książki, o oblewanie błotem profesorskich drzwi,

Collegium Maius
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZYGMUNT PUT

eprasa.pl ed8b1c50fb

Jan Matejko, „Wyjście żaków z Krakowa"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

o „obelgi nieprzystojne" wobec kolegów z innej bursy. Gdy robi się naprawdę groźnie, pojawiają się ekskomunika i obowiązek przeprosin.

Najgłośniejsza była bodaj sprawa Czarnkowskiego z 1549 r. i wyjście żaków z Krakowa. W skrócie – po pobiciu i śmierci studenta Jerzego z Pienian tłum żaków oskarżył o spowodowanie tej zbrodni kanonika Czarnkowskiego. Król skierował sprawę do sądu biskupiego, straż miejska zatrzymała jednego studenta (co naruszało autonomię uczelni) i wtedy padło hasło: „Wychodzimy!". Tłumy ruszyły, część zawróciła na Prądniku (bieda nie lubi tułaczki), ale cała historia odcisnęła się na reputacji uczelni – i na obrazie Matejki.

W powszechnym wyobrażeniu student to także człowiek klepiący biedę. Czy istniały wówczas jakieś programy stypendialne, a może studenci, tak jak dziś, podejmowali prace dorywcze?

Kwatera, opał, jedzenie, książki – to „bolało" najbardziej. Utrzymanie? Fundacje (królewskie, biskupie, mieszczańskie), posługi w kościołach (śpiew), kopiowanie ksiąg, korepetycje. W mieście działała grupa żaków żebraków (uczniowie szkół parafialnych) z prawem do kwestowania dwa razy dziennie. Granic parafii pilnowano… na kije – znamy dwugodzinną bitwę na Rynku między szkołami św. Anny i Wszystkich Świętych.

Był też swoisty „freelance": objeżdżanie wsi z Ewangelią w dłoni, czytanie chorym „za jajka, masło i kiełbasę". A w święta – kolędowanie. Tak się to rozwinęło, że rajcy wydali wilkierz: „nie dawać pieniędzy ani rzeczy" domokrążcom w Boże Narodzenie.

A gdy już brakowało na życie, rodziła się szara strefa: drobne kradzieże w bursach. Zamki były marne, a złodziei w mieście była cała masa. Bywało, że skradzioną szubkę sprzedawano u Żyda za rogiem. Uczelnia wprowadziła brutalny solidaryzm: gdy nie wykryto sprawcy, wszyscy współlokatorzy (także ofiara) składali się na zwrot wartości.

Innym problemem współczesnej młodzieży akademickiej, zwłaszcza tej pochodzącej z mniejszych miejscowości, jest znalezienie sobie zakwaterowania na czas studiów. W XXI w. właściciele mieszkań na wynajem bezwstydnie żerują na studentach, odnajmując klitki za stanowczo zbyt wysokie sumy. Średniowieczni żacy musieli mierzyć się z podobnymi kłopotami?

Kraków zrobił coś wyjątkowego: rada miejska już w XIV w. przyznała studentom pierwszeństwo w najmie i ułatwiła ściąganie prowiantu i opału. To podbijało podaż kwater wokół ulic: Żydowskiej/św. Anny, Gołębiej, Jagiellońskiej i Wiślnej. Standard bywał różny: od izby „u zacnej wdowy" do wspólnych sal bursy ze ściśle reglamentowanym opałem.

Od samego początku wokół uczelni wyrasta gęsta sieć burs: Pauperum (Ubogich) przy ul. Wiślnej/Gołębiej, Jeruzalem, Divitum (Bogatych), później Nowodworskie (przygotowujące do studiów). Zasady bywały surowe: posłuszeństwo, cisza, zakaz przyprowadzania kobiet, obowiązkowe śpiewy raz w tygodniu, spowiedź raz w miesiącu, modlitwy w św. Annie. Nocne wyjścia – zabronione (w teorii).

Sam kwartał uczelniany był szczególny: dawniej getto żydowskie z drewnianą zabudową, łaźnią, szkołą i szpitalem; pod spodem szły strumienie i „grząski nasyp" (zrównano go dopiero w XVI w.). Uniwersytet z czasem wchłonął kolejne domy: tak powstały Maius z biblioteką (Libraria przez Aurea Porta), Iuridicum z kaplicą Marii Magdaleny, Minus – a w sąsiedztwie bursy i kuchnie. To był prawdziwy kampus, zanim w ogóle wymyślono to słowo.

W Polsce nauka na studiach dziennych na państwowych uczelniach jest bezpłatna w przeciwieństwie do wielu innych krajów, np. USA, gdzie młodzi ludzie biorą ogromne kredyty, by opłacić swoją edukację. Pamiętam, jak w 2017 r. wielkie oczy zrobiła studentka Pekińskiego Uniwersytetu Języków Obcych, na którym spędzałem wakacje, gdy przy obiedzie poinformowałem ją, że w moim kraju ukończyłem studia za darmo. A jak to wyglądało na dawnej Akademii Krakowskiej?

Czesnego w nowożytnym sensie nie było. Profesorów utrzymywały fundacje i beneficja, a uczelnia miała własne dochody (u nas – żupy solne). Płacono natomiast rozmaite opłaty jednorazowe: wpis, promocję, egzamin; bito też monety „ceremonialne" (świece, ucztę po inceptio).

Zjawisko płatności „w naturze" nie jest zupełną bajką, ale twardych dowodów na to, że płacono np. gęsiami, mamy w źródłach mniej, niż by chciały anegdoty. Bardziej realne są dopiski: „dał dwa floreny i beczułkę piwa na repetitio". Podsumowując: nauka formalnie była bezpłatna, ale nie darmowa – rachunek i tak płacili miasto, król, Kościół i… biedna kieszeń żaka.

Gdyby współczesnego studenta wsadzić do wehikułu czasu, wysłać w przeszłość i zapisać na XV-wieczną Akademię Krakowską, to czy udałoby się mu tam zaaklimatyzować?

Zależy, co lubimy. Jeśli kręci nas dyscyplina dnia (dzwon, lectio, disputatio), łacina od świtu, wspólna ława w bursie i pedel zaglądający do sal – to XV w. to strzał w dziesiątkę. Jeśli jednak wolimy centralne ogrzewanie, PDF-y i nocną bibliotekę – to lepiej chyba studiować w naszych czasach.

Czy dzisiejszy student dałby radę uczyć się na średniowiecznym uniwersytecie? Tak, po kursie przetrwania. Trzeba by się szybko zaprzyjaźnić z dziekanatem (wtedy dosłownie – dziekan i dwaj asystenci trzymali ręce na kasie uczelni), wiedzieć, gdzie taniej kupić świece, i pamiętać, że rektor – choć „zastępuje nam Boga" (jak napominał Franciszek z Brzegu) – bywa człowiekiem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Karol Ossowski jest historykiem i pisarzem, autorem książki „Jak przetrwać na Uniwersytecie Krakowskim".

eprasa.pl ed8b1c50fb

Lata 1945–1948 / Pokazać cierpienia

Żywi i martwi więźniowie obozu Bergen-Belsen po wyzwoleniu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMPERIAL WAR MUSEUMS, H.L. CLYN HUGHES

Wojenne traumy na wystawach

Piotr Semka

Powojenne ekspozycje na temat niemieckich zbrodni to ciekawy fenomen socjologiczny. Różne narody jedne aspekty okupacji starały się wyeksponować, a inne przypudrować lub wręcz ukryć

Nazwa „Gewalt ausstellen" w wolnym tłumaczeniu oznacza „Pokazać przemoc". Tak nazwana została najnowsza wystawa w Niemieckim Muzeum Historycznym (Deutsches Historisches Museum – DHM) na temat powojennych ekspozycji ukazujących skalę niemieckich zbrodni z czasów drugiej wojny światowej. Niemieccy historycy z DHM, którzy wraz z grupą badaczy z Francji, Czech, Polski oraz Izraela włożyli wiele trudu w przypomnienie tych wystaw, upamiętnili w ten sposób 80. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej.

Jakie były najbardziej oczywiste przyczyny organizowania ekspozycji? Dopiero zajmowanie przez armie sojusznicze ziem niemieckich, a tym samym odkrywanie obozów zagłady uzmysłowiło ludziom skalę zezwierzęcenia systemu nazistowskiego. Doskonale zostało to odtworzone w słynnym amerykańskim serialu „Kompania braci", w którym przerażeni żołnierze US Army odkrywają w zajętym „kacecie" wychudzonych i zmaltretowanych nieszczęśników, którzy cudem uniknęli śmierci. Amerykańscy czy angielscy żołnierze, którzy wyzwalali obozy w Bergen-Belsen, Dachau czy Ravensbrück, nie wierzyli własnym oczom. Czym innym było słyszeć o podłościach niemieckich zbrodniarzy, a czym innym zobaczyć na własne oczy zwały trupów. Ponadto w wielu krajach istniała wówczas potrzeba oddania hołdu swoim własnym ofiarom i podkreślenia bohaterstwa tych, którzy podjęli walkę z reżimem nazistowskim. I wreszcie Żydzi ocaleni z zagłady chcieli podkreślić wyjątkowość losu swego narodu skazanego na zagładę. A poprzez pokazanie skali ofiar żydowskich chcieli równolegle zaapelować do wielkich mocarstw o wynagrodzenie im tej kaźni poprzez utworzenie państwa Izrael.

W każdym z krajów, które zdobyły się po wojnie na próbę „pokazania przemocy", naturalna potrzeba unaocznienia swoim obywatelem skali zbrodni reżimu Hitlera wiązała się dodatkowo z konkretnymi rachubami politycznymi. Berlińska wystawa pokazuje pięć dużych ekspozycji (plus kilka pomniejszych), bardzo trafnie wskazując na różnice między nimi. Ciekawie wypada porównywanie różnych typów narracji i śledzenie intencji ich autorów.

„Horror Camps"

W ostatnich dniach drugiej wojny światowej na ulicach stolicy Wielkiej Brytanii ustawiały się długie kolejki czytelników pragnących kupić gazetę „Daily Express". To właśnie ten dziennik jako pierwszy zamieścił przerażające zdjęcia z wyzwalanych obozów. Przedstawiono wówczas zdjęcia m.in. z wyzwolonego

eprasa.pl ed8b1c50fb

dwa tygodnie wcześniej obozu koncentracyjnego Bergen-Belsen. Fotografie zwałów trupów i wycieńczonych więźniów zderzono ze zdjęciami złapanych wartowników z SS.

Ekspresja i potworność tych obrazów wywoływała piorunujące wrażenie na widzach. Jedni reagowali przerażeniem, inni wstrętem, a jeszcze inni wybuchem gwałtownego gniewu. Do obejrzenia w Londynie w maju 1945 r. wystawy fotograficznej przygotowanej przez redakcję „Daily Express" ustawiały się długie kolejki. Reporterzy opisywali widzów, którzy wychodzili z ekspozycji w stanie całkowitego rozbicia psychicznego. Dlaczego szok był tak duży?

Pierwsze raporty (wraz ze zdjęciami) o masowych mordach na Żydach i narodach okupowanej Europy docierały do Wielkiej Brytanii już w 1942 r. Jednak rządy Wielkiej Brytanii i USA nie zdecydowały się na ich publikację. Po części z powodu wątpliwości, czy zdjęcia są aby na pewno autentyczne, ale swoje robiło też to, że informacje o skali zbrodni wydawały się tak niepojęte, iż zastanawiano się, czy powinno się je przekazać opinii publicznej. Gdy do Londynu dotarły w końcu zdjęcia wyzwalanych obozów, przez pewien czas trwała dyskusja, czy można je w ogóle pokazywać z powodu ich drastyczności. W końcu to wahanie przerwała inicjatywa dziennika „Daily Express", który ogłosił, że opinia publiczna ma prawo poznać straszną prawdę. Londyńską ekspozycję odwiedzały codziennie setki ludzi.

Wystawa pojechała następnie do kolejnych miast Anglii i Szkocji. Władze brytyjskie uznały, że inicjatywa ta ma też wymiar psychologiczny. Dzięki niej rodziny poległych żołnierzy brytyjskich mogły lepiej zrozumieć, że ofiara z życia ich synów, braci czy ukochanych służyła pokonaniu reżimu o niespotykanej wcześniej diaboliczności. Z perspektywy czasu widać, że wystawa miała jednak pewne braki. Na przykład nie zaznaczono, że większość ofiar obozu Bergen-Belsen stanowili Żydzi.

Poruszająco brzmią wpisy z księgi pamiątkowej wystawionej dla osób, które obejrzały ekspozycję: „Nie mogę na to patrzeć. Robię się chory"; „Ta wystawa powinna być pokazywana w każdym europejskim mieście, w każdej nawet najmniejszej wiosce"; „Co innego słyszeć o niemieckich zbrodniach, a co innego zobaczyć je na własne oczy"; „Nie byłbym w stanie uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć. Ale zobaczyć to uwierzyć".

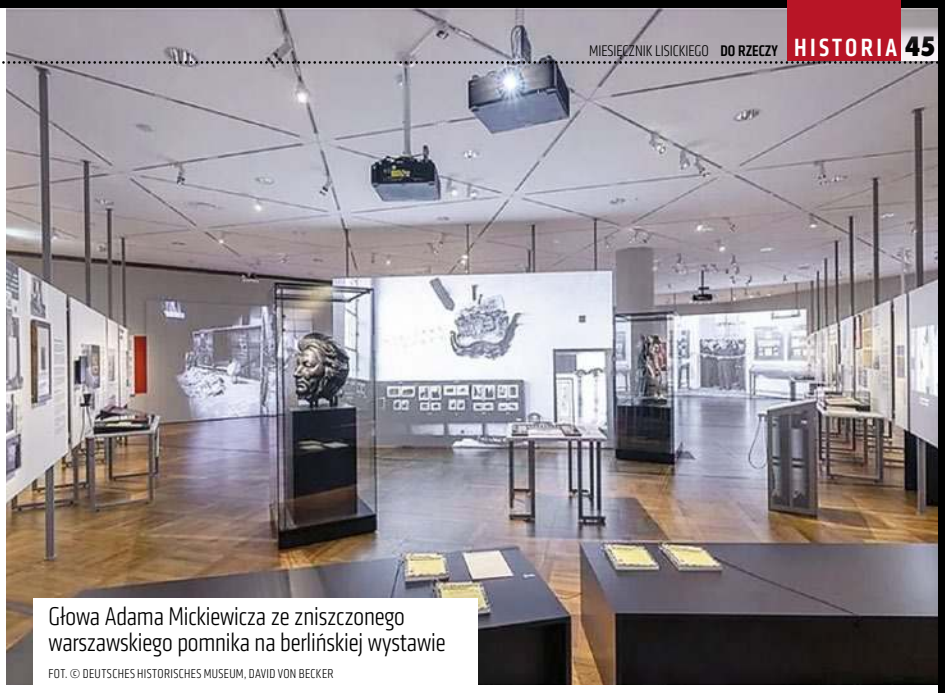

Głowa Adama Mickiewicza ze zniszczonego warszawskiego pomnika na berlińskiej wystawie

FOT. © DEUTSCHES HISTORISCHES MUSEUM, DAVID VON BECKER

Błyskawice w Paryżu

Miesiąc po zakończeniu wojny wielu paryżan ze zdumieniem zobaczyło wielkie esesmańskie błyskawice wywieszone na fasadzie gmachu Grand Palais. Wyglądało to jak koszmarne przypomnienie niemieckiej okupacji, która zakończyła się raptem 10 miesięcy wcześniej. W ten prowokacyjny sposób organizatorzy ekspozycji chcieli zwrócić uwagę na wystawę, która opisywała cierpienia Francuzów w okresie okupacji hitlerowskiej.

Prace nad ekspozycją zaczęły się jeszcze w czasie okupacji, a przyspieszyły po oswobodzeniu Paryża, kiedy to w ramach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych stworzono specjalną komórkę – Służbę Informacji na temat Zbrodni Wojennych. Na potrzeby tej instytucji pracowali członkowie ruchu oporu i osoby, które osobiście przeżyły więzienia i deportacje.

Wystawę podzielono na 24 sekcje, ukazujące wszystkie aspekty niemieckiego terroru. Pokazano zdjęcia z paryskich katowni gestapo i jedynego obozu koncentracyjnego na terenie Francji – kacetu Natzweiler-Struthof w Alzacji. Na wielkiej mapie oznaczono miejsca niemieckich masowych rozstrzeliwań i pacyfikacji wiosek podejrzewanych o wspieranie partyzantki. Odtworzono drogę do obozu, która zaczynała się od łapanek, zaprezentowano wagony bydlęce, w których wożono obywateli francuskich i wreszcie przedstawiono techniki masowej zagłady.

Wystawa wpisywała się w program narodowej jedności, który lansował wówczas rząd Charlesa de Gaulle'a. Generał chciał doprowadzić do zjednoczenia narodu na bazie pamięci o ofiarach niemieckiej niewoli. Przy okazji pokazano i napiętnowano francuskich kolaborantów, ale przedstawiono ich jako absolutny margines społeczeństwa, które – jak głosiła wystawa – było zjednoczone w oporze wobec Niemców. Oczywiście była to naturalna reakcja psychologiczna, pudrująca cztery pierwsze lata okupacji (1940–1943), gdy skala poparcia dla reżimu Vichy była masowa, a ruch oporu skupiał jedynie niewielkie, izolowane społecznie grupy.

Generał de Gaulle potrzebował jednak mitu o francuskim oporze, aby uzasadnić miejsce Francji jako pełnoprawnego uczestnika koalicji antyhitlerowskiej. Prawda była mniej różowa. Opór i działania partyzanckie na szerszą skalę zaczęły się dopiero w momencie lądowania aliantów w Normandii (czerwiec 1944 r.). Dla ocalałych Żydów z kolei trudne do zaakceptowania było włączenie ich historii Zagłady do ogólnofrancuskiej legendy o narodzie, który od pierwszego dnia

eprasa.pl ed8b1c50fb

Ciała ofiar „pociągu śmierci" z obozu Buchenwald do obozu w Dachau FOT. COMMONS WIKIMEDIA, USHMM, ERIC SCHWAB

okupacji walczył z najeźdźcą. Jeszcze inni Żydzi oburzali się, że są przedstawieni na wystawach jako ofiary, a nie aktywni bojownicy ruchu oporu.

W Saarze i Libercu

Osobny charakter miała inna wystawa zorganizowana przez władze francuskie. „Zbrodnie Hitlera" pokazano w marcu 1946 r. w Saarbrücken, czyli w mieście, które wraz z otaczającym je regionem po wojnie tworzyło specjalną jednostkę terytorialną zwaną Protektoratem Saary. Była to specyficzna część francuskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, której nadano charakter terytorium mandatowego. Francuzi zdecydowali w 1947 r., że przez kolejne 10 lat będą na tym terenie sprawować władzę aż do przeprowadzenia referendum, które miało zadecydować, czy protektorat zostanie wcielony do Francji, czy też wróci pod panowanie Niemiec.

W tamtejszych szkołach wprowadzono obowiązkową naukę języka francuskiego i masowo zwalniano niemieckich nauczycieli, zastępując ich francuskimi. Waluta o nazwie frank Saary wymienialna była w stosunku 1:1 z francuskim frankiem. Na letnie igrzyska olimpijskie w 1957 r. w Helsinkach wysłano nawet osobną reprezentację Protektoratu Saary; na podobnej zasadzie piłkarska reprezentacja tego regionu uczestniczyła w międzynarodowych turniejach. Francuzi mieli nadzieję, że mieszkańcy Saary dadzą się przekonać do przyłączenia ich ziemi do Francji. I dlatego wystawa „Zbrodnie Hitlera", którą otwarto w 1946 r., miała skłonić ludzi żyjących w tym rejonie do mentalnego odwrócenia się plecami do Niemiec. Niewiele wyszło z tych planów. W październiku 1955 r. 67,7 proc. ludności opowiedziało się za powrotem ich krainy do Niemiec. W ten sposób 1 stycznia 1957 r. Saara weszła w skład Republiki Federalnej Niemiec jako osobny land.

Czeska wystawa „Memoriał nazistowskiego barbarzyństwa", wystawiona po wojnie w Libercu, przypominała nieco wystawę w Paryżu. I w tym wypadku z jednej strony przedstawiano zachowane ślady bestialstwa zebrane z katowni gestapo na terenie całych Czech i Słowacji, a z drugiej strony sugerowano, że cały czeski naród zjednoczony był w aktywnym oporze przeciwko Niemcom. I znowu było to historyczne nadużycie, bo większość społeczeństwa zachowywała się biernie, a nieliczne grupy oporu funkcjonowały w izolacji. Najsłynniejszy akt czeskiego sprzeciwu wobec hitlerowskiej okupacji, czyli zamach na Reinharda Heydricha, był dziełem grupy specjalnie wysłanej z Londynu, a jej członkowie zostali wyłapani wskutek donosicielstwa samych Czechów. Jednak ekipa Edvarda Beneša, podobnie jak rząd de Gaulle'a, robiła po wojnie wszystko, co mogła, by stworzyć wrażenie, że społeczeństwa czeskie i słowackie masowo odrzucały nazizm.

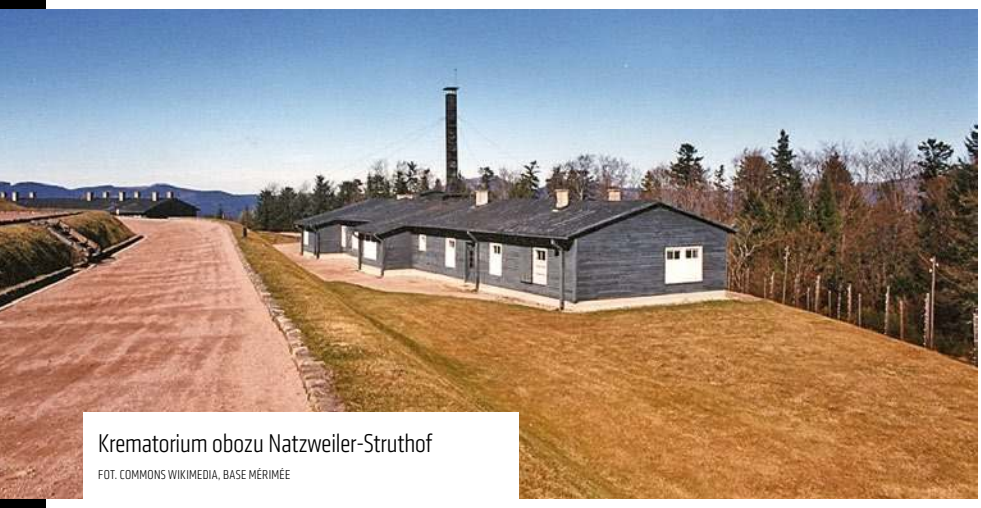

Krematorium obozu Natzweiler-Struthof
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BASE MÉRIMÉE

„Warszawa oskarża"

Na tle paryskiej wystawy tworzącej mit oporu całego społeczeństwa francuskiego przeciwko Niemcom wielka ekspozycja w stolicy Polski była nieporównanie uczciwsza. Oczywiście była ona wynikiem naturalnej reakcji psychologicznej społeczeństwa, które miało ogromną potrzebę opowiedzenia sobie i światu o skali niemieckich prześladowań w naszym kraju. Już samo miejsce wystawy, ocalałe ze zniszczeń Muzeum Narodowe w Warszawie, było symbolem. Gmach stał w morzu ruin, co dobrze ukazuje zdjęcie lotnicze zaprezentowane na berlińskiej wystawie. Na ekspozycji zgromadzono fotografie ruin Warszawy i przedstawiono zniszczone przez Niemców dzieła sztuki. Poruszający był widok zabytkowych obrazów pociętych bagnetami niemieckich żołdaków.

Wystawę otwarto 3 maja 1945 r., czyli kilka dni przed kapitulacją Berlina. Jej antyniemieckie ostrze było wygodne dla nowych, komunistycznych władz Polski, które poprzez poczucie jedności wobec niemieckich krzywd chciały przedstawić się jako legalna władza reprezentująca wszystkich Polaków. Jednocześnie pokazywano ekipę lubelską pod wodzą Bieruta jako siłę, która wprowadziła Polskę do antyhitlerowskiej koalicji i która zadba, by państwo otrzymało odpowiednie zadośćuczynienie od wielkich mocarstw za swoje krzywdy. Kolejnym elementem mającym ułatwić zaakceptowanie nowej władzy był postulat zaangażowania się czerwonych elit w akcję ścigania zbrodniarzy hitlerowskich. I wreszcie ostatnim akcentem, który miał zachęcać

eprasa.pl ed8b1c50fb

Zniszczenia malarstwa polskiego i obcego na wystawie „Warszawa oskarża", 1946 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

nieprzekonanych do wsparcia komunistów, było wieńczące wystawę hasło promujące odbudowę Warszawy: „Na zygmuntowskim kamieniu węgielnym – nowe wzniesiemy mury".

Dziś w berlińskim muzeum możemy zobaczyć jeden z wystawionych wtedy eksponatów – głowę z pomnika Adama Mickiewicza, który Niemcy wysadzili w powietrze między grudniem 1944 r. a styczniem 1945 r. Fragment pomnika odnaleziony po wojnie dziś znajduje się w zbiorach Muzeum Literatury w Warszawie.

We wrześniu 1945 r. wystawę zwiedził dowódca europejskich sił sojuszniczych gen. Dwight Eisenhower. Jego wizycie w Warszawie nadano wtedy spory rozgłos, gdyż ekipa Bolesława Bieruta uznała, że jest to pośrednie uznanie legalności Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej premiera Edwarda Osóbki-Morawskiego. 21 września 1945 r. szef Muzeum Narodowego Stanisław Lorentz osobiście oprowadzał amerykańskiego gościa, na którym ekspozycja wywarła wstrząsające wrażenie. Nawiasem mówiąc, w imię propagandowych korzyści władza musiała tolerować masowe wyrażanie przez Polaków sympatii wobec przybysza z USA – zwykli warszawiacy wielokrotnie zatrzymywali limuzynę Eisenhowera, fetując go hucznymi oklaskami. Polacy widzieli w nim nadzieję na to, że USA jednak przypilnują wprowadzenie w Polsce jakiejś formy demokracji. Komuniści szybko uznali, że wystawa może być dobrym narzędziem do reklamowania ekipy Bieruta. Skróconą wersję ekspozycji wysłano więc w trasę po Europie, a potem po USA.

Co ciekawe, w trakcie jej eksponowania w Wiedniu, we wrześniu 1947 r., doszło do znamiennego incydentu. Nieznani sprawcy obok napisu „Warszawa oskarża" zawiesili w nocy nad wejściem na wystawę inny transparent: „12 milionów Niemców oskarża Warszawę". Była to aluzja do tezy niemieckich ziomkostw, jakoby Polska wygnała z Pomorza, Śląska i Prus Wschodnich aż 12 mln Niemców. Pojawienie się tego transparentu pokazuje, jak silne były nastroje odwetowe nie tylko w Niemczech, lecz także w Austrii. Ówczesna niemiecka prasa pisała o tym wydarzeniu jako o „faszystowskiej prowokacji", ale brak informacji, by policja złapała sprawców.

Żydowskie wystawy

Osobny charakter miała wystawa otwarta w kwietniu 1948 r. w Żydowskim Instytucie Historycznym pod nazwą „Męczeństwo i walka". Zorganizowano ją z okazji piątej rocznicy powstania w getcie. Skupiała się jedynie na martyrologii i walce Żydów, ze szczególnym podkreśleniem znaczenia Żydowskiej Organizacji Bojowej. Opisywała też hitlerowską logikę i technikę eksterminacji ludności żydowskiej. Na ekspozycji w Berlinie zaprezentowano model gruzów pokrywających wejście do bunkra ŻOB przy ulicy Miłej 18 w Warszawie, który Niemcy odkryli 8 maja 1943 r. i wymordowali w nim niemal wszystkich przywódców powstania. W lipcu 1945 r. ocaleni bojownicy odkopali bunkier, tworząc z niego na pewien czas symbol żydowskiego oporu.

Ale także tę wystawę ekipa Bieruta wykorzystała propagandowo w swoich celach. Na ekspozycji podkreślano, że pamięć o skali zagłady Żydów winna służyć bieżącej walce z faszyzmem. Pod tym określeniem ówczesne władze rozumiały oczywiście walkę z Żołnierzami Wyklętymi.

W berlińskim muzeum zobaczymy też ekspozycję z 1947 r., którą pokazano na terenie byłego obozu Bergen-Belsen. Jej autorami byli Żydzi, mieszkając w obozach przesiedleńczych w Niemczech. Widoczne było tam łączenie pamięci o ofiarach z postulatem odrodzenia się narodu żydowskiego we własnych państwie w Palestynie.

Ważny hołd

W Polsce często spotykany jest daleko posunięty krytycyzm wobec polityki historycznej RFN. Jednak wystawa w Niemieckim Muzeum Historycznym to przykład troski o zrozumienie przez młode niemieckie pokolenie skali niemieckich win, które dobrze pamiętano w Europie po wojnie. Jak piszą autorzy ekspozycji: „Między rokiem 1945 a 1948 wystawy na temat niemieckich zbrodni i brutalności niemieckiej okupacji stały się ponadnarodowym fenomenem. Przemoc nazizmu pozostawiła różne ślady w różnych miejscach. Wystawy były formą informacji, uczczenia ofiar, żałoby po zamordowanych i wreszcie aktem odzyskiwania godności. Podjęto wtedy próbę znalezienia odpowiedniego języka dla opisania przemocy, której nie dawało się porównać z czymkolwiek, co działo się wcześniej". Wystawa w Berlinie dobrze pokazuje ten powojenny fenomen.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Generał Dwight Eisenhower (w środku) na Rynku Starego Miasta w Warszawie, wrzesień 1945 r. FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W PRZEMYŚLU

Ekspozycja „Pokazać przemoc: pierwsze wystawy na temat nazistowskiej okupacji w Europie, 1945–1948" otwarta będzie w Niemieckim Muzeum Historycznym w Berlinie do 23 listopada 2025 r. Szczegóły na: www.dhm.de.

eprasa.pl ed8b1c50fb

Estrada III Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im Fryderyka Chopina, 1937 r. FOT. NAC

Lata 1911–1992 / Zbigniew Sylwan Grzybowski

Ten od „Mazurka Chopina”

Tomasz Zbigniew Zapert

Spośród uczestników konkursów chopinowskich historia szczególne piętno odcisnęła na Zbigniewie Grzybowskim. Nawet podczas uwięzienia w sowieckim obozie nasz wybitny muzyk nie zapomniał o patriotycznych nutach

Jesień 1939 r. Tysiące wybitnych Polaków trafiają do sowieckiej niewoli i zostają tam poddani komunistycznej indoktrynacji. Bezwzględny enkawudzista stawia sobie za cel złamanie oporu jednego z nich. To młody oficer rezerwy, renomowany pianista, cieszący się szacunkiem współosadzonych. Jego kapitulacja może skutkować załamaniem się wielu innych więźniów. Rozpoczyna się misterna gra, pełna manipulacji, gróźb, fałszerstw i obietnic. Tyle tytułem lakonicznego streszczenia fabuły filmu.

Życiorys Zbigniewa Sylwana Grzybowskiego zainspirował scenarzystki Dżamilę Ankiewicz i Agathę Dominik oraz reżysera Łukasza Palkowskiego. Efektem jest film „Pojedynek”, w którego obsadzie znaleźli się m.in.: Jakub Gierszał (główna rola), Bogusław Linda, Tomasz Kot, Antoni Pawlicki i Julia Pietrucha. Premiera tej międzynarodowej koprodukcji przewidziana jest na najbliższą zimę. Nic dziwnego, że ta mocna historia porwała polskich filmowców.

Kresowa krew

Zbigniew Sylwan Grzybowski urodził 11 lutego 1911 r. w Błoniu. Jego przodkowie przybyli tam kilkadziesiąt lat wcześniej spod Mozyrza, straciwszy majątek ziemski w wyniku carskiej konfiskaty za wsparcie powstania listopadowego. Po odzyskaniu niepodległości chłopak zamieszkał w Warszawie, ponieważ ojciec

eprasa.pl ed8b1c50fb

znalazł zatrudnienie w Ministerstwie Komunikacji. Gdy miał osiem lat, rozpoczął formalną nauką gry na fortepianie, ale już wcześniej z nutami zapoznała go matka, grająca amatorsko na pianinie. Pierwszym nauczycielem chłopca został Adam Karasiński, wzięty kompozytor, twórca słynnego walca „François". Przyszły wirtuoz kształcił się w gimnazjum im. Stefana Batorego, które właśnie zajęło kompleks budynków imponujących nowoczesnością (basen, korty tenisowe, o doskonale wyposażonych salach lekcyjnych i bibliotece nie wspominając).

Po maju 1926 r. status materialny Grzybowskich się obniżył. Ojca przyszłego mistrza relegowano z pracy, gdyż podczas puczu Józefa Piłsudskiego usiłował umożliwić dotarcie do Warszawy koleją pułkom poznańskim wiernym obalanemu rządowi. Nie pomogło to, że cztery lata wcześniej Grzybowski senior został odznaczony przez władze RP za zorganizowanie transportów Polaków z terenów utraconych w następstwie traktatu ryskiego. Jak większość „zabużan" sądził on, że Piłsudski odtworzy granicę wschodnią z czasów przedrozbiorowych. I że raczej dogada się z białymi Rosjanami niż z bolszewikami… Piętnastoletni Zbyszek na własne oczy – z mieszkania secesyjnej kamienicy przy ul. Natolińskiej – widział strzelaninę między siłami rządowymi a żołnierzami Piłsudskiego.

Filozofia, filologia, pianistyka

Niebawem rodzina musiała się przeprowadzić ze względów finansowych. Tańsze lokum znaleźli na Powiślu, przy ul. Przemysłowej 35. Traf chciał, że dosłownie po sąsiedzku znajdowała się wytwórnia fortepianów i pianin Kerntopfa. A do szkoły młody Grzybowski mógł chodzić w kapciach – gmach znajdował się tuż obok. Po maturze (zdawał ją razem z kolegą z klasy Marianem Eilem, późniejszym plastykiem i twórcą tygodnika „Przekrój") rozpoczął edukację na wydziale filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, ale już po pierwszym semestrze zrezygnował. Dłużej studiował na tej uczelni romanistykę, chociaż nie zwieńczył edukacji magisterium.

Do Wyższej Szkoły Muzycznej trafił w roku 1932. Być może pod wpływem II konkursu chopinowskiego. Oglądając go, kibicował dwa lata starszemu od siebie Imre Ungárowi. Niewidomego Węgra uhonorowano drugą nagrody tylko dlatego, że ówczesny regulamin imprezy nie przewidywał laurów ex aequo. Co ciekawe, „bratanek" zgromadził identyczną liczbę punktów (435), co Amerykanin Aleksander Uninski, któremu triumf zapewniło... losowanie.

Grzybowski doskonalił wirtuozerię fortepianową pod kierunkiem Józefa Śmidowicza, czyniąc przy tym kolosalne postępy. Ukończył uczelnię ze złotym medalem, awansując do naszej reprezentacji, która miała wystąpić na trzeciej odsłonie konkursu chopinowskiego.

Jego udział w tej imprezie obrósł legendą. Konstanty Régamey relacjonował: „Wyraźnie zlękniony Zbigniew Grzybowski odszedł od fortepianu i powrócił zza kulis po kilku dłuuuuuuuuuuuuuuugich fermatach". Jerzy Waldorff zapamiętał: „Siedziałem góra piętnaście metrów od sceny, więc widziałem strach malujący się na fizjonomii Grzybowskiego. Mocno zdenerwowany podchodził i odchodził do instrumentu wielokrotnie, aż w końcu przy nim zasiadł".

Ponoć po pierwszym etapie miał szansę na podium, ale potężny stres spowodował, że przypadło mu jedynie wyróżnienie. Zaowocowało to jednak posadą pedagogiczną, a także współpracą z Polskim Radiem. Grzybowski wkrótce się usamodzielnił, zamieszkując przy ul. Zielnej 19, nieopodal siedziby rozgłośni.

Zbigniew Grzybowski

FOT. POLMIC.PL/12 KREDEK

eprasa.pl ed8b1c50fb

Od lewej: Józef Śmidowicz, Ewa Bandrowska-Turska, Grzegorz Fitelberg FOT. NAC

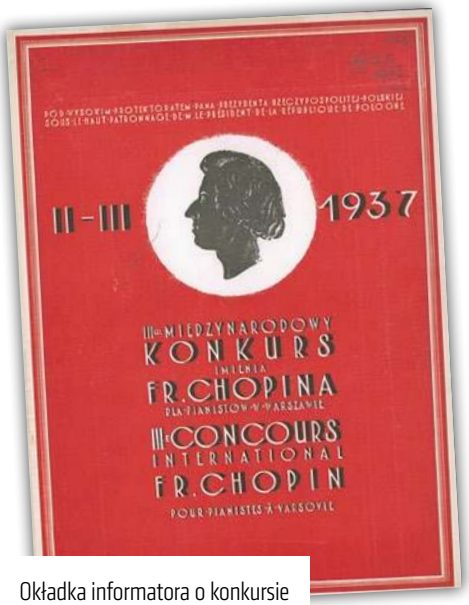

Okładka informatora o konkursie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Nawiasem mówiąc, apartamentem w tej samej klatce schodowej dysponował wzięty aktor Aleksander Żabczyński.

Mazurek w obozie

Wiosną 1939 r. Grzybowski ukończył – w stopniu podporucznika ze specjalizacją radiotelegraficzną – Szkołę Podchorążych w Zegrzu. 27 sierpnia otrzymał przydział do VI Batalionu Łączności. Pod Włodzimierzem Wołyńskim dostał się po kampanii wrześniowej do sowieckiej niewoli. Był więziony w Kozielsku. Udawało mu się tam koncertować na rozstrojonym pianinie. Repertuar składał się z utworów Fryderyka Chopina, Stanisława Moniuszki i Mieczysława Karłowicza. Raz nawet potajemnie zagrał tam „Mazurka Dąbrowskiego".

Na początku maja 1940 r. z nielicznymi współtowarzyszami niedoli (większość spoczywała już w dołach katyńskich) wywieziono go do obozu Pawliszczew Bor, a następnie do Griazowca. Prowadził chór, zyskując możliwość ćwiczenia na rozklekotanym fortepianie.

Dlaczego znalazł się w spisie Pawła Sudopłatowa, wysokiej rangi funkcjonariusza sowieckich organów bezpieczeństwa, nadzorującego selekcję polskich oficerów w obozach w Kozielsku i Starobielsku oraz policjantów w Ostaszkowie? Ciągle stanowi to zagadkę. Lista zawierała 53 nazwiska jeńców wskazanych przez Moskwę.

W sierpniu 1941 r. Grzybowski odzyskał wolność. Cztery miesiące później dał recital z okazji przyjazdu Naczelnego Wodza, gen. Władysława Sikorskiego, wizytującego tworzony przez gen. Władysława Andersa korpus złożony w lwiej części z zesłańców. Następnie pianistę skierowano do ambasady polskiej w Kujbyszewie, gdzie poznał Ewę Curie (pianistkę i reporterką), córkę słynnej noblistki, oraz Władysława Broniewskiego. Muzyk z poetą zostali wkrótce ewakuowani do Persji. W Teheranie Grzybowski miał zagrać dla uczestników obrad „Wielkiej trójki", jednak wcześniej przeniesiono go na Bliski Wschód. Powrócił wówczas do koncertowania, niekiedy transmitowanego na antenie Polskiego Radia Kair. Jeden z występów zaowocował wierszem Broniewskiego pt. „Mazurek Chopina". Świat o Grzybowskim dowiedział się 11 grudnia 1944 r., kiedy zaproszono go do udziału w gali radiowej emitowanej z Rzymu.

Wkrótce, najpewniej za sprawę serca, „zacumował" na dłużej w Egipcie. Spotkał tam pracowniczkę misji amerykańskiej, polonuskę Marię Dziwott, którą poślubił. Pod piramidami przyszedł na świat ich syn, Jan (John). Wojenny epizod biografii przyniósł muzykowi liczne odznaczenie. Od Brytyjczyków dostał War Star, War Medal, Defense Medal i Italy Star, a od Rządu RP na uchodźstwie – Złoty Krzyż Zasługi za krzewienie kultury polskiej.

Dźwięki emigracji

W 1947 r. Grzybowscy przenieśli się do Albionu, ale ponieważ pianiście zaproponowano objęcie stanowiska profesora fortepianu akademii muzycznej w Kapsztadzie, wyjechali do Związku Południowej Afryki. Potem podobną

eprasa.pl ed8b1c50fb

funkcję pełnił w Royal Welsh College of Music and Drama w Cardiff. Walia stała się jego nowym domem na ponad cztery dekady. Pianista utrzymywał systematyczny kontakt z „polskim Londynem", przede wszystkich ze środowiskiem niezłomnych: Ferdynandem Goetlem, Sergiuszem Piaseckim, Mieczysławem Grydzewskim, Marianem Hemarem oraz Karolem Zbyszewskim. Z tym ostatnim dzielił zainteresowania sportowe, przede wszystkim tenisowe i futbolowe. Wspólnie bywali na trybunach kortów Queens Clubu oraz Wimbledonu. Emocjonowali się finałami piłkarskich mistrzostw świata, rozgrywanych 59 lat temu na angielskich stadionach. Nie wiemy, komu kibicowali, natomiast wiadomo, że oczarował ich kunszt Eusebia, króla strzelców turnieju.

Podobnie jak zdecydowana większość środowiska politycznego naszej emigracji niepodległościowej w Albionie i USA Grzybowski bardzo krytycznie odniósł się do koncepcji Juliusza Mieroszewskiego i Jerzego Giedroycia dotyczącej pojednania Polaków z Białorusinami, Litwinami i Ukraińcami poprzez akceptację nieodwracalności granic wytyczonych w następstwie drugiej wojny światowej, a co za tym idzie – wyrzeczenia się przez Polskę Wilna i Lwowa. Z biegiem lat oddalał się też od sekcji polskiej Radia Wolna Europa. W tym przypadku zadecydowała postawa Jana Nowaka-Jeziorańskiego wobec konfliktów frakcyjnych w łonie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Konkretnie chodziło o sprzyjanie puławianom, a zwłaszcza zatrudnienie w rozgłośni niedawnych apologetów komunizmu, wydalonych z Polski u schyłku lat 60., kreujących się na ofiary antysemityzmu.

Grzybowski pomagał zaistnieć w Wielkiej Brytanii młodszym kolegom po fachu: Andrzejowi Czajkowskiemu oraz Ryszardowi Bakstowi. Nieufność odczuwana wobec innego emigranta muzycznego, Andrzeja Panufnika (zanim wybrał wolność w Londynie, ozdabiał tonalnie socrealizm), ustąpiła wraz z upływem czasu. Skądinąd obaj muzycy poznali się jeszcze w końcówce interbellum. Zdarzyło im się nawet wtedy zagrać na cztery ręce – na fortepianie firmy Bechstein – podczas pewnego wykwintnego i suto zakrapianego rautu w Hotelu Angielskim. Swoją drogą ciekawe, co mieli w repertuarze...

Nr. 73

Z muzyki

Nika Ignatowiczówna i Zb. Grzybowski

Staraniem Sekcji Pomocy Młodym Muzykom odbył się w sali Polskiej Y. M. C. A. interesujący koncert, w którym wzięli udział pp.: N. Ignatowicz, śpiewaczka i Zbigniew Grzybowski, pianista.

P. Ignatowiczówna — to jeden z najpiękniejszych sopranów lirycznych wśród młodego pokolenia — to wiele obiecująca śpiewaczka.

Coprawda głos to jeszcze nie duży, ale świeży, o ładnym brzmieniu, dźwięczny i niezwykle ujmujący (zwłaszcza w średnicy). Dobre jego wyszkolenie świadczy o studiach poważnych i starannych. Nadto technika wokalna i koncepcja odtwórcza są na wysokim poziomie artystycznym. Dykcja jasna i wyrazista.

Wykwintny program, zawierający pieśni kompozytorów polskich i ob-

cych obok osobistego wdzięku artystki, nie mało przyczynił się do powodzenia wieczoru, jednając dla młodziutkiej śpiewaczki spontaniczny poklask słuchaczy.

Jeśli p. Ignatowicz nie spocznie na laurach i dorywczych sukcesach, lecz będzie nadal usilnie i nieustannie pracowała, to może być w przyszłości ozdobą niejednej estrady koncertowej i sceny operowej w kraju lub zagranicą.

Powodzeniem cieszył się również p. Grzybowski, niewątpliwie i bezsprzecznie świeży i bardzo sympatyczny talent.

Grał szereg arcydzieł Chopina. Dzisiejsza pianistyka artysty zaznacza się przede wszystkim ładnym uderzeniem, niezłą techniką palcową oraz

. Posiada nadto

y. Czy przytym in-

a jest wzorowa —

Artykuł z oceną występu Zbigniewa Grzybowskiego
FOT. DOMENA PUBLICZNA

W roku 1959 Bernard Ładysz przybył do Londynu, by wziąć udział w nagraniu płytowym opery Gaetana Donizettiego „Łucja z Lammermoor", z diwą XX stulecia – Marią Callas – w roli tytułowej. Nasz najwybitniejszy bas spotkał się przy okazji także z Panufnikiem, któremu towarzyszył Grzybowski. „Najpierw gadaliśmy głównie o pogodzie, muzyce i sporcie. Zrazu czuło się obustronną wstrzemięźliwość wobec zagadnień – nazwijmy je – światopoglądowych. Ale sączony gin z tonikiem po pewnym czasie skierował nasze rozmowy i na te tory".

Grzybowski był gościem VII konkursu chopinowskiego (w V rywalizowała z nim – bez powodzenia – jego studentka Mary Rees), a cztery lata później wystąpił z recitalem w Żelazowej Woli oraz na antenie Polskiego Radia. Jednak do Polski pod dyktatem Kremla wracać na stałe nie zamierzał. Po naszej transformacji ustrojowej zaczął to rozważać, lecz dowiedziawszy się o skandalicznym odwołaniu gabinetu premiera Jana Olszewskiego – a co za tym idzie, zablokowaniu lustracji i dekomunizacji – porzucił ten pomysł. Zmarł nagle 28 grudnia 1992 r. Zgodnie z testamentem spoczął na Powązkach w grobie rodzinnym w kwaterze 92. Do dziś Royal Welsh College of Music and Drama w Cardiff przyznaje swoim wyróżniającym się chopinistom statuetkę „The Zbigniew Grzybowski Memorial Prize".

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

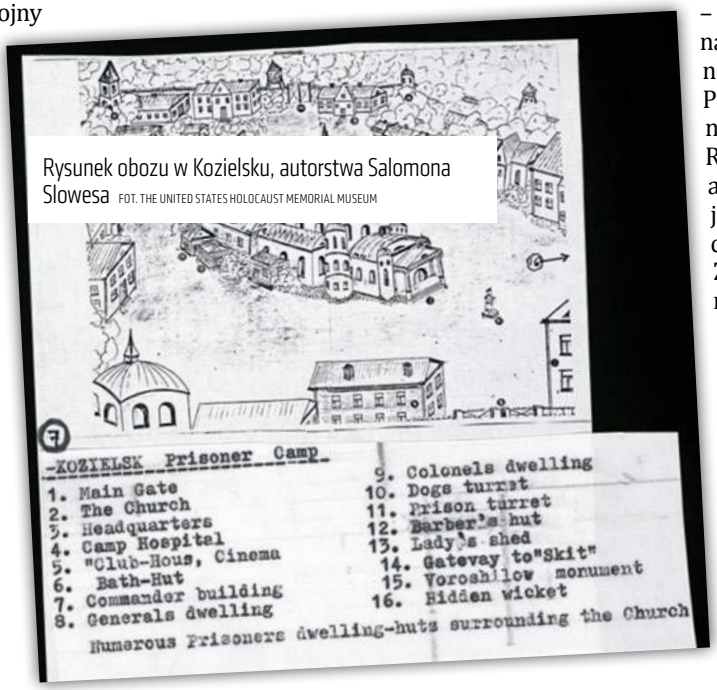

Rysunek obozu w Kozielsku, autorstwa Salomona Slowesa FOT. THE UNITED STATES HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

BIBLIOGRAFIA

Curie E., ***„Podróż wśród wojowników"***; *Dybowski S.* ***„Słownik pianistów polskich"***; *Goetel F.*, ***„Patrząc wstecz"***; *Grydzewski M.*, ***„Silva rerum"***; *Régamey K.*, ***„Wybór pism eseistycznych"***; *Waldorff J.*, ***„Wielka gra"***; *Zbyszewski K.*, ***„Wczoraj na wyrywki"***.

Dziękuję *Małgorzacie Matuszewskiej i Aleksandrze Zawłockiej* ***za pomoc w przygotowaniu tekstu.***

eprasa.pl ed8b1c50fb

Wieki XVI–XXI / Sienkiewiczowskie strony

Polacy, mieszkańcy Bender. 1934 r. Czwarty od lewej w rzędzie nad dziećmi: ks. Mikołaj Szczurek

FOT. ARCHIWUM HELENY KRASOWSKIEJ

Polacy w Naddniestrzu

Adam Hlebowicz

Na najdalej wysuniętych na południe kresach dawnej Rzeczypospolitej wciąż trwa polska społeczność

W Mohilowie wojsk nie ma, w Jampolu nie ma, w Raszkowie nie ma! Ja tu jeden pan!... Kryczyński, Adurowicz i owi inni – raby moje, bo ja kniazia, ja władyki syn – ja im wezyr, ja im murza najwyższy, ja im wódz, jako Tuhaj-bej był wódz – ja im chan, ja jeden mam siłę, wszystko tu w mocy mojej...".

Nazwy Jahorlik, Raszków, Waładynka głęboko weszły w pamięć Polaków dzięki „Trylogii" Henryka Sienkiewicza. Epizody związane z uwięzieniem Heleny Kurcewiczówny, a następnie jej sprytne uwolnienie przez Zagłobę i kompanów w „Ogniem i mieczem" czy przywołany powyżej niesławny rajd Azji Tuchajbejowicza związany z planem porwania Baśki, a potem dokonanej zemsty na Nowowiejskich z „Pana Wołodyjowskiego" to powszechnie znane fragmenty książek polskiego noblisty. Nie mógł przewidzieć Sienkiewicz, że ponad 130 lat po napisaniu przez niego ostatniej części swego wiekopomnego dzieła w Raszkowie powstanie Dom Polski o nazwie Wołodyjowski. Dzisiaj ziemie te formalnie należą do Mołdawii, jednak od 1990 r. wchodzą w skład Republiki Naddniestrzańskiej, prorosyjskiego quasi-państwa, nieuznawanego na całym świecie. Jednak twór ten posiada własny rząd, parlament, prezydenta, odrębną walutę, a także swoją flagę i herb.

Tutaj w 2018 r. rozpoczęły się badania prof. Heleny Krasowskiej i jej zespołu, które prowadzone były przez kolejnych pięć lat. Nie przerwały ich ani światowa pandemia, ani wydarzenia na pobliskiej Ukrainie. Ich plonem jest publikacja pracy „Polacy w Naddniestrzu. Świadectwo zanikającego dziedzictwa". Zamieszczono w niej bardzo interesujące badania socjolingwistyczne, badania odnośnie do pochodzenia oraz współczesnej tożsamości i śladów obecności polskiej kultury wśród tutejszych mieszkańców.

Polacy są tu obecni od kilku wieków, głównie na skutek uchodźstwa po konfederacji barskiej, kolejnych powstaniach i w rezultacie ekonomicznej emigracji w XIX stuleciu. Tereny te zostały włączone w granice ZSRS i przechodziły podobne koleje losu jak całe imperium: przymusowe zaprowadzanie kołchozów, represje, deportacje. Do 1990 r. Naddniestrze wchodziło w skład Mołdawskiej SRS. Wówczas, z pewnością pod wpływem zachęt płynących z Moskwy, doszło do podziału byłej republiki na część rumuńską, czyli Republikę Mołdowy, i część rosyjską, która jednak formalnie nadal przynależy do Mołdawii. Nasi rodacy, przez wiele

eprasa.pl ed8b1c50fb

Jan Onufry Zagłoba i Helena Kurcewiczówna

FOT. DOMENA PUBLICZNA

lat pozbawieni możliwości uczenia się polskiego, mówią dzisiaj w kilku językach – polskim, ukraińskim, rosyjskim, a najczęściej w miejscowych, lokalnych gwarach będących mieszanką tych języków. Zazwyczaj to kobiety – choć oczywiście są wyjątki – były strażnikami języka i kultury polskiej.

Na krańcu Rzeczypospolitej

Raszków i Jahorlik to miejscowości najbardziej utrwalone w dziele Sienkiewicza. To tutaj, tuż za Dniestrem, zaczynały się pastwiska tatarskie. Miasteczko Raszków wybudowano na skałach, a wokół rozlokowane były jaskinie, w których zimą trzymano bydło i owce. Zamieszkiwała tu mieszanka wielokulturowa: Ormianie, Żydzi, Polacy. I dzisiaj Raszków jest wieloetniczny, a mieszkańcy miasta – jak sami mówią – rozmawiają głównie po raszkowsku, czyli w mieszance języków słowiańskich.

Punktem centralnym miasteczka jest kościół pw. św. Kajetana, dawniej ormiańsko-katolicki, obecnie rzymskokatolicki, pochodzący z połowy XVIII w. Przechodził koleje losu tej ziemi. Prześladowania okresu bolszewickiego, zamknięcie w 1932 r., otwarcie w czasie drugiej wojny światowej w okresie rządów rumuńskich i ponowne zamknięcie w 1948 r. Potem w kościele był magazyn zboża. W końcu lat 80. nastąpiło odrodzenie wspólnoty parafialnej i odzyskanie świątyni. Od 1994 r. pracują tu księża sercanie z Polski. Podjęli się tu nie tylko pracy duszpasterskiej, lecz także mocno rozbudowanej charytatywno-socjalnej. Obecnie 73 proc. parafian stanowią Ukraińcy, Polaków jest 17 proc.

Ważną rolę historyczną, a także współczesną odgrywa raszkowski cmentarz pochodzący z początku XIX stulecia, choć niewykluczone, że były tu i starsze pochówki. To miejsce, gdzie miejscowi mieszkańcy integrują się przy jego renowacji, a także okazja do spotkań z konserwatorami z Polski, którymi kieruje prof. Janusz Smaza. Partnerem tych prac jest Towarzystwo Polskiej Kultury „Jasna Góra" w Naddniestrzu.

W pobliskim Jahorliku (inna nazwa tej miejscowości to jakże słusznie Koniecpol – tu był koniec przedrozbiorowej Rzeczypospolitej) w 2021 r. odsłonięto tablicę upamiętniającą niezwykłego świadka potęgi dawnej Rzeczypospolitej. Tu był niegdyś usytuowany trójgraniasty słup kamienny wytyczający dawną granicę między Polską, Rosją a Turcją po zawarciu pokoju w Karłowicach w 1699 r. Bardzo prawdopodobne jest, że ów słup graniczny do dzisiaj spoczywa w wodach pobliskiej rzeki Jahorlik.

Nieustraszona Słoboda Raszków

Słoboda Raszków, miejscowość na pograniczu, wydawałoby się – na krańcu pewnego świata, wytrwale pamięta o swej polskiej, odrębnej tożsamości. Pierwotnie nosiła nazwę Księdzówka, najpewniej od duchownego, który tu zamieszkał i ściągał kolejnych mieszkańców jako swoich parafian.

Po drugiej wojnie światowej tutejsi katolicy przez wiele lat próbowali zarejestrować w miejscowości parafię. Liderami wspólnoty byli ludzie świeccy, rodziny Pogrebnych, Olejników, Sajewskich. Jeździli z maleńkiej Słobody nawet do Moskwy, żeby uzyskać zgodę na regularne przyjazdy do nich ks. Władysława Zawalniuka z Kiszyniowa. Ponieważ otrzymywali odpowiedzi odmowne, w 1975 r. postanowili bez żadnych zgód wybudować niewielki kościół. Wznosili go nocą. 24 listopada 1977 r. wprowadzono do świątyni Najświętszy Sakrament. Jednak milicja i KGB od razu spacyfikowały Słobodę-Raszków. Przed każdym domem stali funkcjonariusze, dzieciom nie wolno było wychodzić ze szkoły, w tym czasie buldożery masakrowały z takim trudem wzniesioną świątynię. Kościół został zniszczony do fundamentów, gruz z niego wywieziono w ciągu jednego dnia, ziemię zrównano.

Katolicy słobodziańscy jednak nie ulegli. Nadal spotykali się na nielegalnych nabożeństwach. Piotr Pogrebny za specjalnym zezwoleniem kard. Stefana

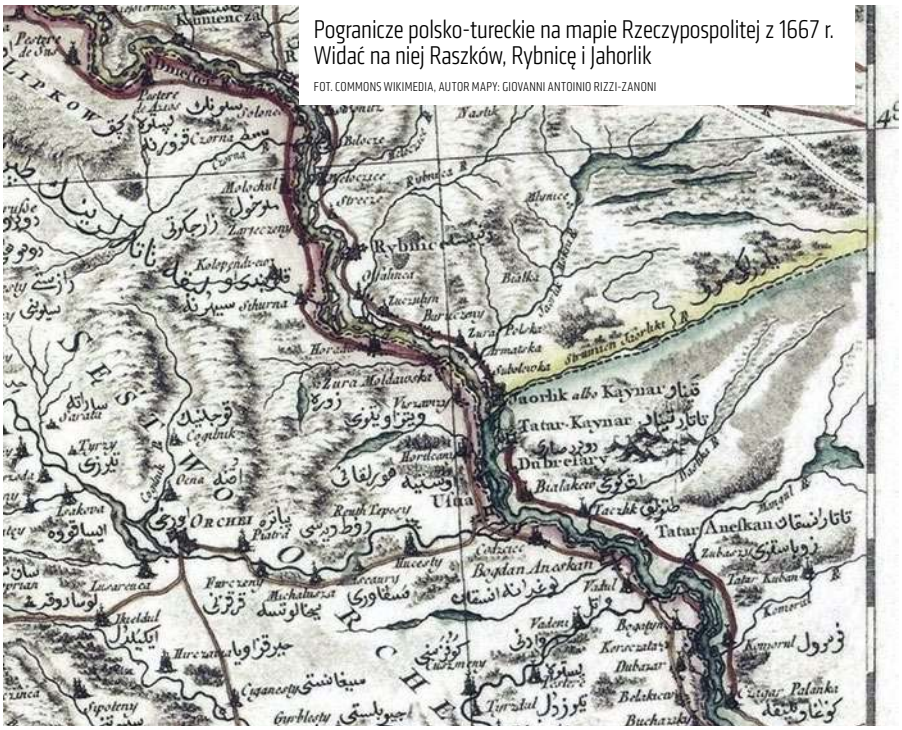

Pogranicze polsko-tureckie na mapie Rzeczypospolitej z 1667 r. Widać na niej Raszków, Rybnicę i Jahorlik

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AUTOR MAPY: GIOVANNI ANTONIO RIZZI-ZANONI

eprasa.pl ed8b1c50fb

Msza Święta w kościele pw. św. Marty w miejscowości Słoboda-Raszków

FOT. ANTON POLJAKOW/ DLA PROJEKTU HOME ON THE BORDER

Wyszyńskiego udzielał wiernym Komunii św. Od 1980 r. zaczęli tu znów przyjeżdżać księża. Wreszcie, pod koniec 1988 r., na fali zmian dokonujących się w ZSRS, parafia w Słobodzie została zarejestrowana. Rok później jeden z domów mieszkalnych przebudowano na świątynię, a w 1990 r. poświęcił go biskup z Rygi, Vilhelms Nukšs.

Tu zaczyna się nowy rozdział w życiu miejscowości i tutejszej parafii. Nie do przecenienia jest praca w Naddniestrzu księży sercanów, którzy obsługują wszystkie miejscowe pięć parafii. Pierwszy przybył z Polski w 1990 r. ks. Henryk Soroka SCJ, którego nazwisko pasowało jak ulał do sienkiewiczowskich okolic. Rychło się okazało, że duchowny będzie tu odgrywał nie tylko rolę księżowską, lecz także pedagogiczną, opiekuńczą, przyjacielską i wiele innych. Zaopiekował się liczną gromadą dzieci z sierocińca, którym dawał jedzenie, ubiór, wykształcenie i wychowanie. Nie byłoby to możliwe bez wsparcia parafian, którzy sami mieli niewiele, ale i tym z chęcią się dzielili. Proboszcz uczył parafian nie tylko wrażliwości na potrzeby innych, lecz także konkretnej pracy socjalnej, wymagającej pewnej wiedzy i odpowiedzialności.

Po ks. Soroce do Mołdawii, głównie do Naddniestrza, trafili kolejni sercanie. Do dzisiaj są proboszczami w Benderach, Raszkowie, Słobodzie-Raszkowie, Rybnicy, Tyraspolu. Wszyscy oni w dowód swych naprawdę niezwykłych zasług zostali uhonorowani wysokimi odznaczeniami polskimi. Warto przytoczyć ich nazwiska: Marcin Januś, Piotr Kuszman, Tadeusz Magierowski i Zdzisław Śmiertka. Plonem zaangażowania i dobrej pracy duszpasterskiej tej grupy duchownych są powołania kapłańskie, które wyszły z tych miejscowości. Część tych wychowanków pracuje w parafiach Naddniestrza, jeden z nich – ks. Piotr Malczuk – został nawet biskupem w Kijowie, niestety zmarł przedwcześnie w wieku 51 lat.

Słoboda-Raszków, choć mieszkańcy na co dzień nie posługują się językiem polskim – słychać go jedynie w kościele – jest ostoją polskiego życia. W tutejszym Towarzystwie Polskiej Kultury „Mała Ojczyzna", które działa od 2020 r., jest zgromadzonych 175 członków, czyli jedna czwarta ogółu mieszkańców Słobody.

Polski cmentarz w Raszkowie. Nagrobki odonowione staraniem Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie" z dotacji MKiDN

FOT. FPPNW, AUTORKA FILMU, Z KTÓREGO POCHODZI KADR: ZOFIA KOWARSKA

Przemysłowa Rybnica

Miasto założyli w XVII w. polscy ziemianie. W 1898 r. Ludwik Arcimowicz wybudował tutaj cukrownię, pierwszą, a potem największą w ówczesnej guberni podolskiej. A w okolicznych miejscowościach powstawały różnego rodzaju fabryki zakładane przez polskich przedsiębiorców. Praca w przemyśle ściągała do Rybnicy kolejnych Polaków. Po pierwszej wojnie światowej i po przewrocie bolszewickim nasi rodacy nadal stanowili kilka procent mieszkańców.

Życie katolików koncentrowało się wokół kościoła św. Józefa, wybudowanego na początku XIX w. Świątynię zamknięto w czasach sowieckich w 1933 r., a proboszcza – ks. Antoniego Wedegisa – aresztowano. Kapłan, cudownie ocalony, wrócił do Rybnicy, jednak w 1937 r. na skutek prześladowań zmarł. Jego grób stał się miejscem modlitw wiernych. Gdy w 1963 r. władze sowieckie postanowiły wybudować na tutejszym cmentarzu pomnik poległym żołnierzom w czasie drugiej wojny światowej, katoliczki z Rybnicy postanowiły potajemnie odkopać szczątki swego dawnego proboszcza i przenieść je na ocalałą część nekropolii. To jeden z niezwykłych przypadków wierności wierze katolickiej i zdeterminowanych działań, które ratowały przymusowo niszczoną pamięć.

Tyraspol – dawna stolica biskupia

Tyraspol jest trzecim co do wielkości miastem w Mołdawii, po Kiszyniowie i Bielcach, a jednocześnie stolicą samo-

eprasa.pl ed8b1c50fb

Rybnica. Kościół obecnej parafii rzymskokatolickiej pw. Świętego Józefa
FOT. MOL.SCJ.PL

zwańczej Republiki Naddniestrzańskiej. Dominują wśród mieszkańców Rosjanie, a po nich są Ukraińcy. W Tyraspolu liczącym prawie 130 tys. mieszkańców Polaków jest niewielu, ale mają swoją silną pozycję. Grupują się wokół Towarzystwa Polskiej Kultury „Jasna Góra" i parafii katolickiej pw. św. Trójcy. Niegdyś, w XIX stuleciu, przez krótki czas Tyraspol był nawet stolicą biskupstwa, potem siedzibę ordynariuszy przeniesiono do Saratowa, lecz nazwa tyraspolska pozostała przy diecezji. Obecne odrodzenie życia religijnego sięga lat 90., lecz na stałe w mieście zamieszkał ksiądz dopiero w 2002 r. Był to ks. Piotr Kuszman SCJ, delegat biskupa kiszyniowskiego na tę część Mołdawii. Doprowadził do wybudowania tutaj świątyni, a także domu pomocy dla „dzieci ulicy".

Jednym z najważniejszych wydarzeń w najnowszej historii Polaków z Tyraspolu był w 2017 r. uroczysty pochówek 436 ekshumowanych ofiar z lat 1937–1938. Ze znajdujących się wokół tutejszej twierdzy chaotycznych pochówków wydobyto już ok. 4,5 tys. szczątków ludzkich, osób różnych narodowości mordowanych okrutnie przez reżim Stalina, jak 40-letnia Wiktoria Boltian, Polka, córka Pawła, która w chwili mordu najprawdopodobniej była w ciąży. Jej winą była jedna wizyta w konsulacie polskim w Odessie.

Wśród zebranych relacji tyraspolan zwraca uwagę wspomnienie Aliny Jaworskiej, rocznik 1949, której ojciec Fabian był inspektorem szkolnym. Nie należał do partii i był osobą bardzo religijną. To wyjątek w czasach sowieckich, gdyż piastował poważny urząd państwowy, a jednocześnie potajemnie prowadził katechizację i naukę języka polskiego.

Bendery i dzielny ks. Szczurek

O Bendery toczyły się najbardziej zacięte boje w 1992 r. Miejscowość została opanowana przez siły wojskowe Mołdawii, lecz do akcji wkroczyła 14. armia rosyjska pod wodzą gen. Aleksandra Lebiedia, która przechyliła szalę na korzyść separatystów naddniestrzańskich. To jedyne miasto przyłączone do samozwańczej republiki, które znajduje się po prawej stronie rzeki Dniestr.

Osobą, która odegrała niezwykłą rolę w Benderach, był ks. Mikołaj Szczurek (1875–1948), który przed wojną, w czasach władzy rumuńskiej, był tu proboszczem. Na plebanii urządził sierociniec dla opuszczonych dzieci, stając się wzorem dla współczesnych duchownych pracujących w Naddniestrzu. Ponadto zorganizował szkołę początkową z lekcjami języka polskiego, choć przez lata działała ona bez formalnej zgody władz państwowych. W latach 1940–1948 był jedynym księdzem katolickim w Mołdawii, wówczas mieszkał już w Kiszyniowie i dojeżdżał do pozostałych ośrodków katolickich na terenie kraju, w tym także do Benderów. Mimo tylu lat od jego śmierci nadal pozostaje w pamięci mieszkańców Mołdawii.

Opracowanie Heleny Krasowskiej to dzieło unikatowe, gdy chodzi o badania nad Polakami na ziemiach byłego ZSRS. Ponieważ jest to społeczność stosunkowo mała, w ciągu kilku lat intensywnej pracy zespołu kierowanego przez panią profesor, a finansowanego przez Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego, udało się przeprowadzić szczegółowe badania terenowe, na podstawie których mamy pełny, przekrojowy obraz naszych rodaków zamieszkujących tę część Mołdawii. Po tylu latach prześladowań, życiu w tyglu wieloetnicznym i wielojęzycznym, masowej i przymusowej sowietyzacji oni przetrwali! Odrodzili się na początku lat 90., dziś ich systematycznie ubywa na skutek odchodzenia najstarszego pokolenia, emigracji młodych, nieuniknionych procesów asymilacyjnych. Jan Malicki, dyrektor Studium Europy Wschodniej UW, napisał we wstępie do książki, że to świat, który bezpowrotnie odchodzi. Autorka opracowania jest jednak optymistką. Uważa, że polska mniejszość w Naddniestrzu jest w dobrym stanie i że ta grupka Polaków przetrwa. Wolę tę drugą prognozę, bo nasi rodacy znad Dniestru, jak wszyscy inni przebywający na obczyźnie, są nam najzwyczajniej potrzebni.

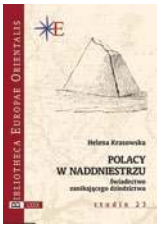

HELENA KRASOWSKA
„POLACY W NADDNIESTRZU. ŚWIADECTWO ZANIKAJĄCEGO DZIEDZICTWA"
STUDIUM EUROPY WSCHODNIEJ, „BIBLIOTECA EUROPAE ORIENTALIS" 2024, T. 80.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem IPN.

Tablica upamiętniająca ks. Mikołaja Szczurka
FOT. AMBASADA RP W MOŁDAWII

eprasa.pl ed8b1c50fb

Lata 1944–1945 / Hrubieszowszczyzna w ogniu

W kleszczach walk AK i UPA

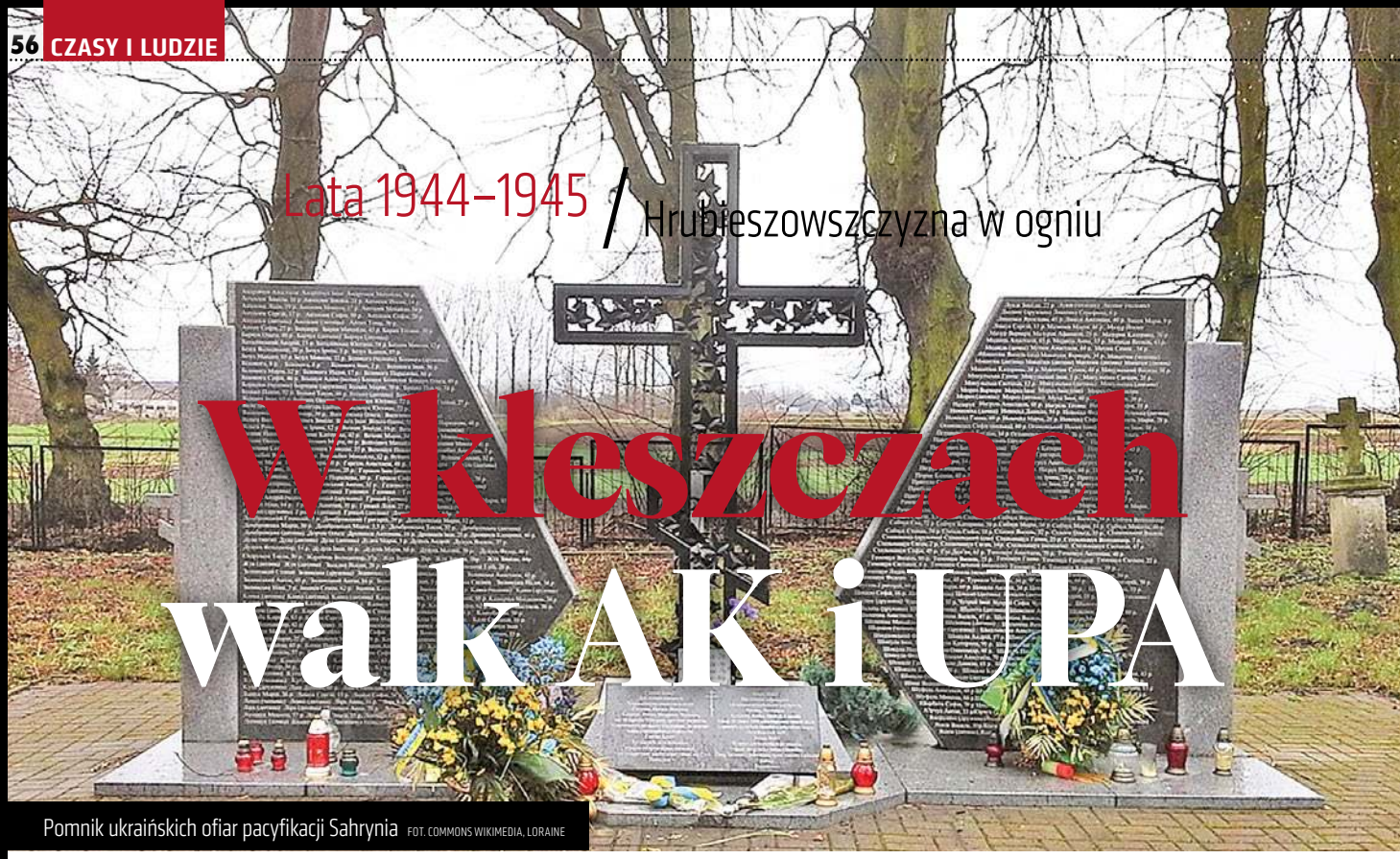

Pomnik ukraińskich ofiar pacyfikacji Sahrynia FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LORAINE

Arkadiusz Karbowiak

Pod koniec wojny na Hrubieszowszczyźnie niemal każdy walczył z każdym. Polskie podziemie w bardzo brutalny sposób pacyfikowało ukraińskie wsie, starając się zastraszyć ukraińskich nacjonalistów. Celem było niedopuszczenie do przeniesienia „akcji antypolskiej" UPA z Wołynia na Lubelszczyznę

Niedawno na polskim rynku wydawniczym ukazała się książka dr. Mariusza Sawy dotycząca akcji pacyfikacyjnej przeprowadzonej przez oddziały Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich m.in. w miejscowościach Sahryń, Łasków i Szychowice w powiecie hrubieszowskim. Jej ofiarą padło w dniach 9–10 marca 1944 r. 1261 osób, w zdecydowanej większości ukraińskich cywilów. Uzupełnieniem i rozszerzeniem pracy byłego pracownika IPN jest publikacja (na razie tylko w języku ukraińskim) prof. Igora Hałagidy i Myrosława Iwanyka pt. „Pogrom. Hrubieszowszczyzna – wiosna 1944", tom 1 (ukr. „Погром. Грубешівщина – весна 1944", tom 1), ukazująca wydarzenia związane z konfliktem polsko-ukraińskim, które rozegrały się na Hrubieszowszczyźnie od marca do czerwca 1944 r. Książka prezentuje dokumenty zawierające złożone przed pracownikami Ukraińskiego Komitetu Pomocy (UDK) w Hrubieszowie relacje osób, które przeżyły masakry w swych rodzinnych miejscowościach. Znajdziemy w niej również raporty o popełnionych zbrodniach sporządzone przez duchownych Kościoła prawosławnego, pisma i sprawozdania Ukraińskiego Centralnego Komitetu (UCK) oraz UDK dotyczące tego zagadnienia, a także meldunki niemieckich organów policyjnych oraz polskiego i ukraińskiego podziemia na temat toczącego się w dystrykcie lubelskim konfliktu polsko-ukraińskiego.

Bardzo interesującą częścią książki jest jej wstęp, gdzie obaj badacze zaprezentowali genezę wypadków, które doprowadziły do rozpoczęcia przez oddziały AK i BCh akcji eksterminacyjnych wobec ukraińskiej ludności cywilnej, a następnie do zbrojnej konfrontacji polsko-ukraińskiej, do której doszło zimą/wiosną 1944 r. na Hrubieszowszczyźnie. Rozważając przyczyny wspomnianych wydarzeń, obaj naukowcy uznali, że jednym z zasadniczych powodów wzrostu polsko-ukraińskiego antagonizmu był dekret prezydenta RP Władysława Raczkiewicza z 30 marca 1943 r. o odpowiedzialności karnej za zbrodnie wojenne. W ich opinii polskie podziemie zintensyfikowało na tej podstawie akcję likwidacji kolaborantów, która na Chełmszczyźnie dotknęła ukraińskich działaczy narodowych, nie

eprasa.pl ed8b1c50fb

Ukrainki w strojach ludowych. Zamość, 1940 r. FOT. NAC

tylko tych zatrudnionych w różnych funkcjonujących za zgodą niemieckich okupantów ukraińskich instytucjach. W zamachach ginęli m.in. mężowie zaufania, nauczyciele, agronomowie, sołtysi, księża, pracownicy UDK. Wydaje się jednak, że kierowanie zasadniczej uwagi na prezydencki dekret, wskazujący raczej na chęć zainicjowania rozliczeń wobec winnych zbrodni po wojnie niż w jej trakcie, o czym świadczy geneza powstania tego dokumentu (m.in. konsultacje z aliantami), niekoniecznie musi być właściwym punktem wyjścia do dyskusji o powodach wzrostu napięcia w relacjach polsko-ukraińskich wiosną 1943 r.

„Wał ochronny"

Przyczyn erupcji konfliktu polsko-ukraińskiego w tamtym okresie należałoby szukać raczej w rozpoczętej w listopadzie 1942 r. niemieckiej akcji wysiedleńczej. W jej tryby okupanci wprzęgnęli przymusowo ukraińską społeczność, którą relokowano do polskich wsi na obszarach objętych „Aktion Zamość", aby stworzyć dla niemieckich kolonistów swoisty „wał ochronny" przed atakami polskiego podziemia. Wymuszone niemiecką presją zaangażowanie w wysiedlanie instytucji ukraińskich starających się udzielić swym rodakom możliwie największej pomocy, a także Ukrainische Hilfspolizei, czyli ukraińskiej policji, doprowadziło do zastosowania przez polskie podziemie terroru indywidualnego wobec działaczy ukraińskich postrzeganych jako współorganizatorów przesiedleń oraz odpowiedzialności zbiorowej, czego przykładem – bynajmniej niejednostkowym – było zniszczenie części wsi oraz zabójstwa ukraińskich chłopów dokonane przez AK w hrubieszowskim Mołożowie 6 maja 1943 r., gdzie spalono 59–60 gospodarstw oraz zabito 12 osób, w tym aż osiem kobiet i jedno dziecko.

Nie ulega wątpliwości, że niemiecka polityka znacząco wpłynęła na wzrost napięć w relacjach polsko-ukraińskich wiosną 1943 r. Jednak już latem 1943 r. fala terroru antyukraińskiego opadła. Wyjątkiem była tu akcja w Bukowinie przeprowadzona 26 lipca przez oddział NOW-AK por. Franciszka Przysiężniaka „Ojca Jana". Jej ofiarami padło 14 Ukraińców, choć wydaje się, że głównym celem ataku mieli być ukraińscy policjanci (udało im się uciec) biorący udział w wysiedleniach polskiej ludności cywilnej.

Jesienią 1943 r. liczba ataków na posterunki policji ukraińskiej skokowo wzrosła. Jednak akcje te można uznać za walkę ze strukturami niemieckiego aparatu okupacyjnego, ponieważ policja ukraińska, podobnie jak polska, stanowiła część niemieckiej Ordnungspolizei (policji porządkowej). Nie zawsze, co pokazał przykład Bukowiny, zwalczanie formacji porządkowych było jedynym celem polskiego podziemia. O tym, że tak nie było, przekonuje przypadek wsi Mołodiatycze, gdzie oddział AK (w książce błędnie wskazana została przynależność organizacyjna oddziału do BCh), dowodzony przez ppor. Józefa Śmiecha „Ciąga", zabił co najmniej 16 ukraińskich cywilów (w książce mowa jest o 13 ofiarach), w tym kobiet i dzieci. Polskie podziemie co prawda atakowało także posterunki policji polskiej, ale liczba ofiar tych akcji, szczególnie jeśli chodzi o funkcjonariuszy, była mniejsza niż w przypadku ataków na posterunki UHP (Ukrainische Hilfspolizei), nie mówiąc już o rzadkich przypadkach śmierci cywilów.

Jakiw Halczewski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SZRU.GOV.UA

Należy podkreślić, że wzajemne atakowanie się Polaków i Ukraińców, co w okresie wrzesień 1943 r.–marzec 1944 r. miało miejsce 153 razy, autorzy książki, posiłkując się dokumentacją niemiecką, uznali w zdecydowanej większości za napady o charakterze kryminalnym (oszacowano, że stanowiły one aż 85 proc. ogólnej liczby ataków). Zginęło w nich 41 Ukraińców i 34 Polaków, z czego jedynie zabójstwa 11 Ukraińców i 10 Polaków można zdecydowanie uznać za efekt walk etnicznych. Ta konstatacja pozwala na sformułowanie wniosku, że na terenie okupacyjnego Kreishauptmannschaft Hrubieszów konflikt polsko-ukraiński charakteryzował się umiarkowanym stopniem intensywności. Według obu badaczy daje to podstawy do stwierdzenia, że rozkaz o rozpoczęciu brutalnej akcji antyukraińskiej w powiecie hrubieszowskim w marcu 1944 r. był decyzją pozbawioną jakichkolwiek racjonalnych przesłanek. Ponadto obaj badacze zasugerowali, że antyukraińska operacja miała być formą zamanifestowania polskości i przeciwdziałania potencjalnemu przyłączeniu tych ziem do ZSRS.

A jednak perspektywa możliwej aneksji przez Sowiety północno-wschodnich Kresów Wschodnich RP czy nawet części województwa białostockiego i zasiedlenia tych obszarów przez liczne znajdujące się w stanie konfrontacji z Polakami mniejszości etniczne nie skłoniła tamtejszych struktur AK do tak drastycznych posunięć. Dlaczego zatem inaczej stało się na Chełmszczyźnie? Porównanie z innymi konfliktami międzyetnicznymi każe domniemywać, że plan uderzenia na ukraińskie wsie nie zostałby opracowany w znanej nam formie, gdyby nie wydarzenia na Wołyniu. Napływający stamtąd od początku jesieni 1943 r. uchodźcy opowiadali o horrorze brutalnych mordów dokonywanych na Polakach przez sotnie UPA. Relacje te wytworzyły w głowach wielu konspiratorów przekonanie, że

eprasa.pl ed8b1c50fb

Członkowie Ukrainische Hilfspolizei
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

w walce z Ukraińcami można, a nawet należy wyzbyć się wszelkich ograniczeń i trzeba ją toczyć bezwzględnie.

Walka z „bandami"

Drugą kwestią było subiektywne przekonanie o rosnących siłach ukraińskich i generowanym przez nie zagrożeniu dla polskiej społeczności. I to mimo że podziemie ukraińskie, głównie proweniencji banderowskiej, było na Chełmszczyźnie bardzo rachityczne, a bojówki UNS (Ukraińska Samoobrona Narodowa), prowadzące dość ograniczoną działalność zbrojną, nie były zbyt liczne. OUN-owcy z frakcji banderowskiej skupiali się na działalności w strukturach legalnie istniejących instytucji ukraińskich czy Ukrainische Hilfspolizei, a melnykowcy i petlurowcy działali w Chełmskim Legionie Samoobrony. Członkowie ChLS, słabo uzbrojeni, w raportach AK-owskiego podziemia przedstawiani byli jako czołowa siła stacjonująca w „ufortyfikowanych twierdzach", jak nazywano ukraińskie wsie. Niewielka wartość tych meldunków ujawniona została podczas wydarzeń, które rozegrały się w dniach 9–10 marca 1944 r.

W podobnie nieprawdziwy, jeśli chodzi o kontekst, sposób prezentowano antypolskie działania policji ukraińskiej, Wachmannschaftu z Trawnik, 5. Galicyjskiego Ochotniczego Pułku Policyjnego SS (w Hrubieszowie stacjonował 2. batalion tej jednostki) oraz 31. Schutzmannschaft Bataillon der Sipo (wywodząca się z 14. Dywizji Grenadierów SS „Galizien" Kampfgruppe Bayersdorf na terenie Kreishauptmannschaft Hrubieszów nie przebywała). Jednostki te, złożone z ukraińskich ochotników, znajdowały się pod niemiecką kontrolą (poza policją, która miała możliwości podejmowania działań przeciw Polakom na własną rękę i na zlecenie OUN-B niejednokrotnie to czyniła). Były one dowodzone przez niemieckich oficerów i podlegały niemieckim rozkazom. Kierowano je do walk z polską partyzantką i działań represyjnych wobec ludności cywilnej w ramach tzw. Bandenbekämpfung (walki z „bandami") i nie pozwalano im na angażowanie się w konfrontację polsko-ukraińską.

Agendy Polskiego Państwa Podziemnego nie dostrzegały znaczącej różnicy pomiędzy formacjami realizującymi wytyczne niemieckie a działającą niezależnie banderowską UPA (uważano ją za proniemiecką strukturę kolaboracyjną). Podobnie jako sprzyjającą stronie ukraińskiej postrzegano faktycznie neutralną wobec konfliktu polsko-ukraińskiego politykę niemieckich okupantów. Na bazie tak zdeformowanego obrazu rzeczywistości rosły mityczne siły ukraińskie przygotowujące się do antypolskiej ofensywy. Kiedy zaś pojawiły się na Hrubieszowszczyźnie sotnie wołyńskiej UPA i – tak jak w Prehoryłe 9 lutego 1944 r. – dokonały tam mordów na Polakach, w strukturach AK przyjęto za pewnik przekonanie o poważnym zagrożeniu ze strony Ukraińców. Należy jednak pamiętać, że opinie wyolbrzymiające niebezpieczeństwo ukraińskie formułowane były w czasie ostrego konfliktu, w cieniu realizowanej akcji antypolskiej na Wołyniu, z perspektywą jej ewentualnego przeniesienia na Lubelszczyznę. Wszystko to skłoniło miejscowe dowództwo AK do wyrażenia zgody na drastyczną akcję, czyli pacyfikację wsi ukraińskich, połączoną z eksterminacją ludności cywilnej. Miała ona zastraszyć i sparaliżować stronę ukraińską.

Jak się jednak okazało, szok nie trwał zbyt długo. Już 13 marca 1944 r. bojówki ukraińskie uderzyły na Chorobrów, mordując 33 Polaków i sześciu Ukraińców. W kolejnych akcjach zabito: w Korczowie – siedmiu Polaków, w Dyniskach – 17, w Ulhówku – 14. Najwięcej ofiar zginęło w Tarnoszynie, gdzie zabito 84 osoby (w książce jest podana także inna liczba – 47 zabitych i siedmiu rannych). Trzydziestu trzech Polaków i sześciu Ukraińców zabito w ataku przeprowadzonym w nocy z 14 na 15 marca 1944 r. przez oddział UPA Dmytra Pyłypczuka „Karpa" na dworzec kolejki wąskotorowej w Gozdowie. W sumie w ciągu kilku dni przeprowadzono dziewięć ataków na polskie wsie i jeden atak na wieś ukraińską.

Kolejna faza zainicjowanej przez AK akcji antyukraińskiej miała miejsce w dniach 19–22 marca 1944 r. W jej trakcie śmierć poniosło mniej osób niż w pierwszej fazie, ponieważ ofiar śmiertelnych było w sumie 435. Spalono wówczas 22 wsie ukraińskie i trzy polskie (zniszczone przez UPA). Najtragiczniejszy wymiar przybrała pacyfikacja wsi Bereść – śmierć poniosło tam 237 Ukraińców, a kolejnych 133 zabito w Nowosiółkach. Akcja antyukraińska spowodowała, że na teren Chełmszczyzny przemieściło się kilka sotni UPA z obszaru Galicji Wschodniej, m.in. Dymytra Pełypa „Jewszana", Tarasa Onyszkiewicza „Hałajdy", Iwana Kapały „Brodiahy" oraz Iwna Koziarskiego „Korsaka" (po jego odwołaniu sotnię przejął w maju 1944 r. Wasyl Pełech „Hołub").

eprasa.pl ed8b1c50fb

Natomiast oddziałem powstałym w dużej mierze w oparciu o kadry miejscowe była utworzona w marcu 1944 r. sotnia UPA Mariana Łukasewycza „Jahody", późniejszego komendanta Odcinka Taktycznego „Danyliw". Ukraińscy partyzanci zaatakowali m.in. miejscowości Ulhówek, Dyniska, Wasylów, Łubcze (w tej wsi w gronie 106 ofiar znalazło się 36 Ukraińców, którzy podali się za Polaków) i Rzeczycę, zabijając w nich ponad 500 Polaków (w książce podana jest też liczba 314 zabitych Polaków).

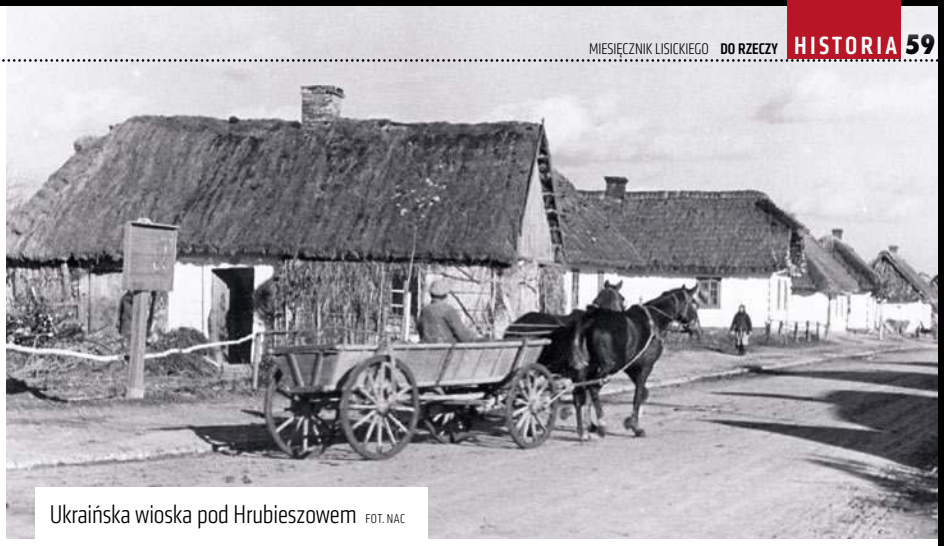
Ukraińska wioska pod Hrubieszowem FOT. NAC

Każdy z każdym

Autorzy publikacji przeanalizowali statystki odnośnie do mordów dokonanych w marcu 1944 r. W tym jednym miesiącu na Hrubieszowszczyźnie liczba zabitych Polaków i Ukraińców wyniosła odpowiednio ponad 500 oraz 2136, a w pięciu dystryktach GG walki przedstawicieli obu narodowości kosztowały w sumie życie 4496 osób. Niemcy w tym samym okresie zabili 1823 ludzi. Natomiast z rąk partyzantek polskiej, ukraińskiej i sowieckiej w GG zginęło 111 żołnierzy Wehrmachtu, 158 niemieckich funkcjonariuszy policji i 126 polskich i ukraińskich policjantów. Te dane obrazują skądinąd oczywisty fakt, że dla polskiego podziemia głównym wrogiem na Hrubieszowszczyźnie byli nie Niemcy, ale Ukraińcy. To pozwoliło okupantom na „luksus" zajęcia pozycji neutralnego obserwatora polsko-ukraińskiej konfrontacji. Jednak taka sytuacja nie była dla nich do końca korzystna, ponieważ anarchia panująca w powiecie utrudniała eksploatację gospodarczą tych terenów.

Franciszek Przysiężniak, „Ojciec Jan" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Pomimo dysponowania relatywnie niewielkimi siłami, które nie pozwalały na pełne opanowanie sytuacji w terenie, Niemcy nie rezygnowali z prowadzenia działań antypartyzanckich. W tym celu powołano do życia Kampfgruppe (Grupę Bojową) Wullbrandt. Jak zawsze w takich sytuacjach nazwa KG pochodziła od nazwiska dowódcy, czyli Hauptmanna (kapitana) Schutzpolizei Ericha Wullbrandta (w książce przedstawiono go błędnie raz jako kapitana SD, a innym razem kapitana Sipo). Wullbrandt w lutym 1944 r. objął dowodzenie nad III Odziałem Konnym Policji SS (w Hrubieszowie stacjonował 3. szwadron tej jednostki). Doszło do tego po tym, jak 14 lutego pod Małkowem w starciu z oddziałem Batalionów Chłopskich kpr. Stanisława Basaja, „Kraski", „Rysia" poległ mjr Alfred Eggert. W skład podległej Wullbrandtowi KG wchodziły oddział ChLS, kompania 5. Galicyjskiego Ochotniczego Pułku Policji SS, kompania ULS, pododdział niemieckiej policji, Wehrmachtu oraz Wachmannschaften z Trawnik. 27 marca 1944 r. wspomniany oddział BCh poniósł poważne straty w walce pod Smoligowem. Dane z niemieckiego meldunku wskazują, że miało tam zginąć 75 „bandytów", a dwie osoby zostały aresztowane. Trzydzieści jeden karabinów przejętych przez KG może świadczyć o tym, że część zabitych była raczej współpracownikami „band" lub po prostu cywilami.

Jednak nie tylko grupa BCh „Rysia" ścierała się z formacjami okupacyjnymi. Także UPA miały na swym koncie takie działania. Efektem potyczki sotni UPA Mariana Łukasewycza „Jahody" i Piotra Łahody „Hromowego" z nieustaloną jednostką Wehrmachtu było rozproszenie obu ukraińskich oddziałów. Te starcia pokazują, że wiosną 1944 r. sytuacja na Hrubieszowszczyźnie, na co zwracają też uwagę autorzy książki, była bardzo skomplikowana. Oddziały UPA walczyły tam z Niemcami i podległymi im jednostkami kolaboracyjnymi, także ukraińskimi (UPA była wrogo nastawiona do znajdującego się pod wpływem melnykowców ULS, z którym prawdopodobnie starła się dwukrotnie), siłami AK i BCh oraz z sowiecką i komunistyczną partyzantką. Polskie podziemie walczyło z Niemcami i jednostkami kolaboracyjnymi oraz z UPA. Niemcy i ich kolaboranci walczyli z kolei z polskim, ukraińskim i sowieckim podziemiem. Była to więc wojna wszystkich ze wszystkimi, choć głównymi ofiarami tej konfrontacji byli cywile.

Pomnik polskich ofiar pacyfikacji w Tarnoszynie FOT. EKSPLORATORZY.COM

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Wywiad / Z Krzysztofem Drozdowskim, historykiem, autorem książki „Medyczne zbrodnie nazistów"

rozmawia Piotr Włoczyk

Brunatne diabły w kitlach

Gmach szkoły przy Bullenhuser Damm w Hamburgu, miejsce zbrodni

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MINDERBINDER

PIOTR WŁOCZYK: „Wśród niezliczonych zbrodni popełnionych przez Niemców podczas reżimu narodowosocjalistycznego morderstwa w piwnicy szkoły przy Bullenhuser Damm są szczególnie haniebnym, szokującym i niezrozumiałym czynem" – mówił w 2022 r. prezydent RFN Frank-Walter Steinmeier. Dlaczego ta grupa 20 żydowskich dzieci została zabita w tak makabrycznych okolicznościach?

KRZYSZTOF DROZDOWSKI: Pytanie „Dlaczego?" towarzyszyło mi w trakcie całego procesu pisania tej książki. „Bo mogli" – to najbardziej banalna, ale jednocześnie najbardziej dramatyczna odpowiedź, jaką można dać. Niemcy mogli zabić te dzieci, bo byli pewni, że nie spotka ich za to żadna kara, mieli też przeświadczenie, że robią coś dobrego dla swojej ojczyzny. Pomimo wielu okrucieństw, do których doszło w trakcie wojny i które opisuję w mojej książce, ta zbrodnia wydaje mi się najgorsza. I tu w pełni się zgadzam ze słowami prezydenta Steinmeiera.

Do czego Niemcy wykorzystali te dzieci?

Wszystko zaczęło się od dr. Kurta Heissmeyera, niemieckiego lekarza SS i członka elity medycznej III Rzeszy, marzącego o zdobyciu tytułu profesora za sprawą badań nad gruźlicą. Heissmeyer, nie mając żadnego naukowego przygotowania w zakresie badań nad tą chorobą, opracował własną teorię. Jego zdaniem gruźlica miała być chorobą głównie dziedziczną, a nie zakaźną. Wierzył, że uda mu się ją zwalczyć poprzez sztuczne wywoływanie odporności u osób zdrowych. W celu „udowodnienia" swoich pseudonaukowych tez potrzebował do eksperymentów żywych ludzi, najlepiej dzieci, które były całkowicie bezbronne.

Heissmeyer infekował je żywymi prątkami gruźlicy, które wstrzykiwał im w płuca, węzły chłonne i mięśnie ramion oraz klatki piersiowej. Nie stosował przy tym żadnych środków znieczulających ani leków. Dzieci cierpiały, chorowały, miały gorączkę, kaszel, duszności, pojawiały się rany i ogromny ból... Ich organizmy wyniszczała nie tylko choroba, lecz także głód, stres i izolacja. Pod koniec kwietnia 1945 r., gdy zbliżała się już Armia Czerwona, Niemcy dzieci najpierw uśpili, a następnie powiesili.

Okrutne eksperymenty dokonywane w Auschwitz są dosyć dobrze znane opinii publicznej. Czy inne niemieckie obozy „dorobiły się" swoich własnych doktorów Mengele?

Niemal w każdym obozie dochodziło do różnych eksperymentów i doświadczeń na ludziach. Jednakże tylko w kilku z nich, m.in. w Auschwitz, Dachau i Buchenwaldzie, eksperymenty były prowadzone oficjalnie na zlecenie SS lub Luftwaffe. Przykładowo w Stutthof również dochodziło do pewnych eksperymentów, ale przeprowadzali je

eprasa.pl ed8b1c50fb

na własną rękę służący tam lekarze. Ci medycy dowiadywali się o różnych eksperymentach w trakcie organizowanych co pewien czas specjalnych konferencji i sami chcieli włączyć się do „badań". Pamiętajmy, że wówczas praktycznie otwarcie omawiano w niemieckim środowisku medycznym przeróżne badania prowadzone na „obiektach". Tak właśnie nazywano ofiary eksperymentów, bo przecież Niemcy uważali, że Słowianie czy Żydzi to właściwie zwierzęta, i odmawiali im ludzkich przymiotów. Tak więc inne obozy również miały swoich doktorów Mengele. Chociaż ja osobiście uważam, że nie powinniśmy ich w ten sposób określać. Przez to, że mówimy, iż jakiś lekarz był np. Mengele z Dachau, to gdzieś rozmywa się jego nazwisko, a co za tym idzie – jego osobista odpowiedzialność.

Od czego tak naprawdę zaczął się cały ten koszmar? Niemieckie Towarzystwo Higieny Ras powstało przecież długo przed przejęciem władzy przez Hitlera.

Śmiało można powiedzieć, że początku możemy upatrywać jeszcze za czasów kanclerza Bismarcka, czyli w drugiej połowie XIX w. Doszło wówczas do istnego wysypu chorych teorii rasowych. Powstawało wtedy mnóstwo różnego rodzaju towarzystw, często o podłożu mistycznym czy ezoterycznym, których członkowie starali się udowodnić wszystkim dokoła swoją wielkość, zwłaszcza kosztem innych narodów. Domagano się też Lebensraumu, czyli przestrzeni życiowej na Wschodzie. A skoro naród niemiecki miał być silny i miał pretendować do władzy nad światem, a przynajmniej nad Europą, to oczywiste było, że członkowie narodu też musieli być silni. A najlepiej wzmocnić organizm, pozbywając się „wrzodów". Za takie „wrzody" zaczęto uważać osoby kalekie, niepełnosprawne, chore umysłowo czy też cierpiące na przewlekłe choroby, zwłaszcza jeśli były one dziedziczne. Po dojściu do władzy Hitlera kontynuowano prace nad tymi teoriami, ale zaczęto też dążyć do tego, by w końcu przekuć je w czyn.

I tu pojawia się tragiczna postać Gerharda Herberta Kretschmera.

Do kancelarii Hitlera przyszedł list rodziców dziecka, które według różnych

Kurt Heissmeyer

FOT. KINDER-VOM-BULLENHUSER-DAMM.DE

przekazów miało się urodzić niewidome oraz bez jednej nogi i ręki, będąc zarazem „idiotą" – tak wówczas określano chorych psychicznie. Rodzice prosili o przeprowadzenie eutanazji na ich nowo narodzonym dziecku. Hitler nakazał zbadanie sprawy i przychylenie się do prośby rodziców, jeśli przekazane przez nich informacje się potwierdzą. Co ciekawe, jeszcze wiele lat po wojnie ojciec dziecka wychwalał Hitlera za tę decyzję. Sprawa małego Kretschmera była momentem przełomowym we wprowadzaniu programu eutanazji osób uznanych za obciążenie dla pretendującego do wielkości narodu niemieckiego.

Wydawałoby się, że eutanazja i okrutne eksperymenty medyczne to dwa odrębne zagadnienia. A jednak wygląda na to, że w III Rzeszy istniał między nimi związek...

Oba tematy były ze sobą bardzo ściśle powiązane. Eutanazja, ukryta pod nazwą akcji T4, była z jednej strony programem „oczyszczania" narodu ze słabych jednostek, a z drugiej strony testem dla niemieckiego społeczeństwa. Jeśli ludzie sprzeciwiliby się zabijaniu w majestacie prawa, to hitlerowcy musieliby ustąpić, cofnąć się, powszechny bunt mógłby nawet obalić ich władzę. Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Niemcy milczeli, a więc dawali przyzwolenie na zabijanie najpierw dzieci, a potem także dorosłych. Program eutanazji był więc wstępem do Holokaustu. Bo jeśli Niemcy nie buntowali się przeciwko zabijaniu własnych rodaków, to dlaczego mieliby protestować przeciwko zabijaniu Żydów, których goebbelsowska propaganda przedstawiała w postaci szczurów i insektów, co miało wzbudzić w Niemcach odrazę i naturalną potrzebę unicestwienia „robactwa"?

I ostatecznie to wszystko pozwoliło również na prowadzenie zbrodniczych eksperymentów medycznych na ludziach. Widać więc wyraźnie, że te kwestie były ze sobą ściśle powiązane. Jedna decyzja i jedno działanie skutkowały dalszym przesuwaniem granic. A Niemcy cały czas milczeli...

Czy to szef SS był głównym „patronem" eksperymentów?

Zdecydowanie tak, z tym że roli Himmlera nie można ograniczać jedynie do udzielania „patronatu". Często to on był postacią inicjującą różne badania. I pilnował, by wszystko działo się zgodnie z jego urojonymi wizjami. Według zarządzeń Himmlera wszelkie decyzje dotyczące wykorzystania więźniów do eksperymentów musiały przejść przez jego ręce. Oczywiście nie po to, by mógł je odrzucić jako niemoralne i zbrodnicze. Nic z tych rzeczy. Po prostu był biurokratą, wręcz technokratą, i musiał mieć kontrolę nad wszystkim, co się działo w obozach. A że zdecydowana większość lekarzy, którzy dopuszczali się tych medycznych zbrodni, była funkcjonariuszami SS, Himmler chciał mieć pełną kontrolę nad ich działaniami.

Hitler też interesował się żywo takimi tematami?

Od samego początku, czyli od momentu rozpoczęcia akcji T4, Hitler

Pomnik zamordowanych dzieci

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HOLGERJAN

eprasa.pl ed8b1c50fb

Plakat oswajający Niemców z eutanazją chorych psychicznie jako metodą pomniejszania kosztów budżetu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, USHMM

doskonale się we wszystkim orientował. Jak Piłat umywał jednak od tego ręce, dlatego potrzebny mu był dr Karl Brandt, który nawet jak na zdegenerowanych Niemców był obrzydliwą kreaturą. To Brandt był pośrednikiem pomiędzy lekarzami w obozach koncentracyjnych a Hitlerem.

Hitler nie był jednak gotów pójść na „całość". Świadczy o tym fakt, że w Pokrzywnie pod Poznaniem – dziś to część tego miasta – Niemcy utworzyli na terenie klasztoru Instytut Walki z Rakiem, choć przecież z żadnym rakiem tam nie walczono...

Nazwa była kamuflażem dla miejsca, w którym badano różne typy gazów bojowych. Hitler był ich przeciwnikiem od czasów pierwszej wojny światowej, kiedy to wszedł w chmurę gazową i oślepł na kilka dni. Od tego czasu bał się tego rodzaju broni, gdyż zdawał sobie sprawę, że bywa ona obosieczna – nie da się jej w pełni kontrolować. Zmiana wiatru może doprowadzić do tragedii we własnych szeregach, dlatego zakazał użycia na froncie takiej broni. Kamuflaż ośrodka w Pokrzywnie z jednej strony chronił niemiecki program badań nad gazami bojowymi przed obcymi wywiadami, a z drugiej strony – przed samym Hitlerem, który nie chciał o takich rzeczach słyszeć.

Co przede wszystkim interesowało niemieckich badaczy, którzy przeprowadzali na więźniach nieludzkie eksperymenty?

Przeważnie starano się uzyskać odpowiedzi na zagadnienia związane z wojskiem. Stąd eksperymenty z wysokimi ciśnieniami, piciem słonej wody czy też przebywaniem w lodowatej wodzie. To najbardziej znane eksperymenty, ale były też te związane ze środkami zakrzepowymi, gdzie po strzeleniu do człowieka i podaniu odpowiedniej tabletki sprawdzano, czy dojdzie do zakrzepu krwi czy nie. Nieludzkie badania ze szczepionką na tyfus czy malarię również odgrywały taką rolę.

Ale były też eksperymenty, które możemy określić jako czysto ideologiczne. Mam na myśli próby sterylizacji kobiet promieniami Roentgena czy też wszczepianie homoseksualistom specjalnych gruczołów z testosteronem, tak by „przywrócić" ich niemieckiemu społeczeństwu.

Eksperymentowano również z gazem areginalem, który miał być zamiennikiem dla cyklonu B. Jednakże jego użycie okazało się bardziej kłopotliwe, a sam gaz mniej „wydajny", co jest eufemizmem dla stwierdzenia, że należało użyć większej jego dawki, by zabić taką samą liczbę ludzi.

Dlaczego Niemcy zarażali więźniów malarią? Aż tak daleko sięgały ambicje imperialne Niemiec?

Malaria była i jest jedną z najpowszechniejszych chorób pasożytniczych. Co prawda, występuje ona gównie na obszarach tropikalnych, ale przecież Niemcy walczyli w Afryce Północnej. Docelowo oddziały Afrika Korps miały iść na Bliski Wschód, gdzie miały się połączyć z jednostkami przemieszczającymi się z Europy. Dodatkowo niemieccy żołnierze mogli mieć styczność z zarażonymi żołnierzami wroga. Przecież w trakcie wojny amerykańscy żołnierze masowo zarażali się tą chorobą. Nietrudno więc było przenieść epidemię na tereny europejskie. Dlatego Amerykanie prowadzili eksperymenty nad malarią znacznie wcześniej od Niemców, co też ci wytknęli im w trakcie procesów norymberskich. Ale wiadomo – zwycięzców się nie sądzi. Niemieckim eksperymentom w tej materii przewodził dr Claus Schilling, który testował aż 69 odmian malarii. Zaraził ponad tysiąc więźniów, z których połowa zmarła, a ci, którzy przeżyli, do końca życia zmagali się powikłaniami. Co ciekawe, eksperymenty z malarią miały jeszcze jeden cel – stricte militarny. Niemcy chcieli zarażać komary malarią i rozrzucać je nad terytorium wroga.

Jak w ogóle mówić o tym temacie? To były zbrodnie medyczne czy pseudomedyczne?

Najlepiej mówić o tym głośno i wyraźnie. Ja w książce używam określenia „eksperymenty medyczne" i robię to z pełną odpowiedzialnością. Niemcy tak właśnie je traktowali. Jako medyczne i naukowe eksperymenty. Wierzyli, że dzięki nim uzyskają naukowe dowody na poparcie lub odrzucenie swoich tez. Wierzyli też, że dzięki swojej pracy i eksperymentom przysłużą się ojczyźnie, która była na wojnie. Traktowali swoją pracę w obozach koncentracyjnych tak samo poważnie jak żołnierze na froncie. Niemieccy lekarze, ludzie wykształceni, niesłychanie inteligentni, okazali się zbrodniarzami. Ale żaden z nich nie określiłby siebie samego w ten sposób. Dla nich to była nauka w czystej postaci. Warunki, które im zapewniono, pozwoliły na sprawdzenie teorii w praktyce. Wcześniej, przed wojną, mogli jedynie dywagować na uniwersytetach na temat pewnych ludzkich zachowań i reakcji organizmu. W trakcie wojny nie musieli już tylko teoretyzować. Mogli zwyczajnie sprawdzić każdą, nawet najmniej rozsądną teorię. Liczba zamordowanych w ten sposób więźniów nie miała znaczenia. Ludzie byli dla nich królikami doświadczalnymi.

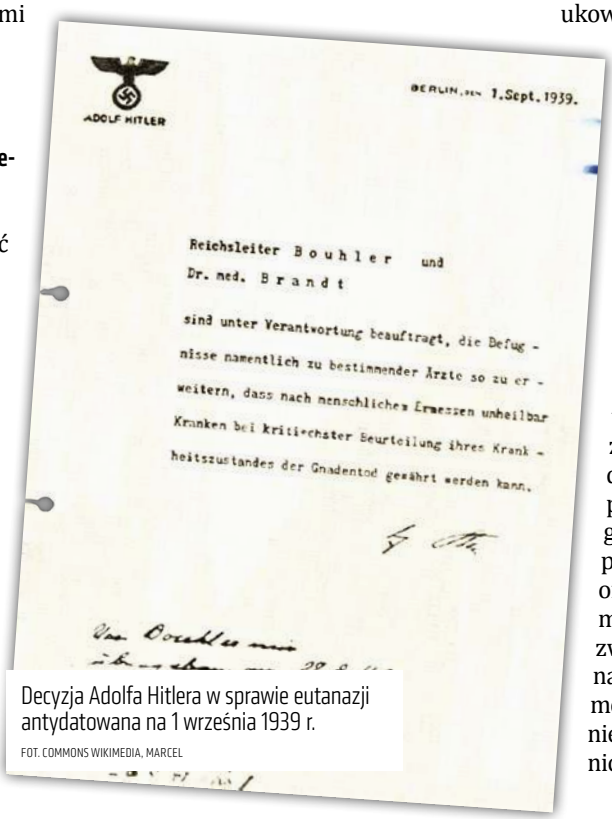
ADOLF HITLER

BERLIN, den 1.Sept.1939.

Reichsleiter Bouhler und
Dr. med. Brandt

sind unter Verantwortung beauftragt, die Befugnisse namentlich zu bestimmender Ärzte so zu erweitern, dass nach menschlichem Ermessen unheilbar Kranken bei kritischster Beurteilung ihres Krankheitszustandes der Gnadentod gewährt werden kann.

Decyzja Adolfa Hitlera w sprawie eutanazji antydatowana na 1 września 1939 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARCEL

eprasa.pl ed8b1c50fb

Czy wiemy już wszystko o tych zbrodniach?

Zdecydowanie nie! W ostatnim czasie zarówno w Polsce, jak i w Niemczech ukazało się dość dużo książek o niemieckich eksperymentach medycznych. Jednakże wiele z nich jedynie powtarza informacje już opisane, ubierając je w bardziej sensacyjny ton. Dlatego gdy dostałem od wydawcy propozycję zajęcia się tym tematem, początkowo byłem sceptyczny. Pomyślałem: Co nowego da się tu jeszcze napisać? Zanim odpowiedziałem wydawcy, rozpocząłem kwerendę archiwalną m.in. w Instytucie Pamięci Narodowej, a zwłaszcza w Bundesarchiv. I nagle się okazało, że znalazłem ponad 300 teczek dokumentujących niemieckie eksperymenty medyczne, które nie zostały dotąd wykorzystane. Mało tego, nawet ja nie użyłem w swojej książce wszystkich znalezionych informacji. Dopiero wiedząc, co mam w ręku, zdecydowałem się na napisanie tej książki.

Więzień obozu w Dachau poddany eksperymentowi na potrzeby Luftwaffe

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SIGMUND RASHER COLLECTIONS/USHMM

Również Japończycy prowadzili w trakcie wojny bestialskie eksperymenty na więźniach. Tokio powołało nawet w tym celu specjalną instytucję, która do historii przeszła jako Jednostka 731. Z wyników japońskich zbrodniarzy w kitlach pełnymi garściami czerpali po wojnie... Amerykanie. Czy podobnie wyglądała sytuacja w Europie?

Tak, Amerykanie korzystali z rezultatów nieludzkich badań prowadzonych przez Niemców w czasie wojny. Specjaliści z USA przyznawali, że niektóre eksperymenty dały im wiele wiedzy praktycznej. Sami nie odważyliby się na takie działania, ale skoro już zostały one przeprowadzone, to – jak uznali Amerykanie – nie można było pozwolić na to, by wyniki się zmarnowały. Dopiero po pewnym czasie doszło do zmiany stanowiska w tym temacie. Oficjalnie ogłoszono, że wszystkie eksperymenty były pseudomedyczne i niczego nie wniosły do wiedzy medycznej. Według mnie była to jednak tylko zasłona dymna, spowodowana rosnącym zainteresowaniem tym tematem i pojawiającymi się ze strony ofiar i ich rodzin żądaniami wymierzenia sprawiedliwości.

Czy koszmar niemieckich zbrodni medycznych na pewno skończył się wraz z upadkiem III Rzeszy? W swojej książce opisuje pan, jak tuż po wojnie część niemieckich lekarzy chciała wracać do iście koszmarnych rozwiązań...

Wprowadzona w okresie istnienia III Rzeszy ustawa o sterylizacji pozostała po wojnie częściowo w mocy. Choć trudno w to uwierzyć, to w latach 50. przedstawiciele niemieckiego środowiska medycznego domagali się wręcz jej pełnego przywrócenia, do czego jednak nie doszło. Bundestag potępił te przepisy dopiero w 1957 r.

Jak wielu spośród odpowiedzialnych za zbrodnie medyczne poniosło po wojnie karę?

Tylko nieliczni lekarze zbrodniarze usłyszeli wyroki. Podobnie wyglądała sprawa z ludźmi kierującymi Instytutem Higieny Waffen-SS, którzy wydawali zgody i decyzje w kwestii wykorzystania więźniów czy przekazywania potrzebnych narzędzi itd. W niektórych, zwłaszcza polskich, publikacjach możemy znaleźć informacje, że ok. 300 niemieckich lekarzy odpowiadało za zbrodnie medyczne. W rzeczywistości było ich dużo więcej. Ponad 90 proc. spośród tych lekarzy należało do SS... To była elita w ramach – nazistowskiej – elity. Ci ludzie czuli się wybrańcami narodu, a pełniąc służbę w obozach koncentracyjnych, uważali się wręcz za bogów. Ale przecież oprócz lekarzy w tych eksperymentach brali też udział m.in. pielęgniarze i pielęgniarki, salowe, oddziałowe itd. Już od momentu rozpoczęcia akcji T4 te wszystkie osoby były zaangażowane w zbrodniczą działalność. Oczywiście lekarze w obozach koncentracyjnych to ci najbardziej wyrachowani karierowicze, najbardziej zbrodnicze elementy tego systemu i to o nich głównie rozmawiamy. Nie możemy jednak zapominać o całej niemieckiej służbie zdrowia, która ze zdrowiem nie miała wówczas wiele wspólnego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

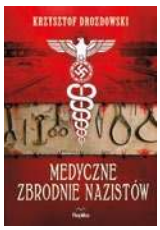

KRZYSZTOF DROZDOWSKI „MEDYCZNE ZBRODNIE NAZISTÓW"
REPLIKA

Krzysztof Drozdowski jest historykiem, autorem licznych prac na temat drugiej wojny światowej. W księgarniach właśnie ukazała się jego najnowsza książka pt. „Medyczne zbrodnie nazistów".

eprasa.pl ed8b1c50fb

FOT. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA/EAST NEWS

Lata 1920–1986 / Anna Kamieńska

Tak się śpieszyła

eprasa.pl ed8b1c50fb

Krzysztof Masłoń

Po śmierci męża poetka stwierdziła: „Szukałam umarłego, a znalazłam Boga". Ksiądz Twardowski nie nawracał jej. Zrozpaczona po śmierci męża sama odnalazła Boga

To jej ks. Jan Twardowski zadedykował najsłynniejszy swój wiersz „Śpieszmy się". W dziewiątej dekadzie zeszłego wieku Polacy znali go na pamięć (no, powiedzmy, że dwa pierwsze wersy), ale że lata lecą, a narodowa amnezja postępuje w zastraszającym tempie, przypomnijmy ten utwór w całości:

Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą
zostaną po nich buty i telefon głuchy
tylko to co nieważne jak krowa się wlecze
najważniejsze tak prędkie że nagle się staje
potem cisza normalna więc całkiem nieznośna
jak czystość urodzona najprościej z rozpaczy
kiedy myślimy o kimś zostając bez niego
Nie bądź pewny że czas masz bo pewność niepewna
zabiera nam wrażliwość tak jak każde szczęście
przychodzi jednocześnie jak patos i humor
jak dwie namiętności wciąż słabsze od jednej
tak szybko stąd odchodzą jak drozd milkną w lipcu
jak dźwięk trochę niezgrabny lub jak suchy ukłon
żeby widzieć naprawdę zamykają oczy
chociaż większym ryzykiem rodzić się niż umrzeć
kochamy wciąż za mało i stale za późno
Nie pisz o tym zbyt często lecz pisz raz na zawsze
a będziesz tak jak delfin łagodny i mocny
Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą
i ci co nie odchodzą nie zawsze powrócą
i nigdy nie wiadomo mówiąc o miłości
czy pierwsza jest ostatnią czy ostatnia pierwszą.

Autor wiersza wspominał: „»Śpieszmy się« zadedykowałem Annie Kamieńskiej, z którą łączyła mnie wielka przyjaźń w ostatnich latach jej życia. Jego przesłanie zmieniła niespodziewanie śmierć poetki, przyjmowany jest zwykle jak utwór poświęcony zmarłej. Było jednak inaczej. Kamieńska bardzo przeżywała śmierć swego męża [...]. Wszystko to powracało w naszych rozmowach, wędrówkach po cmentarzu Powązkowskim, po kolejnych pogrzebach. Stąd powstał ten wiersz, który w niedługim czasie nabrał innego znaczenia. Nie mogłem myśleć o śmierci Anny Kamieńskiej, kiedy go pisałem, chciałem jej pomóc w trudnym dla niej okresie".

W istocie dopiero po śmierci poetki rzeczywiście zaczęto łączyć ją z tym utworem, czyli 15 lat po jego pierwodruku mającym miejsce w „Tygodniku Powszechnym" w 1971 r.

Mało kto wie, że adresatka wiersza poetycko na niego odpowiedziała wierszem „Puste miejsce":

Nikogo nie zdążyłam kochać
choć tak się spieszyłam
jakbym musiała kochać tylko puste miejsca
zwisające rękawy bez objęcia ramion
opuszczony przez głowę beret
Fotel który powinien także wstać i wyjść z pokoju
książki już niedotykane
grzebień z pozostawionym srebrnym włosem
łóżeczka z których niemowlęta wyrosły i poszły
szuflady niepotrzebnych rzeczy
fajkę z ustnikiem pogryzionym
buty zachowujące kształt stopy
co odeszła boso
słuchawkę telefonu gdzie ogłuchły głosy
tak się śpieszyłam kochać
i oczywiście nie zdążyłam.

Kłaść przęsła mostów

Pochodziła z Lubelszczyzny. Na świat przyszła w 1920 r. w Krasnymstawie, była córką urzędnika Tadeusza Kamieńskiego i Marii z Cękalskich. Przed wojną uczyła się w Liceum Pedagogicznym w Warszawie, okupację przetrwała w Lublinie, uczestnicząc w tajnym nauczaniu. Skończyła konspiracyjne liceum humanistyczne i zdawała egzaminy na polonistyce na podziemnym Uniwersytecie Warszawskim. Po wojnie studiowała filologię klasyczną na KUL w Lublinie i na Uniwersytecie Łódzkim.

Barierę druku pokonała już w 1936 r., publikując w „Płomyczku" pod patronatem świetnego, także związanego z Lublinem poety Józefa Czechowicza. – Okupacja to był okres intensywnego

Anna Kamieńska z mężem Janem Śpiewakiem i synami

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl ed8b1c50fb

przygotowywania się do twórczości. Spotykałam się z kolegami, z Julią Hartwig czy Zygmuntem Kałużyńskim, pokazywaliśmy sobie swoje utwory – wspominała po latach przed mikrofonem Polskiego Radia.

Pierwszy utwór poetycki, będący jej właściwym debiutem, opublikowała w roku 1945 w tygodniku „Wieś", w którym pracowała do 1953 r., zamieszczając tam, także pod pseudonimem, liczne utwory poetyckie, recenzje i artykuły.

W roku 1948 wyszła za mąż za urodzonego na Ukrainie lewicowego poetę Jana Śpiewaka. Po zadeklarowaniu socrealizmu spod jej pióra wyszły, niestety, i takie wiersze jak „Pisarzom jadącym na Śląsk":

trzeba z węgla śląskiego, z książek,
nawet z wyznań miłosnych
kłaść przęsła mostów nad państwami Europy.

Na szczęście tego rodzaju poetyckich wypracowań sporządzanych na wzór tego samego szablonu nie pozostawiła po sobie zbyt wielu, a i nie tak znaczących jak te, które przytrafiły się wielu innym ówczesnym ulubieńcom muz. Także jej małżonkowi, Janowi Śpiewakowi, którego dziełem jest m.in. „Rozmowa z Przyjacielem" z takim wskazaniem: „– to jest Stalin. / Ty widzisz Jego wzrok, to radość". I tak dalej, i tym podobne.

Każde z nich zajmowało się swoją twórczością, ale niekiedy pracowali na cztery ręce, co dotyczy przede wszystkim przekładów. Wspólnie tłumaczyli dramaty Maksyma Gorkiego i komedie Leonida Leonowa, jak również wiersze Tiutczewa i Chlebnikowa. Już wyłącznie na własne konto zapisać mogła liczne przekłady z wielu języków, poza rosyjskim, m.in. z bułgarskiego, słowackiego, serbsko-chorwackiego, a także z łacińskiego („Przemiany" Owidiusza), a nawet z hebrajskiego („Z mądrości Talmudu"). A po latach, już w całkiem innej dla siebie epoce, otrzymała Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka za przekład „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa" Tomasza à Kempisa.

Dużo pisała dla dzieci („Rozalka Olaboga"), systematycznie publikując w czasopismach dla nich przeznaczonych. Ale współpracowała stale z wieloma bardzo znaczącymi tytułami, m.in. z „Nową Kulturą", w której redagowała dział poezji, z „Życiem Literackim" i „Twórczością". Niezależnie bowiem od wszystkich jej zajęć – powiedzmy – okołoliterackich, pracy nad różnymi antologiami czy wyborami najważniejsze były dla niej jej własne wiersze.

Być choćby pyłem

Po 1956 r. poetka potrafiła odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Kolejno ukazywały się jej zbiory poezji, jak choćby „Pod chmurami" (1957), z którego pochodzi wiersz napisany po samobójczej śmierci Jana Lechonia w Nowym Jorku:

W tej ojczyźnie tak gorzkiej, że zarówno dławi
Niewiedza o niej, jak i wiedza doskonała,
W tej ojczyźnie wulgarnej niby ścisk w tramwaju,
Która się w piersi tłucze – kukułka natrętna.
W tej ojczyźnie, o której zapomnieć nie można,
Którą ci grzmot przywoła lub gwałtowne słowo,
Lub nagła nuta w krzyku obcego przedmieścia
I pochwyci za gardło, i strąci binokle,
Że oślepły zatańczysz jak od alkoholu –
Od bólu; w tej ojczyźnie, gdzie pola kwitnące
Pod Sieradzem, w ojczyźnie, gdzie Wisła i Warta
Tej mowy, w którą płyną wszystkie nasze rytmy,
W tej ojczyźnie pochmurnej jak pogorzelisko
Drogiego domu, co gdy bez nas uprzątnięte,
Żadnych pod świeżym piaskiem pamiątek nie chowa –
W tej ojczyźnie – być choćby pyłem unoszonym
Nad łąką, choć ziarnkiem dmuchawca
W małym samolociku jadącym, choć żwirem
Osuwającym się po dnie strumienia, choć – łzą...

Podobnie dobrych wierszy będzie w jej dorobku więcej i zapiszą się one w pamięci czytelników kolejno ukazujących się tomów, m.in. „W oku ptaka" (1960), „Źródła" (1962), „Odwołanie mitu" (1967). W tym samym roku, dwa dni przed Wigilią, umrze na raka mąż poetki.

Magdalena Grzebałkowska w biografii Jana Twardowskiego „Ksiądz Paradoks" pisze: „Jan Śpiewak zachorował na raka pod koniec lat sześćdziesiątych. Ksiądz Twardowski odwiedzał go w szpitalu. Był też dzień przed śmiercią.

Wspominał: Dowiedziałem się, że był ochrzczony. Namaściłem go olejami świętymi i udzieliłem rozgrzeszenia. Następnego dnia umarł.

Kamieńska zanotowała trzy lata później: »Janek leżał na łożu śmierci, już nieprzytomny. Ksiądz Jan Twardowski modlił się przy Nim półgłosem. Gdy ksiądz wyszedł, Janek obudził się i powiedział nagle wyraźnie: – Ksiądz się modlił. Jestem szczęśliwy«.

I to był początek prawdziwej przyjaźni z Kamieńską".

A poznali się dużo wcześniej, bo w połowie lat 50., gdy ks. Jan Twardowski po raz pierwszy trafił do mieszkania Kamieńskiej i Śpiewaka. Zainteresowany był nabyciem tomu wierszy Józefa Czechowicza, swego ukochanego poety sprzed wojny. Te wydane w Czytelniku „Wiersze wybrane" opracował Śpiewak do spółki z Sewerynem Pollakiem.

„Poezji Kamieńskiej i Śpiewaka nie znał za dobrze – pisze Grzebałkowska. – Oni pewnie też nie czytali dotąd jego wierszy.

Powiedzieli mu, że są ateistami i że jest pierwszym księdzem w Warszawie, którego poznali osobiście. Jan Śpiewak dodał, że jest Żydem z niepraktykującej rodziny. Nie przyznał wtedy, że został kiedyś ochrzczony. Ksiądz poznał Janka i Pawła, synów Anny i Jana, małych chłopców w łóżkach ze szczebelkami.

Pożegnał się. Pierwsze wizyty powinny być krótkie.

Mówi Paweł Śpiewak, syn: »Mama była wojującą ateistką, postępową, liberalno-progresywną. Ojciec, nawet jak był niewierzący, nawet jak był ateistą, to i tak bił się z Bogiem«.

Twardowski i Śpiewakowie widywali się czasem. Raczej wtedy nie rozmawiali o Bogu, chyba bardziej o przyrodzie. Anna znała się na ptakach, prowadziła zielnik, przedstawiła księdzu przyrodnika Gustawa Wuttkego".

Rozpacz, bunt i nadzieja

Po śmierci męża poetka stwierdziła: „Szukałam umarłego, a znalazłam Boga". Ksiądz Twardowski nie nawracał jej. Zrozpaczona po śmierci męża sama odnalazła Boga. Niewątpliwie miał też znaczenie fakt, że niezależnie od wszystkich swoich wcześniejszych deklaracji wychowana była w tradycji chrześcijańskiej, a wiarą nigdy nie przestała się interesować. I pisała: „Może mój długi okres ateizmu był potrzebny. Była to żmudna i powolna droga [...]. Nie powinnam się wyrzekać tego okresu. Za łatwo wyrze-

eprasa.pl ed8b1c50fb

kamy się wszystkiego, nawet siebie".

Wysyłał jej krótkie listy na odwrocie starych kart pocztowych, ona słała mu długie epistoły. W końcu życia ich relacje osłabły. Ksiądz Jan po latach powiedział: „Poznała również innych księży. Przy końcu nie miała dla mnie czasu. Każda znajomość powoli wygasa". Ale nie zapominali o sobie.

Nawróciła się w poszukiwaniu Boga, została tercjarką dominikańską, jeździła z wykładami do seminariów. Od 1973 r. współpracowała z miesięcznikiem „W Drodze", ogłaszając tam m.in. cykl „Notatnik", przekłady z Biblii, m.in. Księgę Koheleta, psalmy. Od 1975 r. uczestniczyła w Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej. W grudniu tegoż samego roku podpisała protest przeciwko planowanym zmianom w Konstytucji PRL („List 59"), a w sierpniu 1980 r. apel 64 uczonych, pisarzy i publicystów o podjęcie przez władze dialogu ze strajkującymi robotnikami.

Coraz mocniej angażowała się w działania opozycyjne, coraz bliżej była Kościoła, w tamtym czasie będącego – w co trudno uwierzyć hołocie obrzucającej dziś kamieniami świątynie, a zniewagami księży – ostoją nie tylko ludzi wierzących, lecz także wszystkich, którym drogie były ideały wolności. Na stan wojenny Anna Kamieńska odpowiedziała wierszami takimi jak „Stabat Mater":

Pod tym krzyżem, gdzie rozdarta
umierała w nocy Polska
w lodach Wisły w śniegu grudnia stała
Matka Częstochowska.
W tłumie matek popychana, osiwiała,
ledwie żywa
pod tą bramą, pod tym krzyżem stała
Matka Boleściwa.
Okutana szatą z lodu, poczerniała
i milcząca
Solidarnie z ludem swoim stała Matka
Bolejąca.

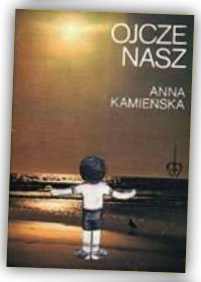

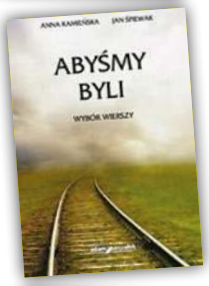

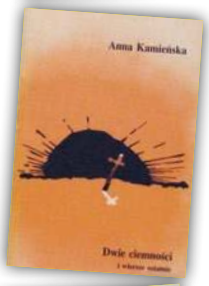

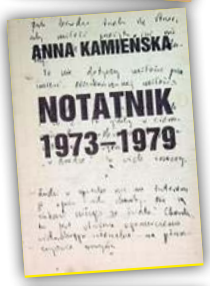

Zatrwożona i bezsenna jak dziś każda
z polskich matek
Przytuliła nas do serca, gorzko mocząc
łzą opłatek.
Matko nasza, Matko Boża poorana,
cała w troskach
Większą wiarę i nadzieję daj nam Pani
Częstochowska.

Jej późna twórczość towarzyszyła wydarzeniom, które na naszych oczach tworzyły historię. A w wierszu „Przy grobie księdza Jerzego Popiełuszki" [z tomu „Dwie ciemności i wiersze ostatnie" (1989)] prosiła:

Dziś na rękach tłumu kołysany
w każdej łzie odbity po kolei
Księże Jerzy jeszcze mnie wyspowiadaj
z tej rozpaczy buntu i nadziei.

Anna Kamieńska zmarła 12 maja 1986 r. Cztery dni później Wiktor Woroszylski po nabożeństwie żałobnym w warszawskim kościele św. Jacka zapisał w swoim dzienniku: „Zaczął nabożeństwo ksiądz Wiesław [Niewęgłowski], potem głównym celebrantem był Prymas Glemp, który wygłosił homilię; wśród asystujących mu księży oprócz księdza Wiesława byli, o ile dobrze widziałem z daleka, księża Twardowski, Starowieyski i Jacek Salij. Wszyscy mieliśmy poczucie, że Kościół oddał Annie Kamieńskiej wielkie honory".

W swoim „Notatniku" zapisała: „Proszę o taki nekrolog: Z radością przyjęła śmierć. Prosi bliskich o przyjęcie jej śmierci z radością".

Światło w porannej kaplicy

Miała Anna Kamieńska z Janem Śpiewakiem dwóch synów: Jana Leona, przedwcześnie zmarłego w 1988 r. poetę i dziennikarza, organizatora świetnego pisma „Powściągliwość i Praca", i Pawła, zmarłego dwa lata temu socjologa, posła na Sejm V kadencji, wybranego z listy Platformy Obywatelskiej, w latach 2011–2020 dyrektora Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Paweł Śpiewak spoczywa na cmentarzu Żydowskim przy Okopowej, jego matka i brat w mogile na Starych Powązkach, ojciec na cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Wnukiem Anny Kamieńskiej jest syn Pawła Śpiewaka i Heleny Datner, w latach 1999–2000 przewodniczącej Żydowskiej Gminy Wyznaniowej w Warszawie i członkini Rady Naukowej ŻIH – Jan Śpiewak, znany działacz społeczny.

Paweł Śpiewak, którego – jak powiadał – praca w Żydowskim Instytucie Historycznym bardzo zmieniła, utrzymywał, że nie wchodził do żadnego kościoła, w związku z czym nie uważał się za chrześcijanina. Jego matka, autorka podręczników dla dzieci o tym, jak czytać Pismo Święte, przez wiele lat z kościoła nie wychodziła. A w „Modlitwie jesiennej" pisała:

Paweł Śpiewak utrzymywał, że nie wchodził do żadnego kościoła, w związku z czym nie uważał się za chrześcijanina. Jego matka przez

Panie daj mi dni kilka
zdmuchniętych z jesieni
w mojej Ojczyźnie najmniejszej
w krainie dzieciństwa
przez którą przeświecają wiekuistne wzgórza.
Ludzi dobrocią mądrych i prawdziwych
kurhan powstańczy w parku
owoc orzecha na pół podzielony
grad śliwek w sadzie
wianek z dzikiej róży
siwy szal zakonnicy uśmiechniętej
sen krótki
światło w porannej kaplicy
Panie daj mi to
co już dałeś
w modlitwie
wysłuchaj wcześniej
niż wypowiedzianej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Anna Świrszczyńska
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BENEDYKT DORYS

Władysław Sebyła FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Książka miesiąca / Polscy pisarze XX w.

Sylwetki nieoczywiste

Jednych polskich pisarzy znamy bardzo dobrze. Ich nazwiska często pojawiają się w mediach m.in. z okazji rocznic. Innych już nie pamiętamy, a może nawet nigdy o nich nie słyszeliśmy, choć przecież kiedyś, wiele lat temu, mieli znaczący wpływ na polską literaturę, wywołując spory, dyskusje i emocje. Krzysztof Masłoń nie stosuje gradacji, nie osądza, kto był ważniejszy, lepszy, bardziej wpływowy. Autor nie zamieszcza więc swoich szkiców o pisarzach ani według ich rangi, ani też kolejności chronologicznej czy alfabetycznej. Czytelnik może sam ocenić, który z nich jego zdaniem jest ciekawszy, kto pisał lepiej, a kto bardziej patetycznie, kto może zbyt był usłużny wobec słusznie minionej komunistycznej władzy. Bo i tacy przecież byli, choć panegiryki na cześć marksizmu i komunistycznych przywódców stanowiły zazwyczaj tylko skąpą część ich twórczości.

Losy bohaterów książki Krzysztofa Masłonia są nie mniej fascynujące od ich twórczości. A czasami może nawet bardziej, gdyż działalność pozaliteracka niektórych z nich oddziaływała na całą polską kulturę, niekiedy nawet też na politykę, a echa ich aktywności są odczuwalne do dziś, choć nie zdajemy sobie na ogół nawet z tego sprawy.

Eseje Krzysztofa Masłonia są diametralnym przeciwieństwem suchych życiorysów. Na kartach książki kreśli on bowiem niezwykle żywe, fascynujące portrety ludzi z epoki pełnej dramatyzmu i paradoksów, często więzionych, spętanych, ograniczonych komunistyczną cenzurą, z którą jednak niektórzy z nich na wiele sposobów próbowali walczyć. Uciekali się do metafor, hiperboli i bogatej symboliki, by oszukać cenzorów.

Spośród ponad 30 szkiców biograficznych szczególnie godne polecenia są eseje poświęcone Waldemarowi Łysiakowi, Władysławowi Sebyle, Hannie Malewskiej, Annie Świrszczyńskiej, Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu i Januszowi Szpotańskiemu. Wszystkich ich dramatycznie lub nawet tragicznie dotknął komunizm. Szpotański doprowadzał do furii komunistycznych dygnitarzy, więc został za swe satyry skazany na trzy lata więzienia. Malewska była dla nich zbyt dystyngowana i opanowana. Baczyński niesłusznie określony bywał jako „czerwony", bo przecież nie miał z marksizmem absolutnie nic wspólnego. Świrszczyńską po latach także zaszufladkowano, robiąc z niej prekursorkę feminizmu. Brutalnie szczerego, niegryzącego się w język Łysiaka znienawidził „salon" III RP. Sebyła był ofiarą zbrodni katyńskiej; zamordowany został w Charkowie w 1940 r. przez NKWD.

Książka Krzysztofa Masłonia to lektura obowiązkowa dla każdego, komu bliskie są nasza literatura, powikłane losy jej twórców i dzieje najnowsze Polski, w które się wpisali. Dzięki autorowi łatwiej zrozumieć, jak złożone i pełne sprzeczności były minione czasy: czy to odległe lata dwudziestolecia międzywojennego, niemieckiej i sowieckiej okupacji czy też komunistycznej Polski Ludowej, z jej cenzurą.

To już czwarta książka Krzysztofa Masłonia, w której autor przedstawia najważniejszych polskich pisarzy XX w. I zapowiada jeszcze jedną, piątą już książkę, w której pojawią się kolejni wybitni czy choćby warci zapamiętania – z przeróżnych względów – pisarze. Czekamy! ©℗

Anna Szczepańska

KRZYSZTOF MASŁOŃ
„RACHUNEK SUMIENIA"
ZYSK I S-KA

eprasa.pl ed8b1c50fb

Fałsz tysiąclecia

Głównym wydarzeniem artystycznym, którym uczczono tę jakże okrągłą rocznicę, było widowisko gnieźnieńskie: „Milenium Koronacji Bolesława Chrobrego" (wystawiane sześciokrotnie w sierpniu). Niewątpliwie zasługuje ono na solidną recenzję teatrologa, ja natomiast chciałbym się wypowiedzieć o wartości tego spektaklu jako historyk mediewista. Oczywiście zdaję sobie przy tym sprawę, że sztuka rządzi się swoimi prawami. Reżyser tego widowiska, Robert Czechowski, mówił, że jego celem jest „przeprowadzenie swoistej impresji odbitej od historii". Jako artysta ma prawo do własnej wizji, ale tu sprawy poszły jednak o wiele za daleko.

Główny zamysł twórców spektaklu sprowadzał się do wskrzeszenia Bolesława Chrobrego przez Śmierć i przedstawienia mu listy niekończących się zarzutów. Długi dialog Śmierci z Bolesławem uświadamia widzom, że na sumieniu pierwszego polskiego króla ciąży wiele grzechów. I gdyby nie końcowy manifest Chrobrego, że Polska była jego snem, że należy kierować się dobrem i zważać na bliźniego, bylibyśmy przekonani, że ta cała koronacja to kolejne wstydliwe wydarzenie w dziejach Polski.

Jak patrzy na to historyk? Otóż wszystkie zarzuty, którymi Śmierć obarcza Bolesława, to historyczna wizja współczesnych elit, podlana ojkofobią i poczuciem wstydu, a przede wszystkim nieuctwem oraz ignorancją. Problem w tym, że również wielu polskich mediewistów trawi ta postkomunistyczna wizja historii. Pamiętam, jak jeden z najwybitniejszych polskich mediewistów w Monastyrze (niem. Münster) przepraszał swoich niemieckich kolegów po fachu za Mieszka I i Bolesława Chrobrego, że byli tacy zuchwali i nierozumni i że nie chcieli pokornie przyjąć wyższej kultury. Wzbudziło to zdumienie niemieckich badaczy, którzy z niepokojem przysłuchiwali tym słowom, zastanawiając się, czy aby nie jest to jakaś nowa polska prowokacja. I właśnie taka wizja historii, wraz ze zwykłym nieuctwem, to główne przesłanie gnieźnieńskiego widowiska.

Twierdzenia, że Mieszko I przyjął cynicznie wiarę i że pierwsi Piastowie wprowadzili etykę pt. „Oko za oko, ząb za ząb", to kompletna ignorancja. Zafałszowano też w scenariuszu stosunki z Niemcami. A to właśnie im był potrzebny sojusz z nowo powstałym państwem polskim. Polania Mieszka i Bolesława do 1002 r. była filarem (!) stabilności Saksonii, a tym samym całej Rzeszy i Cesarstwa.

Liczne wojny, o których słyszymy w trakcie przedstawienia, ale nie bardzo wiadomo z kim, nie były wyborem Chrobrego, a walką o suwerenność Polski. Napad na Ruś to nie jakieś widzimisię polskiego władcy, a jedynie próba przywrócenia wcześniej ustalonych porządków w stosunkach polsko-ruskich. I wreszcie największy „grzech" widowiska: przenosząc koronację na zjazd gnieźnieński, twórcy pominęli najważniejsze dokonanie Chrobrego, czyli utworzenie metropolii gnieźnieńskiej, dającej Polsce suwerenność kościelną względem Niemców.

Widowisko gnieźnieńskie nie jest, jak chcieli twórcy, impresją, która miała odbić się od historii. To zwykłe biadolenie, które odbiło się od fałszu i nieuctwa. ©℗

Prof. Tomasz Jasiński

Scena z widowiska „Milenium koronacji Bolesława Chrobrego"
FOT. YOUTUBE.COM/KRÓLEWSKIEGNIEZNO

WIDOWISKO PLENEROWE „MILENIUM KORONACJI BOLESŁAWA CHROBREGO", WYSTAWIANE W SIERPNIU 2025 R. W GNIEŹNIE
REŻYSERIA: ROBERT CZECHOWSKI
SCENARIUSZ: MARIUSZ BABICKI I SEBASTIAN JASNOCH

NEIL PRICE
„DZIECI JESIONU, DZIECI WIĄZU. HISTORIA WIKINGÓW"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

ODKRYWANIE WIKINGÓW

Wiedza naukowa o wikingach zbyt często, zwłaszcza ostatnio, miesza się z popkulturą. Autor mierzy się z licznymi mitami na ich temat. Posiłkuje się kronikami, lecz zdaje sobie sprawę, że relacje pisane były przez zachodnich dziejopisów, których wikingowie przerażali. Głównego materiału źródłowego dostarcza więc archeologia. To potężna, fascynująca praca szwedzkiego profesora. ©℗ ***(a.s.)***

CAMILLA TOWNSEND
„PIĄTE SŁOŃCE. NOWA HISTORIA AZTEKÓW"
REBIS

SŁOŃCE MOCTEZUMY

Azteków kojarzymy głównie z rytualnych mordów. Tymczasem ta cywilizacja Mezoameryki stworzyła świetnie prosperujące imperium z centrum w Tenochtitlánie, jednym z największych miast ówczesnego świata. Camilla Townsend pokazuje w swojej książce, jak bardzo spłycona została opowieść o azteckim świecie. ©℗ ***(p.w.)***

ANDRZEJ SAMULOWSKI
„OBJAWIENIA NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY W GIETRZWAŁDZIE"
FRONDA

GIETRZWAŁDZKIE PRZESŁANIE

Objawienia Matki Bożej w Gietrzwałdzie na Warmii są jedynymi oficjalnie uznanymi przez Kościół katolicki objawieniami maryjnymi w Polsce. Praca ta jest unikatową, niemal naoczną relacją z tych wydarzeń. Autor spisał także słowa Maryi oraz wizjonerek. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl ed8b1c50fb

Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Hańba polska

Praca Marcina Kwietnia „Wśród potępieńczych swarów" wyszła wprawdzie dość dawno (2013), ale dowiedziałem się o niej dopiero teraz, siadając po 12 latach do przepracowania i wznowienia mojej książki „Jakie piękne samobójstwo". Jest to wprawdzie dzieło całą gębą naukowe, pełne przypisów i szczegółów zwykłemu miłośnikowi historii zbędnych (podtytuł: „Prawne aspekty rozliczeń politycznych wśród uchodźstwa polskiego we Francji i Wielkiej Brytanii 1939–1943"), ale proszę mi wierzyć – warto. Historia polsko-polskiej nienawiści, prześladowania i zemsty za prześladowania, wzajemnego kopania pod sobą dołów, donoszenia do Francuzów, Anglików i każdego, kogo tylko można było pozyskać przeciwko innym Polakom, została bowiem gruntownie i ochoczo przez nas zapomniana. Tak, coś tam było, jakiś obóz w Cerizay czy na Wyspie Węży, jakieś „biura rejestracyjne", komisje i, jak to się dziś mówi, „rozliczenia"... Ale Sikorski przecież zginął potem tragicznie, ale Polacy przelali bohatersko tyle krwi, że po co do tego wracać.

> Historia polsko-polskiej nienawiści, prześladowania i zemsty za prześladowania, **wzajemnego kopania pod sobą dołów, donoszenia do Francuzów i Anglików została gruntownie i ochoczo przez nas zapomniana**

Cóż, trzymajmy się zasady Romana Dmowskiego: wolno nam być dumnymi z tego, co w Polakach wielkie, ale nie możemy nie wstydzić się za to, co w nich podłe. Prawda o sytuacji w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, o krzywdach wyrządzanych w zemście za rządy sanacyjne „na oślep", na każdym, kto podpadł Sikorskiemu, Modelskiemu i ich kolesiom, była bardzo długo zepchnięta do wiedzy „prywatnej", do emigracyjnych rozmów i pamiętników, bo nawet najbardziej dotknięci represjami nie chcieli już w obliczu wojennej hekatomby podnosić swych krzywd. Może wiedzielibyśmy o tym jeszcze mniej, gdyby sprawy nie wywlókł w 1942 r. brytyjski poseł i nie złożył w swoim parlamencie interpelacji, uruchamiając śledztwo, które ujawniło fakty zbyt haniebne, by Churchill i brytyjskie dowództwo skłonni byli nadal udawać, że wierzą (a może faktycznie wierzyli?) w polskie zapewnienia, iż w obozach Sikorskiego osadzani są tylko przestępcy, zboczeńcy seksualni i ludzie w inny sposób zhańbieni.

Pewnie takich też dałoby się tam znaleźć, ale byli i oficerowie nieskazitelni, którzy po prostu podpadli sitwie „sikorszczaków" albo byli dla niej niewygodni. Tacy jak płk Władysław Dec, dowódca resztek zmarnowanej głupio przez Sikorskiego Brygady Podhalańskiej, tylko dlatego, że był świadkiem nieudolności narzuconego nam przez aliantów Naczelnego Wodza. Albo jak znany po wojnie pisarz Janusz Meissner, który siedział za satyryczny wierszyk o „bohaterach" z hotelu Rubens. Wielu siedziało, nawet nie wiedząc za co, tylko dlatego, że ktoś napisał na nich anonimowy donos – bo tyle wystarczało. Nie było w PSZ sądu, prawa do obrony, żadnego rozpatrzenia sprawy, była tylko decyzja dowództwa. Na stosunkowo najlepiej znanej dziś Wyspie Węży było to siedzenie i tak w miarę komfortowe, zabijały tylko nuda i frustracja – ale obozów było więcej, także takich, które dorównywały brutalnością przedwojennej Berezie, a nawet przewyższały ją.

Oczywiście nikczemne prześladowania prowokowały kontrreakcję, organizowanie w wojsku „junt", intrygi... Anglicy patrzyli na to polskie piekło z narastającą pogardą, która miała na pewno swoje znaczenie dla łatwości, z jaką rozgrzeszyli się po wojnie z poczucia winy za zdradę w Teheranie i Jałcie. ©℗

eprasa.pl ed8b1c50fb

/ Felieton

Piotr Semka

W kurorcie Wannsee

Każdy, kto odwiedza muzeum w willi przy Grosser Wannsee, doświadcza mieszanych uczuć. Z jednej strony jest to przepiękny pałacyk, wspaniale wkomponowany w brzeg wielkiego podberlińskiego jeziora. Starannie utrzymane ogrody tworzą wrażenie spokoju i ciszy. Z okien pałacyku widać jezioro z dużą plażą. Po jego tafli suną liczne żaglówki...

A jednocześnie nie sposób zapomnieć, że to właśnie tu 20 stycznia 1942 r. zebrało się 15 wysokiej rangi niemieckich dygnitarzy SS, gestapo, NSDAP, a także szefów najważniejszych urzędów Rzeszy. Celem spotkania było przygotowanie planu wymordowania Żydów na terenach okupowanej Europy. Konferencji przewodził Reinhard Heydrich, który zlecił zebranym gościom wypracowanie praktycznych planów wywiezienia ludności żydowskiej do fabryk śmierci.

Jakie były dalsze losy ludzi, którzy zadecydowali o zagładzie europejskich Żydów?

Wojny nie przeżyło sześciu dygnitarzy. Pierwszy zginął sam Heydrich zgładzony w maju 1942 r. przez czeskich zamachowców. W lutym 1945 r. wskutek bombardowania Berlina życie stracił wysoki urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości Roland Freisler. W tym samym miesiącu zmarł dowódca policji bezpieczeństwa i SD Rudolf Lange; doszło do tego w trakcie walk o Poznań w lutym 1945 r. Alfred Meyer, zastępca ministra do spraw okupowanych terytoriów wschodnich, popełnił samobójstwo w ostatnich dniach istnienia III Rzeszy. W gruzach Berlina zaginął szef gestapo Heinrich Müller. I wreszcie Martin Luther, przedstawiciel niemieckiego MSZ, w 1943 r. został aresztowany za intrygi w swoim resorcie i wtrącony do obozu koncentracyjnego. Zmarł kilka miesięcy po zakończeniu wojny.

A co się stało z resztą? Tylko trzech uczestników konferencji w Wannsee zostało po wojnie osądzonych i straconych: wysoki urzędnik SS Eberhard Schöngat, którego Brytyjczycy stracili w 1946 r. za zastrzelenie alianckiego pilota, Josef Bühler, został po wojnie wydany Polsce i powieszony w 1948 r. za zbrodnie w GG, natomiast Adolfa Eichmanna Izraelczycy porwali z Argentyny, osądzili w Jerozolimie i powiesili w 1962 r. za udział w zagładzie Żydów.

Kolejnych dwóch nazistowskich zbirów co prawda skazano, ale szybko wypuszczono ich na wolność. Pierwszy z nich to szef Urzędu SS do spraw Rasy i Osadnictwa Otto Hofmann. Amerykanie skazali go w 1948 r. na karę 25 lat więzienia. Po sześciu latach został jednak ułaskawiony i zwolniony. Żył do 1982 r. jako nieźle prosperujący urzędnik zajmujący się handlem. Z kolei autor ustaw antyżydowskich Wilhelm Stuckart został co prawda skazany po wojnie na karę więzienia, ale zwolniono go już w 1949 r. Rozpoczął karierę polityczną, którą przerwała nagła śmierć w wypadku samochodowym w 1953 r.

A co się stało z ostatnią czwórką uczestników zbrodniczej narady? Otóż nawet nie podjęto wobec nich postępowania karnego... Zastępca szefa Kancelarii Rzeszy Friedrich Wilhelm Kritzinger został po wojnie aresztowany, ale już w 1947 r. zwolniono go z aresztu. Zmarł niedługo potem we własnym łóżku. Kolejny dygnitarz, sekretarz stanu odpowiadający za gospodarkę, Erich Neumann, również został uwięziony po wojnie, ale w 1948 r. zwolniono go z powodu złego stanu zdrowia. Również on zmarł we własnym domu w 1951 r. Na ich tle długo i szczęśliwie żyli dwaj kolejni architekci zagłady Żydów. Szef departamentu w Ministerstwie Rzeszy do spraw Okupowanych Terytoriów Wschodnich Georg Leibbrandt w 1951 r. mógł odetchnąć z ulgą, ponieważ prokuratura umorzyła wobec niego śledztwo. Dożył pięknego wieku 83 lat (umarł w 1982 r.). Podobnie długowieczny okazał się ostatni z 15 uczestników konferencji w Wannsee – Gerhard Klopfer, kierownik Wydziału Prawa Państwowego w Kancelarii Partyjnej NSDAP. Aresztowano go w 1945 r., ale nigdy nie doszło do przygotowania aktu oskarżenia. Po wojnie pracował jako adwokat i dożył do 1987 r.

Piętnaście zbrodniczych życiorysów i tylko trzy kary adekwatne do zbrodni, za które odpowiadali ci mordercy zza biurka. Ponadto w dwóch przypadkach sądy wymierzyły symboliczne wyroki, a czterech zbrodniarzy z Wannsee cieszyło się absolutną bezkarnością. Trudno o lepszą ilustrację tego, jak wyglądało rozliczenie się RFN ze zbrodni III Rzeszy. ©℗

eprasa.pl ed8b1c50fb

Sacco di Roma

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DIRCK VOLCKERTZ, BRITISH MUSEUM

Walczyli do końca / Legendarni wojownicy

Na ostatnim posterunku

Grzegorz Janiszewski

Straceńcze boje, po angielsku nazywane „last stand", są nie tylko polską specjalnością. Często mimo braku militarnego sensu przynosiły mniej lub bardziej dalekosiężne skutki i były również powodem do dumy dla przyszłych pokoleń

Pod koniec XV w. północne Włochy stały się areną zmagań decydujących o układzie sił w całej Europie. Włoskie państewka i miasta od lat walczyły same ze sobą. Najazd francuskiego króla Karola VIII w 1494 r. rozpoczął ponad 50-letni okres, gdy Francuzi, Habsburgowie, Włosi i zgraje europejskich najemników toczyli tam nieustanne wojny, w których stawką był europejski prymat.

Papież Klemens VII jako przywódca Państwa Kościelnego był ważnym elementem tej układanki. Początkowo opowiadał się po stronie Habsburgów, traktując cesarza jako swojego protektora. Jednak po przegranej przez Francuzów bitwie pod Bicoccą w 1522 r. zaczął układać się z królem Francji Franciszkiem I, obawiając się dominacji niemieckiej dynastii.

Po katastrofalnej dla Francuzów nocnej bitwie w parku Visconti pod Pawią, gdzie Franciszek dostał się do niewoli, papież zaczął organizować tzw. Ligę z Cognac, łączącą przeciwników Karola V. W odpowiedzi cesarz szybko zebrał poważne siły, w tym 14 tys. niemieckich landsknechtów (w większości pałających nienawiścią do papieża luteranów) i 6 tys. hiszpańskiej piechoty – doskonałych tercios. Armie te wkroczyły do północnych Włoch, ale szybko pojawiły się kłopoty. Zaangażowany na wielu frontach cesarz przestał płacić im żołd. Próba zdobycia i złupienia Florencji skończyła się jej długotrwałym oblężeniem. Landsknechci podnieśli bunt, grożąc przełożonym swoimi pikami i krzycząc: „Geld!". Ich dowódca, doświadczony i posiadający spory autorytet Georg von Frundsberg, dostał na ten widok udaru. Pozbawieni dowództwa i zdemoralizowani żołnierze postanowili ruszyć na Rzym, żeby powetować sobie straty.

Wyznaczony przez Klemensa na głównodowodzącego papieskich sił prawnik Francesco Guicciardini nie mógł tu wiele poradzić. Do obrony Rzymu miał ok. 5 tys. ludzi, w dużej mierze słabo wyszkolonych mieszkańców miasta. Dowódcy byli skłóceni. Rzym chroniony był co prawda murami obronnymi, ale doświadczeni landsknechci i tercios szybko znaleźli w nich słabe punkty. Korzystając z gęstej mgły, utrudniającej użycie przez obrońców artylerii, rozpoczęli 6 maja 1527 r. szturm miasta. Szybko dostali się do środka, masakrując mieszczan. Zapanowała powszechna panika, obrońcy rozpierzchli się, szukając schronienia dla siebie i swoich rodzin.

Landsknechci po wejściu do miasta bardziej niż łupami byli zainteresowani pojmaniem i zabiciem papieża. Zamiast

eprasa.pl ed8b1c50fb

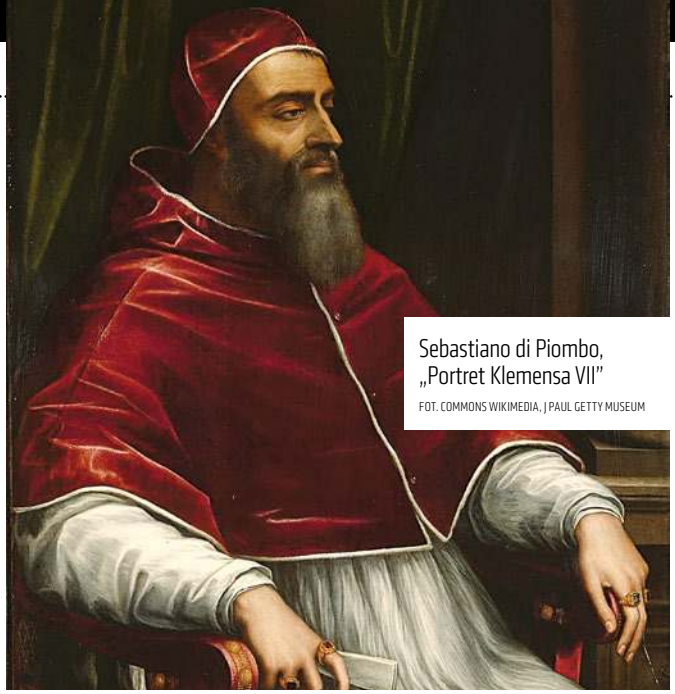

Sebastiano di Piombo, „Portret Klemensa VII"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, J PAUL GETTY MUSEUM

plądrować, skierowali się prosto do Watykanu. Klemens zrozumiał, że jego jedyną szansą jest schronienie się w Zamku Świętego Anioła – to dawne mauzoleum cesarza Hadriana przebudowane zostało później na potężną fortecę. Z Watykanu można się tam było dostać przejściem Passeto di Borgo, czyli 800-metrowym, tajnym korytarzem w murze obronnym. Trzeba tam jednak było dotrzeć przed landsknechtami i żądnymi łupów najemnikami. Jedyną siłą, która mogła ich powstrzymać, była papieska Gwardia Szwajcarska. Jej dowódca, kpt. Caspar Röist, rozkazał 189 gwardzistom stanąć na schodach bazyliki watykańskiej, żeby przyciągnąć uwagę napastników. Ruszyło na nich kilka tysięcy ludzi. Röist wyciągnął swój miecz, wskazując na nacierających jak zwykle w pierwszej linii doppelsöldnerów. Wymachiwali oni nad głowami swoimi dwumetrowymi mieczami, zmiatając wszystko przed sobą. Szwajcarzy trzymali pozycje, wyciągając przed siebie swoje długie piki. Nie mieli jednak szans. Fala zbrojnych szybko ich zalała, spychając na niemiecki cmentarz. W bliskim zwarciu lepsza niż piki Szwajcarów była broń stanowiąca znak rozpoznawczy landsknechtów – krótkie miecze zwane katzbalgerami.

Röist zdołał jeszcze wydzielić 42-osobowy oddział do ochrony papieża uciekającego do Zamku Świętego Anioła. Sam z resztą gwardzistów zdołał odciągnąć landsknechtów z powrotem na schody bazyliki. Gwardziści utworzyli tam otoczony ze wszystkich stron krąg. Wkrótce nastąpiła rzeź. Szwajcarzy zostali wybici do nogi. Ich ofiara nie poszła jednak na marne. Papież i setki mieszkańców Wiecznego Miasta zdołali się schronić w twierdzy. Większości ocaliło to zapewne życie.

W trwającej przez następne miesiące orgii rabunków, porwań dla okupu i morderstw życie straciło prawie 12 tys. Rzymian. Gwardia do dzisiaj obchodzi 6 maja jako święto formacji. W tym dniu przysięgę składają nowi rekruci. Obrona Watykanu stała się legendą założycielską powstałej zaledwie 20 lat wcześniej formacji. Natomiast katzbalgery zostały paradną bronią przyboczną gwardzistów. Ich bohaterski wyczyn być może ocalił też Europę przed nieobliczalnymi skutkami morderstwa papieża. Zauważył to nawet sam Luter. Mimo że landsknechci z nabożeństwem wydrapywali jego imię na watykańskich freskach, on sam skrytykował to, mówiąc: „Chrystus sprawił, że katolicki cesarz, który prześladował Lutra w imię papieża, został zmuszony do zniszczenia papieża dla Lutra".

Teksańska masakra

Drapieżna ekspansywność młodego amerykańskiego państwa, która później nazwana została Objawionym Przeznaczeniem, w praktyce oznaczała nieustanne parcie kolejnych fal osadników na zachód. Efektem tego musiały być konflikty z kolonialnymi potęgami, które miały swoje posiadłości na terenie Ameryki Północnej. Z Francją udało się załatwić sprawę, kupując w 1803 r. ogromne ziemie nazywane wtedy Luizjaną. Napoleon pozbył się ich bez żalu, inkasując ogromną sumę 23 mln dol. na potrzeby wojenne. Z Hiszpanią, która na dzisiejszym południowym zachodzie USA obecna była od stuleci, nie poszło tak łatwo. Konflikt zbrojny był nieuchronny.

Zamek św. Anioła w Rzymie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIVIOANDRONICO2013

W latach 20. i 30. XIX w. meksykańskie władze wręcz zachęcały Amerykanów, aby osiedlali się w Teksasie. W końcu jednak osadników było tak wielu, że zaczęli dominować nad Meksykanami. Czując się pewniej, zaczęli domagać się większej niezależności. A przecież w tym czasie Meksyk przeżywał okres niestabilności. Kolejne zamachy stanu i słabe rządy co rusz wpływały na regulacje dotyczące imigracji i podatków. Amerykanie z Teksasu, przyzwyczajeni do mało ingerującego w ich sprawy rządu w Waszyngtonie, poważnie zaczęli myśleć o niepodległości. Czarę goryczy przelało aresztowanie w styczniu 1834 r. zwolennika autonomii – Stephena F. Austina. Amerykańscy osadnicy zrozumieli, że meksykańskie władze nie pójdą na ustępstwa. Teksas zaczął wrzeć. W październiku 1835 r. potyczka między Amerykanami i meksykańskim wojskiem pod Gonzales stała się iskrą rzuconą na beczkę prochu. Rebelia wkrótce objęła cały region. W grudniu 1835 r. Amerykanie opanowali miasto San Antonio i zaczęli fortyfikować dawną franciszkańską misję Alamo. Dowodzący rebeliantami Sam Houston nie był zwolennikiem tej trudnej do obrony pozycji. Od biedy mogła ona wystarczyć do schronienia przed Indianami, ale nie przed meksykańską artylerią. Wysłał więc tam płk. Jamesa Bowiego z zadaniem zabrania armat i wysadzenia w powietrze murów misji. Dowodzący obroną Alamo James Neill zdołał jednak przekonać Bowiego, że trzeba bronić tego miejsca.

Tymczasem w lutym 1836 r. pod fortecę nadciągnął meksykański prezydent (i równocześnie generał) Antonio López de Santa Anna wraz z ok. 2 tys. zawodo-

eprasa.pl ed8b1c50fb

wych żołnierzy. Tymczasem teksańskich traperów i farmerów broniących misji było ok. 200. Doświadczeniem wojskowym wyróżniało się kilku Polaków – powstańców listopadowych, których zły los rzucił do Ameryki. Oblężenie Alamo trwało 13 dni. Meksykanie ostrzeliwali mury artylerią, a 6 marca Santa Anna zarządził szturm generalny. Meksykanie po drabinach weszli na skruszone ostrzałem mury. Obrońcy bronili się dzielnie, ale po krótkiej walce ulegli 10-krotnej przewadze. Z rzezi ocalała tylko garstka kobiet i dzieci.

Wieść o tym pogromie rozeszła się po całym Teksasie, a okrzyk: „Pamiętajcie o Alamo!" mobilizował kolejnych zwolenników niepodległości. Wściekli Amerykanie kilka tygodni później pokonali Meksykanów w bitwie pod San Jacinto. Tam też nie brano jeńców. Meksykanie na próżno krzyczeli, że nie było ich pod Alamo. Teksańczycy wybili bezbronnych przeciwników prawie do nogi, nie zważając na rozkazy swoich przełożonych, chcących powstrzymać rzeź. Santa Anna chciał uciec z pola bitwy w przebraniu szeregowca, ale wypatrzył go Polak Feliks Wardziński. Generał został zmuszony do podpisania kapitulacji.

Teksas odłączył się od Meksyku i stał się niezależnym państwem, aby po niespełna 10 latach wejść w skład USA. Było to przyczyną amerykańsko-meksykańskiej wojny, po której do USA włączono ogromny obszar dzisiejszego południowego zachodu Ameryki. Dało to asumpt do poważnego traktowania Objawionego Przeznaczenia, jako koncepcji panowania USA nad kontynentem, zachodnią półkulą, a nawet całym światem.

Antonio López de Santa Anna
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Rzeź samurajów

Rewolucja Meiji, zapoczątkowana w 1868 r., gwałtownie przeobrażała Japonię. W ciągu zaledwie kilkunastu lat Japonia z feudalnego, zacofanego i niemal kompletnie odizolowanego od świata kraju stawała się szybko nowoczesną, regionalną potęgą. Przodowała w tym Satsuma – jedna z prowincji, położona na południowo-zachodnim krańcu wyspy Kiusiu. Jej władcy utrzymywali kontakty ze światem zewnętrznym przez formalnie niezależne wyspy Riukiu i mieli świadomość, jak daleko Zachód uciekł Japonii. Tutaj industrializacja, korzystająca z zachodnich wzorców, zaczęła się kilkadziesiąt lat przed rewolucją Meiji. Miejscowi konstruktorzy potrafili wytwarzać porcelanę, żelazne narzędzia rolnicze i broń. W 1851 r. powstał tu nawet pierwszy japoński statek parowy.

Rewolucja poszła jednak o wiele dalej, głęboko zmieniając tradycyjne japońskie społeczeństwo. Nie podobało się to samurajom z Satsumy, którzy pewnie wyobrażali sobie, że pańszczyźniani chłopi teraz będą pracować w fabrykach, a kupcy, przeobrażający się właśnie w bogatą warstwę kierowniczą państwa, nadal będą kłaniać się im w pas. Czarę goryczy przelał wprowadzony w 1876 r. zakaz noszenia samurajskich mieczy. Władze prowincji zaczęły ignorować polecenia rządu w Tokio, a w styczniu 1877 r. wybuchła tam rebelia samurajów. Na jej czele stanął Takamori Saigō, niegdyś jeden z największych zwolenników rewolucji Meiji i bliski doradca cesarza. Później zraził się do reform, wycofał się z polityki i organizował w Satsumie szkoły dla samurajów. To z nich wywodziła się większość buntowników.

Początkowo odnosili oni sukcesy, m.in. blokując twierdzę w Kumamoto. Jednak nadciągająca 300-tysięczna regularna armia nie dała im szans. Samurajowie, którym zaczęło brakować amunicji strzeleckiej, próbowali atakować mieczami żołnierzy uzbrojonych w gwintowane karabiny i działa. Oczywiście szybko zostali zepchnięci do defensywy. Od maja rebelianci byli ścigani przez wojsko i spychani w kierunku wybrzeża. We wrześniu Saigō zgromadził resztkę swoich zwolenników na zboczach góry Shiroyama, która dawała pewną taktyczną przewagę. Naprzeciw 500 samurajów stanęło ok. 30 tys. żołnierzy. Nocą 23 września rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Słabe fortyfikacje, które zbudowali obrońcy, zostały zniszczone. Nad ranem cesarskie wojsko przypuściło atak. Samurajowie bronili się dzielnie, ale musieli ulec przeważającym siłom przeciwnika. W ostatnim etapie bitwy Saigō z kilkudziesięcioma pozostałymi przy życiu samurajami rzucił się z mieczem do samobójczego ataku w dół zbocza. Kiedy został postrzelony z karabinu w udo, usiadł i popełnił seppuku. Jego przyjaciel, Beppu Shinsuke, natychmiast ściął mu głowę swoją kataną. Reszta samurajów zginęła w ogniu karabinów i dział.

Rząd w Tokio długo pomijał powstanie w Satsumie milczeniem, a Saigō

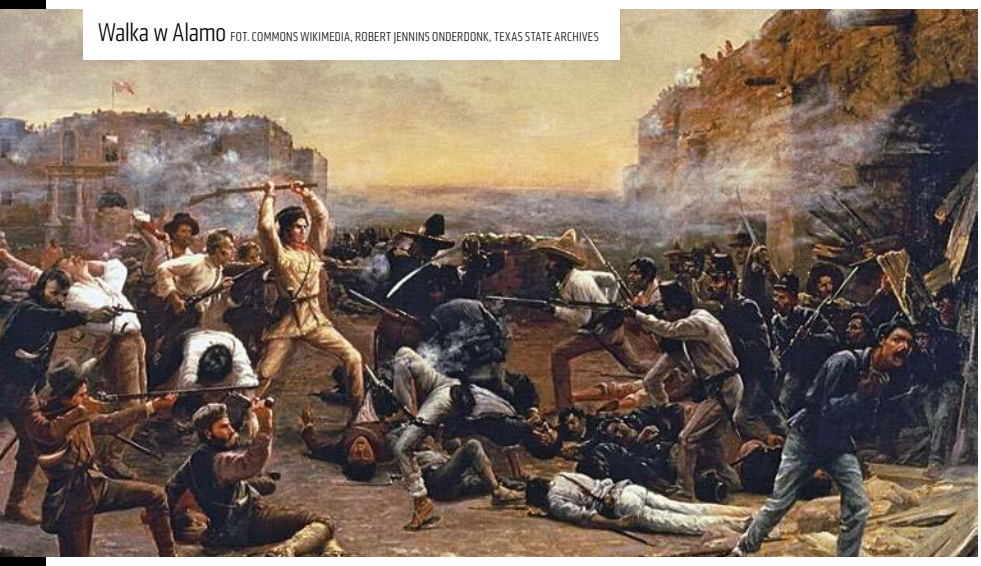
Walka w Alamo FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROBERT JENNINS ONDERDONK, TEXAS STATE ARCHIVES

eprasa.pl ed8b1c50fb

i jego samurajowie traktowani byli jak buntownicy i zdrajcy. Jednak Japończycy nie akceptowali tego, przechowując w pamięci ich wizerunek jako obrońców tradycyjnych wartości, „ostatnich prawdziwych samurajów". W końcu władze musiały się ugiąć i zrehabilitować powstańców. Pomnik Saigō stoi dzisiaj dumnie w centrum Tokio. Samuraj trafił na karty japońskich podręczników jako bohater. Dzięki ludziom takim jak on Japonia nie tylko nie zwesternizowała się do końca i zachowała narodowego ducha. Potrafiła też narzucać swoje wartości reszcie świata, choć faktem jest, że dzisiejsze judo czy karate niezbyt przypominają sztuki walki, które ćwiczyli samurajowie z Edo czy wieśniacy z Okinawy. Mimo że mocno zwesternizowane zmuszają jednak adeptów na całym globie do przyjęcia tradycyjnego japońskiego spojrzenia na świat. Jest to możliwe m.in. dzięki ofierze takich ludzi jak Takamori Saigō.

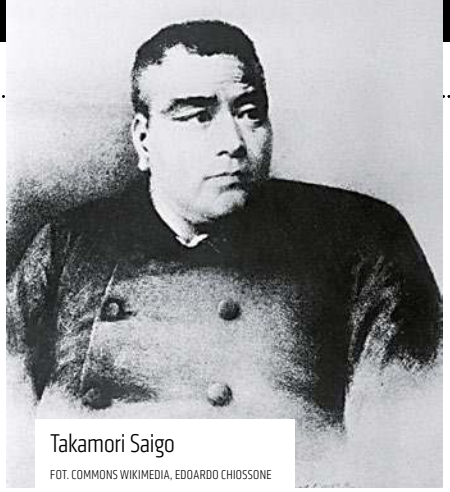

Takamori Saigo

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, EDOARDO CHIOSSONE

Fort Sikhów

Pod koniec XIX w. północnej granicy Imperium Brytyjskiego w ówczesnych Indiach chroniła linia fortów, położonych w odludnych, górskich okolicach. Miały one nie tylko strzec Indii przed półdzikimi plemionami żyjącymi po drugiej stronie gór, lecz także ostrzegać przed nadciągającymi Rosjanami – oba imperia prowadziły wówczas tzw. Wielką Grę (walkę o wpływy w Azji). Wyposażone w heliografy forty mogły szybko przekazywać informacje o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Służba w nich była uciążliwa i monotonna, zwykle więc były one obsadzane przez tubylców służących w formacjach British Indian Army. Sarghari, jeden z fortów w Hindukuszu, używany głównie jako stacja przekaźnikowa dla sygnałów, obsadzony był przez Sikhów z 36. pułku.

Rankiem 12 września 1897 r. jego dowódca Havildar Ishar Singh wpatrywał się przez szkła lornetki w zbliżające się górską doliną kolejne konne oddziały. Wprawne oko doświadczonego żołnierza wkrótce naliczyło od 10 do 14 tys. jeźdźców. Byli to Pasztuni, zmobilizowani na świętą wojnę przez mułłę z pobliskiej Haddy. Szybko nadano heliografem prośbę o pomoc do sąsiedniego Fortu Lockhart, ale na odsiecz było za późno.

Singh zebrał swoich 20 podkomendnych, pytając, czy będą się bronić czy może spróbują wymknąć się z fortu i szukać ratunku w górach. Żołnierze jednogłośnie odpowiedzieli, że zostają. Dowódca uformował ich na murach fortu w dwa szeregi. Karabinowe pociski wystrzelone z niewielkiej odległości miały porażający skutek. Pierwszy szereg nacierających został mocno przetrzebiony. Pasztuni zmienili więc taktykę. Teraz atakowali z dwóch stron, okrążając fort i zmuszając Sikhów do rozluźnienia szyku i mniejszej koncentracji ognia. Sikhowie zaczęli śpiewać pieśń bojową pułku i strzelać do nacierających, odpierając kolejny atak. Niektórzy Pasztuni padli prawie u stóp obrońców.

Od godz. 9 do południa Sikhowie odparli siedem ataków. W końcu zostało ich już tylko 10. Singh został postrzelony i raniony szablą; obrońcom kończyła się amunicja. W końcu Pasztuni podpalili otaczające fort drzewa i krzewy. Obrońcy, nie widząc atakujących, wycofali się do zabudowań wewnątrz umocnień. Singh z dwoma żołnierzami z braku amunicji osłonił odwrót, rzucając się na atakujących z bagnetami. Czterech ocalałych Sikhów oparło się plecami o siebie i z bagnetami na karabinach czekało na szturmujących Pasztunów. Piąty, pełniący służbę na wieży heliografu 19-letni Sepoy Gurmukh Singh nadał jeszcze depeszę do Fortu Lockhart: „Główna brama wyłamana. Proszę o pozwolenie na opuszczenie posterunku i dołączenie do walki". Po uzyskaniu zgody ruszył na dół, na pomoc swoim kolegom. Zginął jako ostatni z załogi fortu. Według legendy zdołał przedtem położyć trupem 20 napastników. W walce łącznie zginęło od 200 do 600 Pasztunów. Brytyjczycy wkrótce odbili fort.

12 września stał się świętem 36. pułku. Pod wrażeniem męstwa Sikhów zwiększono ich nabór do indyjskiej armii. Sikhowie stali się tam wzorem męstwa. Zbudowano też dwa mauzolea poświęcone obrońcom. Uczciła ich nawet królowa Wiktoria, mówiąc w parlamencie: „Nie jest przesadą zauważyć, że armie, w których szeregach znajdują się dzielni Sikhowie, nie mogą przegrać wojny".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bitwa na zboczach góry Shiroyama

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MOSAI NAGASHIMA (YOSHITORA UTAGAWA)

eprasa.pl ed8b1c50fb

Czaszka przeszyta trzema bełtami od kuszy FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Visby – ślady masakry sprzed stuleci

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Niewiele stanowisk archeologicznych pozwala na tak wszechstronny wgląd w oblicze wojny w średniowieczu jak Visby. W 1361 r. doszło tutaj do straszliwej bitwy pomiędzy najeźdźcami z Danii i gotlandzkimi obrońcami

Gotlandia urzeka niepowtarzalnymi krajobrazami urozmaiconymi blisko setką romańsko-gotyckich kościołów i tajemniczymi kamiennymi krzyżami. Ozdobą wyspy jest Visby, przepiękne hanzeatyckie miasto położone na wybrzeżu i opasane niemal w pełni zachowanym pierścieniem średniowiecznych murów obronnych – jedynych w całej Skandynawii. Ich szara gotycka surowość stanowi doskonałe tło dla opowieści o najeździe duńskiego króla Waldemara IV Atterdaga (panował w latach 1340–1375), czyli o najkrwawszym epizodzie w dziejach Gotlandii.

Dominium maris Baltici po duńsku

Waldemar IV był władcą niezwykle ambitnym. Dokonawszy ponownego zjednoczenia rozbitego wewnętrznie państwa, przystąpił do walki o hegemonię w basenie Morza Bałtyckiego. W 1361 r. celem jego agresji stały się dwie należące do królestwa Szwecji wyspy: Olandia i Gotlandia. Obie miały znaczenie strategiczne oraz handlowe, a Visby, cieszące się dużą autonomią i należące do związku hanzeatyckiego, zaliczano do bogatszych miast w regionie. Duński monarcha dobrze przygotował się do inwazji; zgromadził liczną flotę okrętów różnych klas (w tym żaglowe kogi), na które zaokrętował kilkutysięczną armię, złożoną m.in. z doświadczonych najemników z Europy Północnej. Desant i zajęcie Olandii przebiegły dosyć gładko. Zaskoczeni obrońcy stawili jedynie symboliczny opór. Gotlandia okazała się znacznie trudniejszym wyzwaniem, tym bardziej że król Szwecji uprzedził jej mieszkańców o możliwym ataku.

Społeczność wyspy była zróżnicowana. Z jednej strony tworzyli ją mieszczanie prosperujący w zamkniętym murami Visby, a z drugiej wolni farmerzy, konkurujący z „miastowymi" na niwie handlowej. W 1288 r. między obiema grupami doszło nawet do krwawej wojny, której kres położył ostatecznie szwedzki król. Wydawało się, że w obliczu wspólnego wroga niegdysiejsi antagoniści tym razem staną do walki zjednoczeni.

Waldemar wylądował na południe od Visby 22 lipca bez przeciwdziałania ze strony Gotlandczyków. W głębi lądu czekało jednak na niego chłopskie pospolite ruszenie, którego siły szacowane są na 4,2–5 tys. kombatantów. Siły duńskiego króla liczebnie im ustępowały, ale jego dwuipółtysięczną armię (w tym 150–200 konnych) tworzyli doświadczeni i dobrze uzbrojeni zawodowcy. Nienawykli do walki wyspiarze nie byli dla nich godnym przeciwnikiem, jednak nie zamierzali poddać się bez oporu. Do pierwszej dużej bitwy doszło w okolicach wioski Mästerby, ok. 30 km od Visby. Miejscowi, wykorzystując naturalną obronność terenu (rzeka, trzęsawiska), postanowili zatrzymać marsz Duńczyków na północ, w kierunku stolicy. Napastnicy nie odważyli się na atak frontalny, tylko obeszli pozycje obrońców. A potem doszło do rzezi. Jak się okazało, niejedynej podczas tej krótkiej kampanii. Miejsce bitwy pod Mästerby zlokalizowano w ostatnich latach dzięki badaniom archeologicznym, w trakcie których pozyskano dużą ilość

eprasa.pl ed8b1c50fb

średniowiecznych militariów. Świadectwem stoczonych tu walk jest też kamienny krzyż pamiątkowy, wzniesiony w średniowieczu na południe od miejscowego kościoła.

Rzeź pod miastem

Kulminacyjnym momentem najazdu była bitwa stoczona 27 lipca tuż pod murami Visby. Gotlandczycy zostali rozniesieni na strzępy (często w dosłownym tego słowa znaczeniu), a ich straty szacowane są na 1,8 tys. poległych, a więc połowę męskiej populacji wyspy! Mieszczanie nie tylko nie wsparli chłopskiej armii, lecz także nie otworzyli bram dla uciekających, bezpiecznie przyglądając się masakrze z wysokości murów obronnych. Wkrótce miasto poddało się bez walki, zapewne w ramach zawartego dużo wcześniej porozumienia. Waldemar nie złupił ani nie zniszczył Visby. Odebrał kontrybucję i potwierdził przywileje, po czym zostawiwszy garnizon, spokojnie odpłynął.

Bitwa pod Visby, jedna z tysięcy podobnych stoczonych w średniowiecznej Europie, nie budziłaby zapewne większego zainteresowania, gdyby nie masowe groby jej uczestników. Pierwszy z nich odkryto w 1905 r., a kolejne w latach 1912, 1926 i 1930. W latach 1928–1930 Bengt Thordeman prowadził wykopaliska archeologiczne, których znaczenia w kontekście średniowiecznej wojskowości nie sposób przecenić. Podjęte od tamtego czasu badania interdyscyplinarne, będące połączeniem współczesnej wiedzy z efektami pracy archeologów sprzed 100 lat, pozwoliły nie tylko lepiej zrozumieć przebieg samej walki, lecz także poznać jej uczestników.

Unikatową cechą pochówków spod Visby jest liczba odnalezionych szkieletów (dotychczas wydobyto ich 1,2 tys.) oraz niespotykanie bogate „wyposażenie grobowe". Pobojowiska, nie tylko średniowieczne, były zazwyczaj pieczołowicie „czyszczone" z broni i wyposażenia, a polegli skrupulatnie byli rabowani z przedmiotów wartościowych. Na Gotlandii stało się inaczej – tu wielu uczestników bitwy zakopano w rynsztunku ochronnym. Wydobyto 185 kapturów kolczych, 27 kompletnych brygantyn (tzw. płaty), zbroję lamelkową, 12 kolczug i 20 rękawic. Nie wszystkie groby zostały wyeksplorowane, można więc przypuszczać, że w przyszłości liczba zabytków się powiększy. Dlaczego zebrano całą broń ofensywną, a osłony ciała pozostawiono? To nietypowe zjawisko tłumaczone jest najczęściej obawą przed epidemią, która w gorącym lipcowym słońcu mogła się szybko urzeczywistnić. Tym bardziej że status miasta wydawał się z początku niepewny i Duńczycy zapewnie zaniechali grabieży poległych, oczekując w gotowości bojowej na dalszy rozwój wypadków. Potem ciała musiały już być w takim stanie rozkładu, że po zebraniu porozrzucanego wyposażenia wrzucono je czym prędzej do dołów.

Wydobyte zbroje

Analiza szkieletów przyniosła wiele cennych informacji dotyczących walczących. Część armii gotlandzkiej stanowili ludzie starsi i młodzież. Wielu miało ślady przebytych chorób (np. wskutek zarazy) i rozmaitych urazów (źle zrośnięte kości). Najciekawsze wnioski dotyczyły charakteru zadanych ran. Dużo uczestników bitwy padło od ostrzału z kusz i łuków – żelazne groty wciąż tkwiły w czaszkach i szkieletach. Inni polegli w walce bezpośredniej, od ciosów mieczy, toporów oraz rozmaitej broni drzewcowej i obuchowej (maczugi, morgensterny etc.). Niektórzy mieli po kilka ran. W jednej z czaszek tkwiły trzy groty od bełtów, a dodatkowo miała ona dużą wyrwę spowodowaną uderzeniem młota bojowego. Wiele kończyn było zmiażdżonych lub odciętych, co świadczy o tym, że bitwa miała okrutny charakter i zwycięzcy nie brali jeńców.

Dotychczasowe ustalenia wskazują, że obrońcy uformowali się prawdopodobnie w dwie linie; z przodu stanęli lepiej uzbrojeni mężczyźni w sile wieku, z tyłu starsi i młodzież. Duńczycy najpewniej „zmiękczyli" szyk wyspiarzy silnym ostrzałem, a potem złamali go w bezpośrednim ataku. Wywołało to zapewne panikę, podczas której zginęło najwięcej obrońców. Atakujący także ponieśli straty, choć były one nieporównywalnie mniejsze. Analiza ozdobnych aplikacji na jednym z kirysów wskazuje, że należał on do najemnika – członka rodziny szlacheckiej z terenów dzisiejszej Holandii. Zagadką pozostaje sposób ułożenia ciał. Większość wrzucono po prostu „na kupę", jednak część pochowano z zachowaniem chrześcijańskiej staranności – w rzędach, ze zmarłymi ułożonymi według orientacji wschód-zachód. Czy byli to polegli napastnicy? Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi.

Odkrycia spod Visby są kopalnią wiedzy nie tylko dla osteologów, lecz także bronioznawców. Odnalezione militaria stanowią jednorodny zespół i są unikatowe w skali Europy. Najcenniejsze wydają się brygantyny/płaty, będące ogniwem pośrednim pomiędzy elastycznymi pancerzami (kolczuga, zbroja łuskowa) i pełną zbroją płytową. Są one zbudowane z różnej wielkości żelaznych zbrojników, układanych horyzontalnie lub wertykalnie i mocowanych od wewnątrz do skórzanego podkładu (skóra się nie zachowała). Zbroję taką zakładano zazwyczaj przez głowę – jak poncho. Osłony takie stosowano w całej średniowiecznej Europie. Egzemplarze spod Visby mają cechy indywidualne, co pozwoliło badaczom wyodrębnić kilka ich typów.

Znaleziska prezentowane są w dwóch placówkach: w Muzeum Gotlandzkim w Visby i w sztokholmskim Muzeum Historycznym. W tym pierwszym zwracają uwagę ludzkie szczątki ze śladami urazów bitewnych oraz pełnowymiarowa rekonstrukcja jednego z walczących – tzw. człowieka z Solberga, który zginął od ciosów miecza i topora bojowego. W Sztokholmie podziwiać można dużą część oryginalnego uzbrojenia.

Zbroja brygantyna odnaleziona podczas wykopalisk

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Tymoteusz Pawłowski

Każda moda ma swoją techniczną genezę. Przykładem jest choćby to, jak pistolet Bren Ten wpłynął na krój marynarek

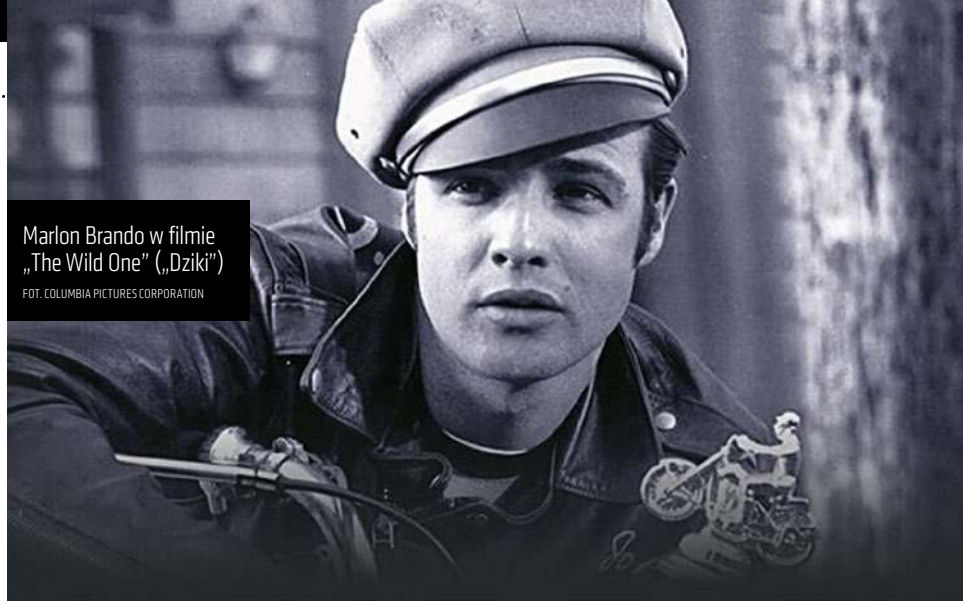

Marlon Brando w filmie „The Wild One" („Dziki")

FOT. COLUMBIA PICTURES CORPORATION

Odzież na przestrzeni dziejów / Od Scytów do „Miami Vice"

Wojna dyktatorem mody

Historia odzieży jest bardzo ulotna. Jednym z powodów jest jej niska trwałość, stąd archeolodzy wypowiadają się o prahistorii odzieży na podstawie znalezionych igieł i podobnych narzędzi. Badacze podejrzewają, że odkrycia datowane na kilkadziesiąt tysięcy lat są raczej skórzaną biżuterią, a ubiory chroniące przed pogodą mają kilka, może kilkanaście tysięcy lat. Jeszcze krótszą historię mają spodnie – pierwszy z elementów odzieży o jednoznacznie militarnej genezie. Ich pojawienie się związane było z udomowieniem koni, a raczej z wyhodowaniem dużych koni, na których grzbiecie można było jeździć, co nastąpiło raptem 3 tys. lat temu. Jeżdżenie konno było niemożliwe w sukniach i spódnicach, które powszechnie nosili starożytni ludzie – zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Spodnie wprowadzili do męskiej mody Scytowie, Partowie i Sarmaci, regularnie najeżdżający Grecję i Rzym. Dla Greków i Rzymian spodnie były symbolem świata barbarzyńskiego i pozostały nim bardzo długo: wiemy, że Karol Wielki – koronowany na cesarza w 800 r. – prywatnie chodził w spodniach, ale podczas oficjalnych wydarzeń zakładał strój cywilizowanego Europejczyka, czyli tunikę.

Męskie stroje w średniowieczu stają się coraz bardziej zróżnicowane, w dużej mierze ze względu na wykonywany zawód. Im bardziej zajęcie było pacyfistyczne, tym szaty były dłuższe: księża nosili sutanny do samej ziemi, a rycerze kuse dublety – grube koszule kończące się nad pasem lub biodrami. Przez kolejny tysiąc lat zgrabne nogi decydowały o urodzie i sukcesie towarzyskim. Oczywiście zgrabne nogi męskie – kobiety nosiły długie suknie i spódnice – a ich pokazywanie wcale nie było przejawem próżności, tylko dowodem na to, że jest się wielkim rycerzem.

Dublety porzucono w początkach XVII w., gdy najpierw w Paryżu, a później w Londynie ustanowiono narodowe stroje dworskie, które przetrwały do dziś, oczywiście z licznymi zmianami kosmetycznymi. Francuzi zdecydowali się na nieco dłuższe surduty, które dały początek płaszczom, marynarkom oraz kurtkom. Na nich wzorowała się niemal cała Europa, z wyjątkiem Anglików, którzy nie chcieli brać przykładu z wroga. W Londynie obowiązkowym strojem stał się pochodzący z Persji bezrękawnik, który później przybrał formę kamizeli. Nawiasem mówiąc, podobna była geneza polskiego stroju narodowego: kontusz również jest pochodzącym z Persji bezrękawnikiem, choć nieco dłuższym od angielskiego z powodów klimatycznych.

Fraki i kalesony

Wszyscy mężczyźni w Europie ubierali się tak samo, a raczej prawie tak samo, ponieważ jakość ubrania zależała od jego ceny. W czasach wojen napoleońskich większość armii umundurowana była we

eprasa.pl ed8b1c50fb

fraki, czyli ubranie, które dziś uchodzi za eleganckie, a wówczas noszone było przez najbiedniejszych (armia zawsze prezentuje najniższe standardy). Oczywiście stroje ludzi uboższych były szyte z tkanin gorszej jakości, a przede wszystkim były mniej kolorowe.

Wiek XIX przyniósł jednak istotne zmiany w męskiej modzie. Po pierwsze, rozwój chemii umożliwił trwałe farbowanie tkanin, więc barwny ubiór stał się powszechny. Po drugie, dzięki uprzemysłowieniu możliwa była masowa produkcja, co znacznie obniżyło ceny. Co więcej, możliwe było produkowanie coraz bardziej skomplikowanych elementów odzieży, chociażby płaszczy. W ten sposób odeszły do lamusa stosowane od tysiącleci peleryny, które zachowały się do dziś jedynie jako stroje superbohaterów (z banalnych zresztą powodów: powiewająca peleryna nadawała dynamiki obrazkom w komiksach, w których superbohaterowie zaczynali swoje kariery).

Noszono nakrycia głowy, najczęściej kapelusze, ponieważ więcej czasu spędzano na świeżym powietrzu oraz dlatego, że mycie głowy było problemem: szampon był pieśnią przyszłości. Nie było elastycznych tkanin, więc skarpetki mocowano do podwiązek, a majtki – czy raczej kalesony – wiązano troczkami. Spodnie podtrzymywano szelkami, paski oczywiście istniały, ale w XIX w. służyły do noszenia oporządzenia: narzędzi albo rewolwerów.

Wielką zmianę przyniosła Wielka Wojna. Przede wszystkim całe narody ubrano w mundury, a przy produkcji milionów spodni czy koszul każde uproszczenie produkcji dawało kolosalne oszczędności. Spodnie, niegdyś kończące się na wysokości pępka, teraz sięgały bioder. Płaszcze, niegdyś do łydek, teraz kończyły się na wysokości ud albo pośladków (ich krótkie wersje – po włosku „corto" – nazywa się kurtkami). Kapelusze – z rondem dookoła głowy – zastąpiono natomiast czapkami, w których rondo stało się daszkiem osłaniającym twarz.

Moda w połowie XIX w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Bren Ten

Pierwsza wojna światowa, a później druga wpłynęły na modę męską także w inny sposób. Mobilizacja milionów mężczyzn wymusiła na rządach zadbanie o ich higienę: mydło, szampon i perfumy, dostępne w XIX w. jedynie dla bogatych, nie tylko stały się dostępne dla biedniejszych, lecz także były obowiązkowe: państwo wymuszało na żołnierzach korzystanie z tych udogodnień. Miało to bezpośredni wpływ na rezygnację z czapek i marynarek. Jaka istniała tu zależność? Otóż mężczyzna XIX-wieczny pachniał bardzo intensywnie: możliwości umycia się były ograniczone wysokimi cenami kosmetyków, niewielkim dostępem do bieżącej wody, brakiem ogrzewanych łazienek. Mężczyźni ograniczali więc wydzielanie zapachów, „chowając" je pod swoimi marynarkami i kapeluszami. Po drugiej wojnie światowej kosmetyki stały się tanie, a mężczyźni – czyści i pachnący, więc pożegnali się z marynarkami i kapeluszami.

Wojny światowe zwiększyły również tempo rozwoju motoryzacji w Europie i w Ameryce. Samochody stały się powszechne. I był to kolejny przyczynek do tego, by zniknęły długie płaszcze oraz kapelusze i czapki: nie było dla nich miejsca pod dachem samochodu. Mniej więcej w tym samym czasie zaczęły znikać szelki. Bez marynarek niezręcznie było je nosić – szelki są przecież bielizną – poza tym spodnie o niskim stanie lepiej podtrzymywać paskiem.

Za truizm może być uznane twierdzenie, że olbrzymi wpływ na modę ma telewizja, która rozwinęła się po drugiej wojnie światowej. Można ją jednak potraktować nie tylko jako wyznacznik nowych trendów, lecz także narzędzie badawcze. Jeszcze w 1953 r. Marlon Brando grający w filmie „Dziki" nosił czapkę, ale już w styczniu 1961 r. prezydent John F. Kennedy wystąpił na swojej inauguracji bez nakrycia głowy. W 1968 r. w filmie „Bullit" pojawił się pierwszy przedstawiciel władzy – policjant grany przez Steve'a McQueena – nienoszący koszuli z krawatem. Było to dość przypadkowe – akcja filmu rozgrywa się bowiem w czasie weekendu, więc policjanci ubrani są wtedy nieformalnie.

W końcu we wrześniu 1984 r. pojawili się pierwsi policjanci bez skarpetek: bohaterowie serialu „Miami Vice". Serial ten zapoczątkował modę na szerokie marynarki i właśnie taki krój obowiązywał na przełomie lat 80. i 90. Przyczyna była kuriozalna: bohaterowie serialu uzbrojeni byli w nowe pistolety Bren Ten, potężnego kalibru 10 mm. Były one większe od starych rewolwerów i nie dało się ich ukryć pod marynarkami starego kroju.

Kapelusz fedora Indiany Jonesa
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, CLÉMENT BUCCO-LECHAT

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Chalid Maszal (drugi z prawej) podczas rozmów w parlamencie irańskim, 2006 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FARSI.KHAMENEI.IR

Tajne służby / Akcje likwidacyjne Mosadu

Trzecie życie szejka Maszala

Piotr Zychowicz

Przywódca Hamasu przeżył izraelski atak w Katarze. Nie był to pierwszy raz, gdy Mosad próbował go dopaść

Izrael dokonał niedawno spektakularnego uderzenia rakietowego na Katar. Celem ataku byli przywódcy palestyńskiego Hamasu, którzy zgromadzili się w jednym z budynków w Dausze, aby przedyskutować propozycję pokojową Donalda Trumpa.

W gmach uderzyły rakiety wystrzelone znad Morza Czerwonego przez izraelskie myśliwce. Doszło do potężnej eksplozji – nad miastem jeszcze długo unosiły się gęste kłęby czarnego dymu. Wszystko wskazuje jednak na to, że izraelski atak zakończył się porażką. Hamasowcy uniknęli śmierci.

Najważniejszym spośród ludzi zgromadzonych w Dausze był legendarny szejk Chalid Maszal, jeden z najważniejszych liderów islamskiej organizacji. Co ciekawe, nie była to pierwsza próba wyeliminowania go przez Mosad. Agenci Mosadu próbowali go zabić już wcześniej.

Sprejem w ucho

Do próby zabójstwa Maszala doszło m.in. 25 września 1997 r. w jordańskiej stolicy Ammanie, gdzie wówczas miesz-

eprasa.pl ed8b1c50fb

kał. Problem polegał na tym, że Jordania jest jednym z niewielu państw arabskich żyjących w pokoju z Izraelem. Mało tego, jordańskie służby często współpracują z izraelskimi w walce z Palestyńczykami. Mimo to Mosad postanowił podjąć ryzyko.

Do Ammanu wyjechało kilkuosobowe izraelskie komando, które wzięło Maszala pod obserwację. Pomysł był prosty. Palestyński terrorysta miał zostać otruty za pomocą zabójczego spreju wyprodukowanego w jednym z tajnych izraelskich laboratoriów biochemicznych.

Wystarczy kilka kropel tej groźnej substancji, by wysłać człowieka na tamten świat. A objawy są mniej więcej takie same jak w przypadku zawału serca. Wydawało się więc, że ludzi z „Kidonu" czeka czysta, gładka robota.

Na wszelki wypadek w jednym z hoteli w jordańskiej stolicy umieszczono jednak izraelską lekarkę z antidotum. Miało ono zostać podane agentom Mosadu, gdyby któryś z nich przypadkowo miał kontakt z trucizną. Lekarka nie domyślała się, że w całej aferze odegra zupełnie inną, nieoczekiwaną rolę.

Wróćmy jednak do samej akcji. Izraelczycy planowali zaatakować nad ranem, gdy Maszal będzie wchodził do biura Hamasu. Jeden z zabójców miał niepostrzeżenie rozpylić mu truciznę na karku, mijając go na schodach budynku. Maszal miał się przewrócić, a Izraelczyk rozpłynąłby się w powietrzu. Nic jednak nie poszło zgodnie z planem.

Maszal tego dnia nieoczekiwanie wziął do samochodu dwoje swoich dzieci, które jego kierowca miał odwieźć do szkoły. Gdy uzbrojony w truciznę Izraelczyk zbliżał się do ofiary, córeczka Maszala wybiegła z samochodu i zaczęła wołać ojca. Palestyńczyk zawrócił.

W efekcie zaskoczony egzekutor z Mosadu minął się z Maszalem i żeby dosięgnąć go trucizną, musiał do niego doskoczyć. I choć udało mu się psiknąć w ucho Palestyńczyka, to jego gwałtowny ruch dostrzegł szofer Maszala i rzucił się na ratunek szefowi. Doszło do walki, do której włączył się jeszcze jeden członek Hamasu.

Egzekutor i ubezpieczający go agent zdołali się wyrwać i wskoczyć do czekającego na nich samochodu. Po przejechaniu kilku przecznic postanowili jednak uciekać piechotą. Bali się, że ludzie Maszala zapisali numery rejestracyjne ich auta. Był to fatalny błąd. Wspomniany bojownik Hamasu biegł bowiem za samochodem i teraz rzucił się na wysiadających Izraelczyków.

Znów wybuchła zacięta bójka. W ruch poszły pięści, wymierzano sobie kopniaki. Natychmiast zbiegł się tłum gapiów, który otoczył trzech szamoczących się mężczyzn. Co bardziej krewcy Jordańczycy dołączyli do walczących. Uliczną awanturę przerwał dopiero przyjazd jordańskiej policji.

Groźni zabójcy z Mosadu grzecznie wsiedli do radiowozu i pojechali na komisariat razem z poturbowanym przez nich hamasowcem. Tam zapewnili funkcjonariuszy, że nie mają nic wspólnego z zamachem na Maszala. Są tylko zwykłymi kanadyjskimi turystami. Na dowód pokazali paszporty. Jordańska policja skontaktowała się z ambasadą Kanady, która przysłała na komisariat dyplomatę. Wówczas oczywiście sprawa się wydała. Okazało się, że obaj „turyści" nigdy nie widzieli swojej „ojczyzny". I że ich paszporty zostały sfałszowane.

Pokuta Netanjahu

Król Jordanii, Husajn, na wieść, że Mosad dopuścił się zamachu w jego kraju, wpadł w szał. Uznał to za akt obrazy. Dowód nielojalności i perfidii Żydów, którzy nie potrafią uszanować jego majestatu. Rozwścieczony monarcha zapowiedział, że każe uśmiercić schwytanych agentów i zaatakować ambasadę Izraela, w której schronili się pozostali uczestnicy operacji.

W efekcie – aby przebłagać monarchę – do Ammanu musiał w ekspresowym tempie przylecieć śmigłowcem sam premier Beniamin Netanjahu. Król ostentacyjnie go nie przyjął. Izraelski przywódca spotkał się tylko z jego bratem. W wyniku długotrwałych negocjacji udało się osiągnąć satysfakcjonujące Jordańczyków porozumienie.

Do łóżka konającego Maszala sprowadzono wspomnianą izraelską lekarkę, która podała pacjentowi antidotum. W ten sposób Żydówka uratowała od pewnej śmierci arabskiego terrorystę, śmiertelnego wroga swojego narodu.

Na tym jednak upokorzenia strony izraelskiej się nie skończyły. Premier Netanjahu musiał solennie przepraszać swoich jordańskich sojuszników, a w zamian za wypuszczenie schwytanych w Ammanie agentów Mosadu zwolnić kilkudziesięciu arabskich więźniów. Na czele z niewidomym, demonicznym starcem na wózku inwalidzkim – ówczesnym przywódcą Hamasu, szejkiem Ahmadem Jasinem.

Ahmad Jassin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ISRAELI DEFENCE FORCE

Skutki operacji były więc opłakane. Nie dość, że poważnie nadszarpnęła ona stosunki państwa żydowskiego z Jordanią, to jeszcze wylansowała Chalida Maszala na palestyńskiego bohatera narodowego.

Po śmierci szejka Jasina (w 2004 r. zginął w eksplozji izraelskiej rakiety) Maszal stanął na czele Hamasu. I do dziś jest uznawany za wroga numer jeden Izraela.

Umrę wtedy, gdy zdecyduje o tym Allah, a nie Mosad – powiedział Maszal w jednym z wywiadów. Fiasko niedawnego izraelskiego ataku na Katar zdaje się potwierdzać te słowa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ed8b1c50fb

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

SS-OBERSCHARFÜHRER FRANZ BÜRKL BYŁ ZNANY Z WYJĄTKOWEGO OKRUCIEŃSTWA WOBEC WIĘŹNIÓW PAWIAKA. ZYGMUNT ŚLIWICKI WSPOMINAŁ W KSIĄŻCE „MELDUNEK Z PAWIAKA" O TYM JAK ZMUSZAŁ GRUPĘ 40 ŻYDOWSKICH WIĘŹNIÓW DO CZOŁGANIA SIĘ NAGO PO GORĄCYM ŻUŻLU. PÓŹNIEJ ZABRONIŁ UDZIELANIA IM POMOCY MEDYCZNEJ.

DLATEGO KOMENDA GŁÓWNA AK WYDAŁA ROZKAZ JEGO LIKWIDACJI. ZADANIE TO POWIERZONO I PLUTONOWI ODDZIAŁU „AGAT". NATOMIAST ROZPRACOWANIEM FRANZA BÜRKLA ZAJĄŁ SIĘ ALEKSANDER KUNICKI „RAYSKI".

PO WIELODNIOWEJ OBSERWACJI CIĘŻARÓWKI ZE STRAŻĄ WIĘZIENNĄ PAWIAKA, „RAYSKI" W KOŃCU TRAFIŁ NA ESESMANA, KTÓREMU TOWARZYSZYŁ WILCZUR. POTRZEBNE BYŁO JEDNAK OSTATECZNE POTWIERDZENIE JEGO TOŻSAMOŚCI. DOKONAŁ TEGO BOGUSŁAW USTABOROWICZ „ŻAR", KTÓRY BYŁ WIĘŹNIEM NA PAWIAKU.

PRZYSTĄPIONO DO PRZYGOTOWANIA PLANU AKCJI, DO KTÓREJ DOSZŁO OSTATECZNIE 7 WRZEŚNIA 1943 ROKU NA ROGU ULIC MARSZAŁKOWSKIEJ I LITEWSKIEJ. TAM CZEKANO AŻ FRANZ BÜRKL WYJDZIE Z MIESZKANIA. JEDNAK...

WYSTRZAŁY ZAALARMOWAŁY PRZEBYWAJĄCYCH W POBLIŻU NIEMIECKICH ŻOŁNIERZY. WYWIĄZAŁA SIĘ KRÓTKA WALKA, W TRAKCIE KTÓREJ KILKU Z NICH ZGINĘŁO. CZŁONKOWIE ODDZIAŁU „AGAT" BEZ STRAT WŁASNYCH EWAKUOWALI SIĘ AUTEM. CAŁA AKCJA TRWAŁA OKOŁO **90 SEKUND**.

eprasa.pl ed8b1c50fb

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROSIE SERDIVILLE I JOHN SADLER: „RYCERZE. HONOR I PRZEMOC"

Rycerze. Honor i przemoc

Ta książka opisuje rozkwit i schyłek epoki średniowiecznych rycerzy, przedstawia ich kosztowny ekwipunek i uzbrojenie, a także zabiera czytelnika na turnieje i przybliża etos rycerski.

Rycerzy, czyli wojowników konnych, zaczęto łączyć z pojęciem rycerskości, gdy zostało ono spopularyzowane przez średniowieczną literaturę. Oczekiwano od nich, że będą walczyć odważnie i honorowo oraz pozostaną lojalni wobec swego pana - w razie konieczności - aż do śmierci. W późniejszych czasach rycerskość utożsamiano z udziałem w turniejach i polowaniach oraz takimi zaletami charakteru jak sprawiedliwość, miłosierdzie i wiara. W czasach wypraw krzyżowych sformułowano kodeksy rycerskie, a niektóre zakony krzyżowców, między innymi templariusze, przeszły do legendy. Wraz z rozwojem sztuki wojennej w XV wieku ten typ wojska stał się zbędny, ale określenie „rycerz" przetrwało jako honorowy tytuł nadawany za usługi oddane monarsze lub krajowi. Stulecia później postać rycerza stała się też ikoną kultury popularnej.

165 zł

oszczędność 42 zł

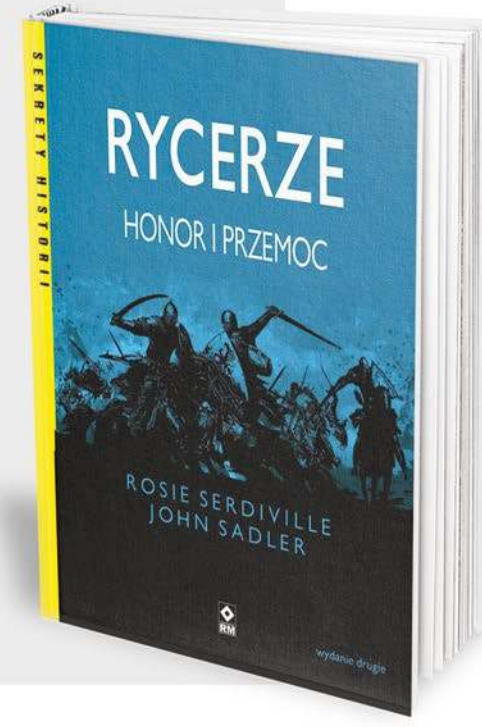

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ed8b1c50fb

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl ed8b1c50fb